

Groźny cień



ARTUR CONAN DOYLE

Groźny cień

TEUM. Z. N.

ROZDZIAŁ PIERWSZY. NOC SYGNAŁÓW

Otom jest, który piszę, ja Jock Calder z West Inchu, w wieku lat pięćdziesięciu i w połowie dziewiętnastego stulecia jeszcze w pełni władz wszystkich, zdrów na ciele i na duszy.

Zona zaledwie raz na tydzień dopatrzeć może na skroni jakiś tam jeden siwiejący włoszek i wyrywa mi je dosyć gniewnie, choć nie rozumiem, co właściwie jej na tym zależy?

Nie mam po prostu czasu myśleć o takich drobnostkach, teraz szczególnie, gdy więcej niż kiedykolwiek czuję, że jestem już człowiekiem z bezpowrotnie minionej epoki, i że życie moje płynęło jednakże w okresie, w którym sposób myślenia i działania różnił się tak od dzisiejszych, jakby ci ludzie pochodzili nie sprzed ćwierć wieku, a z jakiejś innej, dalekiej planety.

Kiedy, na przykład, przechadzam się wśród pól i zieleniejących łąnów, a spojrzę *tam* — w stronę Berwick¹ — dostrzegam liczne, splątane sznurki białawego dymu, który mówi mi o tym dziwnym, nowym potworze, żywiącym się węglem, i który w cielsku swoim ukrywa do tysiąca ludzi, i snuje się bez końca wzdłuż granic.

W dni bardzo pogodne dojrzeć mogą bez trudu nawet czerwone błyski miedzianych kominów, skoro ów potwór kieruje się ku Corriemuir². A gdy obejmę wzrokiem sine, kłębiące się morza, dostrzegam go znowu, czasem dwa, częściej jeszcze kilkanaście żelaznych potworów i od cielsk dziwacznych nie umiem już oderwać oczu... Przejście ich w wodzie znaczy biała smuga, w powietrzu czarny ślad posepny, pod wiatr idą z większą łatwością niż losoś, płynący w górę Tweed³.

I wyobrażam sobie, że na podobny widok mój ojciec oniemiałby chyba ze zdumienia, a więcej może jeszcze z gniewu, bo starowina miał w duszy tak głęboko zakorzeniony lęk obrażenia czymkolwiek Wszemmocnego Stwórcy, że ani słyszeć nie chciał o „niewoleniu” natury i naginaniu jej do celów ludzkich, a wszelkie innowacje graniczyły w umyśle jego nieledwie⁴ z bluźnierstwem.

Bóg stworzył zwierzę pociągowe, konia.

A zuchwały śmiertelnik spod Birmingham wymyślił zuchwalszą jeszcze od siebie maszynę.

I dlatego mój poczciwy ojciec upierał się przy wyłącznym używaniu siodła i odwiecznych ostróg, uświęconych tradycjami przodków. Ale niemniej by się z pewnością zdziwił, gdyby mu było dane oglądać spokój i chęć czynienia dobrego, jakie królują teraz w sercach ludzi, gdyby mógł czytać dzienniki i słyszeć to, co mówią wszyscy — że już nie trzeba wojny — prócz, rozumie się, konieczności poskramiania negrów i tym podobnych niemilych Bogu, czarnych stworzeń.

Dziedzictwo, Wojna,
Kolonializm, Bóg, Kondycja
ludzka

¹Berwick a. *Berwick-upon-Tweed* — miasto w hrabstwie Northumberland w płn. Anglii, na pograniczu ze Szkocją, przy ujściu rzeki Tweed. [przypis edytorski]

²Corriemuir — miejscowość na jednej z wysp Orkadów (*Orkney Islands*), archipelagu usytuowanego na płn. od wybrzeży Szkocji, na granicy Morza Północnego i Oceanu Atlantyckiego. [przypis edytorski]

³Tweed — jedna z gł. rzek w płd. Szkocji, w końcowym odcinku stanowiąca granicę między Szkocją a Anglią. [przypis edytorski]

⁴nieleddie (daw.) — prawie, niemal. [przypis edytorski]

Bo przecież — kiedy umierał — biliśmy się i biliśmy się bez przerwy — jeśli pomiemy krótki, zaledwie dwuletni rozejm — prawie już ćwierć wieku.

Zastanówcie się nad tym, wy, którzy prowadzicie teraz spokojne i bez żadnych wstrząśnień gwałtowniejszych życie.

Toż dzieci zrodzone podczas wojny stawały się dojrzałymi ludźmi, którzy z kolei mieli swoje dzieci, a krwawy odbłask bitew i stłumiony huk strzałów ciągle jeszcze napępiał Anglię trwożnym, śmiertelnościami szmerem.

Ci, którzy poszli w służbę ojczyźnie w kwiecie wieku, w pełni sił młodzieńczych, doczekali się pochylonych pleców i siwizny, członki ich straciły jędrność i tężyznę, a wrogie floty i armie jeszcze walczyły, jeszcze się potykały i jeszcze ścierały bez końca.

I chyba nic dziwnego, iż wreszcie zaczęto uważać wojnę za stan zupełnie normalny, i że w okresach pozornego lub chwilowego pokoju doznawano uczucia jakiegoś szczególniejszego braku, czegoś, czego nie dostawało⁵.

A całe owo nieskończone ćwierćwiecze wypełniły wojny z Duńczykami, z Holendrami, z Hiszpanią, a potem biliśmy się z Turkiem, z Amerykanami, a potem jeszcze z zastępami z Montevideo.

Pamiętam, jak mówiono, że w tym powszechnym zamęcie żadna rasa, żaden naród nie był w zbyt bliskim albo w zbyt dalekim stopniu pokrewieństwa, by uniknąć wplątania w ów wir olbrzymi, a złowieszczy.

Jednak przede wszystkim i najwięcej biliśmy się z Francuzami, a wódz, który im przewodził, był człowiekiem, co natchnął nas wprawdzie niedoznaną nigdy przedtem trwogą, nieokreślonym lękiem, ale także i szczerym, głębokim podziwem.

My, żołnierze, chlubiśmy się niby tworzeniem wyszydających go piosenek, w pułkach krążyły ośmieszające go rysunki, zabawne anegdotki, i każdy z nas przeżywał go najchętniej szarlatanem, ale nie mógłbym zaprzeczyć, że przerażenie, jakie wzbudzał ten, upośledzonego wzrostu, człowiek, przesnuwało niby mgłą czarną, niby złowrogim cieniem całą bez wyjątku Europę, ani — że był kiedyś czas, w którym błysk płomienia, buchającego nagle nocą na wybrzeżu, wszystkie kobiety nasze rzucał na kolana i kładł karabiny w ręce wszystkich mężczyzn zdolnych władać bronią.

Zwał się niezwyciężonym i zwyciężał zawsze: oto straszny talizman, który towarzyszył tej dumnej postaci.

Sławę, powodzenie, szczęście — wszystko niósł z sobą, wszystko stanowiło z nim nierozdzielny jakby całość.

A w owych czasach wiedzieliśmy, że legł oto przyczajony na północnym brzegu, a z nim sto pięćdziesiąt tysięcy wypróbowanych weteranów, co więcej, towarzyszyły im i statki potrzebne do przebycia zbyt niestety wąskiego kanału.

Stara to historia.

Każdy wie, w jaki sposób nasz mały jednooki i bezręki unicestwił i zniszczył ich flotę.

W Europie zostawała przecież ziemia, w której wolno było myśleć i wolno było mówić.

Zresztą, przy ujściu Tweed, na wielkiej wyniosłości, mieliśmy przygotowany sygnał na wypadek jakiegoś alarmu.

Był to rodzaj drewnianego rusztowania, usianego gęsto beczułkami ze smołą i mazią.

Doskonale pamiętam, jakem co wieczór wypatrywał oczy i drżałem, czy nie ujrzę krwawego odbłasku.

Miałem wprawdzie wtedy dopiero lat osiem, ale i „w tym wieku” można wziąć coś gorąco do serca, mnie zaś zdawało się, że losy ojczyzny zależą w ten sposób poniekąd ode mnie i bystrości moich oczu.

Aż pewnego wieczora, kiedy, jak zwykle, patrzyłem w ciemności, jak w tęczę, dostrzegłem nagle coś niby blade światelko, migocące tuż około sygnałowego pagórka, a potem czerwony języczek płomienia, który jął śpiesznie lizać smolne drzewo.

Jak dziś przypominam sobie, że przetarłem kilkakrotnie, prawie do bólu, powieki i pokrwałem ręce o kamienne ramy okna, by przekonać się niezawodnie, iż nie śnię.

Tymczasem płomień rósł iście z zawrotną szybkością, po chwili szkarłatny blask upadł na wodę i drgał niby złoty wąż ruchomy, ja zaś wpadłem jak nieprzytomny do kuchni.

⁵nie dostawać czego (daw.) — brakować czego. [przypis edytorski]

Tu urywaniem głosem oznajmiłem ojcu, że Francuzi musieli przepłynąć nasz kanał, bo sygnał przy ujściu Tweed pali się wielkim płomieniem.

Rozmawiał wtedy z panem Mitchellem, studentem prawa z Edynburga.

Chwilami zdaje mi się, że widzę go jeszcze, wytrząsającego popiół z ulubionej fajki, i że słyszę, jak pyta, patrząc na mnie przez wierzch dużych okularów w rogowej oprawie.

— Czy pewien tego jesteś, Jocku?

— Tak pewien, jak zdrow i żywy — odparłem zadyszczonym głosem, cały przejęty ważnością własnej osoby i chwili.

Ojciec pochwycił *Biblię* leżącą na stole, rozłożył ją na kolanach, jakby miał zamiar przeczytać nam jakiś wyjątek, otworzył prędko, zamknął jeszcze prędej i wybiegł pośpiesznie na dwór.

Student prawa i ja podążyliśmy za nim bez namysłu. Ojciec otworzył małą, okratowaną furtkę, tęgo umocowaną w murze i wychodzącą na główny gościniec.

I nagle oślepił nas sygnał, teraz już jeden wielki, gorejący słup płomieni, niby krwawa pochodnia na czarnym tle nieba, a za tym, gdzieś na północ, może koło Ayton, drgał drugi, mniejszy i nie tak złowrogi.

Za chwilę matka wyniosła dwa pledy, gdyż noc była niezwykle zimna, i zostaliśmy tak aż do rana, z rzadka tylko zamieniając po kilka słów trwożnym, przyciszonym szeptem.

Droga tymczasem zaroila się ludźmi, i wkrótce czerniło się ich więcej niż tych, co przez cały dzień poprzedni mogli iść tędy i jechać. I ciągle prawie dostrzegałem jakąś twarz znajomą, byli to przeważnie okoliczni nasi dzierzawcy, którzy przedtem jeszcze zaciągnęli się w ochotnicze pułki w Berwick, a teraz pędzili, co koń wyskoczy, by stawić się do apelu, bo sygnał przecież oznaczał wołanie ojczyzny.

Niektórzy nie skąpili widać przed odjazdem strzemiennego⁶, bo jechali butnie, z okrutną⁷ fantazją.

Nie zapomnę nigdy jednego, który przemknął tuż koło nas, na wielkim białym koniu, zapamiętałe wywijając ogromną zardzewiałą szablą, lśniąca w świetle księżyca, niby zielono-niebieska, krwawymi plamami poznaczona smuga.

A wszyscy wołali, mijając, że sygnał z North Berwick Law cały gorzeje i że alarm rozpoczął się prawdopodobnie od strony edynburskiego zamku.

Potem śmignęła nieliczna garstka jeźdźców w przeciwnym kierunku, byli to kurierzy, wysłani do stolicy Szkocji, wśród nich dojrzałem spokojną twarz syna pewnego szlachcica, za nim jechał master Playton, podszyf i jeszcze kilku innych w podobnej godności.

Pomiędzy tymi „innymi” wyróżniał się przystojny, tęgi mężczyzna, siedzący na pięknym, dereszowatym rumaku. Przejeżdżał tuż koło muru i zatrzymał się przed naszą furtką, pytając o dokładną drogę.

— Jestem najmocniej przekonany, że to fałszywy alarm — odezwał się nagle pełnym przekonania tonem. — Spokojnie mogłem zostać w domu, ale kiedy już ruszył, nie widzę nic lepszego, jak spożycie śniadania przy pułku.

Spiął ostrogami konia i wkrótce zniknął wśród zielonych, falujących wzgórz.

— Znam tego człowieka — szepnął student, ruchem głowy wskazując oddalającego się jeźdźcę — to pewien prawnik z Edynburga⁸, układa wspaniałe wiersze. Nazywa się Wattie Scott⁹.

Wprawdzie żaden z nas nie słyszał wtedy jeszcze o takim poecie, niewiele jednak dni minęło, kiedy imię jego stało się rozgłośnie w całej Szkocji.

I nieraz potem wspominaliśmy pięknego jeźdźcę, który pytał nas o drogę podczas tej straszliwej nocy.

Nad rankiem przecież ochłonęliśmy trochę na duchu.

Było pochmurno, łąki i pola przesnuła mgła szara i gęsta, czyniło się dojmujące zimno.

⁶*strzemienny* — zwyczajowa nazwa wypijanego w momencie wyjazdu kieliszka alkoholu (wódki najczęściej); nazwa pochodzi od strzemięcia, w którym osoba wyjeżdżająca miała już trzymać nogę, tuż przed spięciem konia ostrogami i ruszeniem w drogę. [przypis edytorski]

⁷*okrutny* (daw.) — tu: wielki, ogromny. [przypis edytorski]

⁸*Edynburg* (ang. Edinburgh, gael. Dùn Èideann) — stolica Szkocji (od 1437 r.), obecnie miasto w Wielkiej Brytanii (od zjednoczenia Szkocji z Anglią w 1707 r.). [przypis edytorski]

⁹*Scott, Walter* (1771–1832) — szkocki poeta i autor powieści historycznych (m.in. *Ivanhoe*, *Rob Roy*), sławiący urodę Szkocji, bardzo popularny w swojej epoce. [przypis edytorski]

Matka wróciła do domu, chcąc zagrzać nam trochę herbaty, a prawie jednocześnie nadjechała bryczka, wioząca doktora Horscrofta z Ayton i jego syna, Jima.

Doktor nasunął aż na uszy wysoki kołnierz swego brązowego płaszcza, twarz miał gniewną i mocno nasepioną i opowiedział na wstępie, że Jim, ujrawszy sygnały, jeden z pierwszych popędził do Berwick, zabierając ze sobą nowiuteńką dubeltówkę ojca.

Biedny pan Horscroft całą noc strawił na szukaniu syna i teraz prowadził go w charakterze buntującego się co chwila więźnia — błyszcząca lufa fuzji wychylała się ponętnie spod siedzenia bryczki...

Mina Jima, piętnastoletniego wyrostka, dla którego miałem z dawna wielkie uwielbienie, gniewniejsza jeszcze była niżli surowa twarz ojca, brwi ściągnięte, pogardliwie wydęta dolna warga i ręce, niedbale wetknięte w kieszenie, zdawały się trochę wyzywać, trochę uragać władzy rodzicielskiej...

— A wszystko kłamstwo — dodał na zakończenie zirytowany eskulap¹⁰. — Tamtym ani się śniło ładować, ci głupi Szkoci na próżno tylko zalegli Bogu ducha winne drogi!

Jim nie mógł już tego najwidoczniej słuchać i wydał jakiś głos nieludzki, za co oberwał od ojca przyzwoitego szturchańca.

Uderzenie miało przynajmniej ten skutek, że chłopak zwiesił głowę z pokorą na piersi i siedział już spokojnie, nieczuły i obojętny na wszystko.

Mój ojciec kiwnął tymczasem w zamyśleniu ręką, trochę jakby z żalem, gdyż lubił niezmiernie Jima, a potem wróciliśmy do domu, żartując z małego wodza, głównie jednak mrugając zawzięcie oczami, które kleiły się same, teraz, kiedyśmy już wiedzieli, że nie ma niebezpieczeństwa.

A przecież każdy z nas uczuwał coś, niby dreszcz wielkiej radości, tak wielkiej, jakiej doświadczyłem potem raz jeszcze, dwa najwyżej w życiu.

Tutaj zarzuci mi ktoś może, iż wszystko, co mówię, niezupełnie odnosi się do tego, com przedsięwziął opowiedzieć, ale skoro się ma dobrą pamięć, a przy tym bardzo mało wprawy, trudno niezmiernie jedną myśl choćby z mózgu przelać na cierpliwy papier, żeby nie pojawiło się dwanaście innych, równie żądnych utrwalenia atramentem.

Zresztą teraz, kiedy myślę nad tym wszystkim głębiej, dochodzę do wniosku, że opisane powyżej zdarzenie nie jest tak bardzo obce tym, które opowiem tu wkrótce, gdyż Jim Horscroft miał w skutku owego zajścia tak gwałtowną rozmowę z zapalczywym ojcem, że go niezwłocznie wyprawiono do kolegium w Berwick, a ponieważ mój znowu ojciec od dawna już nosił się z projektem umieszczenia tam mnie także, skorzystał teraz z przypadkowej, pomyślnej okoliczności i wysłał mnie z nim razem.

Zanim jednak wspomnę tu cokolwiek o tej szkole, muszę powrócić do punktu, od którego powinien byłem¹¹ zacząć i oznajmić, kim właściwie jestem, bo mogłoby się zdarzyć, że te własnoręcznie pisane kartki znajdą się nagle wśród ludzi, zamieszkujących z dala od naszego „brzegu” i którzy na przykład, nigdy nie słyszeli o rodzinie Calderów z West Inch.

West Inch, prawda jak nazwa brzmi arystokratycznie? A jednak mizerna to posiadłość i dom zwykły, najzwyklejszy.

Spory szmat ziemi, stanowiącej wprawdzie doskonale pastwisko dla owiec, po którym przecież większą część roku wiatr wyprawia niczym niewstrzymane harce zimny, pełen złowrogich świstów, wiatr północny.

Ciągnie się długim pasem wzdłuż wybrzeża i krawędzi szeroko omywają zielone, słone fale.

Tylko tyle, ile oszczędny, ciężko pracujący człowiek może wydobyć z niej na cały dach nad głowę i na chleb z masłem w święta, zamiast mało pożywnej melasy.

Mniej więcej w pośrodku owego splachcia ziemi wznosi się dom z kamienia, pokryty jeszcze łupkiem i od tyłów przyozdobiony zacisznym, dużym gankiem.

Na kamiennym progu widnieje grubo i nieudolnie wykuta data roku 1703.

¹⁰eskulap (daw.) — przestarz., lit.: lekarz. [przypis edytorski]

¹¹powinien byłem (daw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika (inaczej: powinienem był), a przy tym forma czasu zaprzeczonego, wyrażającego czynność, stan itp. uprzedni w stosunku do czynności a. stanu wyrażonego czasem przeszłym prostym; znaczenie: powinienem uprzednio, wcześniej (coś zrobić). [przypis edytorski]

Dom ten od stu lat przeszło należy do naszej rodziny, która, pomimo ubóstwa, cieszy się w okolicy nieskażoną cnotą i nie byle jakim wpływem, gdyż tutaj, u nas, większy nieraz szacunek zdobyć może ubogi dzierżawca niż nowo przybyły, bogatszy, ale nieużyty szlachcic, posiadacz znacznych choćby ziemi.

A domek w West Inch szczyli się przy tym szczególną własnością.

Kiedyś mianowicie, kiedyś, inżynierowie i inni jeszcze kompetentni orzekli, że linia łącząca i rozdzielająca zarazem dwa kraje, biegnie z całą dokładnością przez środek naszego mieszkania, w ten sposób, iż najwspanialszy z pokoi sypialnych przecina niejako na dwoje, na dwie połowy: angielską i szkocką.

Przy tym łóżeczko moje z dawien dawna dumne było tym szczegółem, że „głowy” kierowały się ku północnej, „nogi” ku południowej granicy.

Przyjaciele moi utrzymują, że gdyby przypadek umieścił był nieszczęsne łóżko w położeniu akurat przeciwnym, zarost miałbym może jaśniejszy i nie tak czerwony, umysł zaś lotniejszy, nie tyle „uroczysty”.

Na obronę swoją to tylko powiedzieć mogę, iż raz jeden w życiu, kiedy moja ruda, szkocka głowa nie nasuwała mi żadnego sposobu wywinięcia się z niebezpieczeństwa, mocne, wypróbowane nogi Anglika przyszyły mi z pomocą i lotem wichru uniosły daleko.

Za to w szkole nieszczęśliwa owa własność stawała się powodem nieskończonych z kolegami zatargów i źródłem niezliczonych przezwisk — jedni ochrzcili mnie przydomkiem „*Grogu z wodą*”, dla innych byłem „*Wielką Brytanią*” inni jeszcze nadawali mi miano „*Unii Jacka*”.

Najgorsze cięgi spadały na mnie wtedy, kiedy pomiędzy małymi Szkotami i Anglikami zachodziła jakaś walna bitwa! Bo pierwsi zasypywali mnie gradem kopnięć i szturchańców w nogi, a kulaki i targania drugich najlepiej odczuwały moje uszy.

A potem zarządzano krótkie „zawieszenia” broni i obydwie obozy wybuchały przeciągłym, głośnym śmiechem, jakby osoba moja doprawdy przedstawiała coś niezwykle zabawnego.

Toteż w początkach pobytu w szkole w Berwick czułem się ogromnie nieszczęśliwy.

Starszym nauczycielem był pan Birtwhistle, młodszym — Adams, nie umiałem jednak się przywiązać do żadnego.

Z natury nieśmiały, małowówny i zamknięty w sobie, jak cień snulem się pomiędzy kolegami, upływały dni, tygodnie i miesiące, a ciągle jeszcze daleki byłem od zjednięcia sobie profesorów, od zawarcia przyjaźni z którymkolwiek z towarzyszy.

A Berwick od West Inch dzieliło mil dziewięć w prostej linii, jedenaście i pół, jeśli jechało się gościńcem.

Więc moje małe serduszek ścisnęło się na samo wspomnienie tych nieskończonych obszarów zalegających między mną i matką!

Pomyślcie tylko! Cóż, że małe „w tym wieku” udaje czasem dojrzałego i rad okazuje, że umie już obejść się bez pieczyt macierzyńskich? Ale kiedy wezmą go za słowo i oderwą z kochającego łona, cierpi gorzko i tym ciężiej, im mniej chciałby się do tego przyznać.

W końcu nie mogłem tak dłużej wytrzymać, postanowiłem uciec co rychlej¹² ze szkoły i wrócić do matki, do ukochanego domu.

Ale nigdy nie miałem szczęścia, bo trzebaż trafu, że — w ostatniej chwili — dopadłem zaszczytu ściągnięcia na siebie pochwał i uznania wszystkich, całego personelu kolegium, począwszy od dyrektora, a skończywszy na najostatniejszym uczniu — co oczywiście zmieniło do gruntu warunki i życie w szkole uczyniło bardzo pożądanym i przyjemnym.

A wszystko z powodu wypadku, jakiemu uległem, wyróciwszy — najzupełniej niechcący — koziołka przez okno drugiego piętra do ogrodu.

Oto jak rzecz się miała.

Pewnego wieczora Ned Barton, starszy kolega i kat całej szkoły, wybił mnie tak mocno i obdarzył takim mnóstwem potężnych kulaków, iż upokorzenie owo, przydane do reszty moich zgryzot, przepełniło i tak pełen już kielich dziecinnej goryczy.

Ukryłem pod koldrą twarz zalaną łzami i tłumiąc łkanie, przysiągłem sobie gorąco, że rano jutrzejszy zastanie mnie w West Inch, a co najmniej gdzieś blisko domu.

Państwo, Naród, Dom

Szkola, Przemoc, Uczeń,
Syn, Matka, Ucieczka

¹²co rychlej (daw.) — jak najszybciej. [przypis edytorski]

Wprawdzie sypialnia nasza znajdowała się na drugim piętrze, słyłem jednak ze zwinności i nie doznawałem zawrotu głowy na najbardziej niebotycznych drzewach.

Nigdy nie uczuwałem też najmniejszej trwogi, kiedy w West Inch spuszczałem się z folwarcznego muru, po sznurze wprawdzie, i mocno nim w pasie owiązany, ale z wysokości pięćdziesięciu trzech stóp od powierzchni ziemi!

Stąd ani mi przez myśl nie przeszło, bym nie potrafił wymknąć się z sypialni i spod czujnego oka srogiego pana Birtwhistle'a.

Czekałem tylko niecierpliwie, aż ustaną szepty, słowem wszelki ruch w pokoju, co zwiastowałoby zaśniecie wszystkich.

Kiedy ustały wreszcie najdrobniejsze nawet szmery, a tu i ówdzie ozwało się nawet chrapanie i z długiej linii drewnianych łóżek cicho i równo jał dobiegać miarowy oddech śpiących, podniosłem się z posłania bez szelestu, śpiesznie naciągnąłem na siebie ubranie, chwyciłem buty w rękę i powoli, na palcach, skierowałem się ku oknu.

Otworzyłem je cichutko i zagłębiłem wzrok w ciemną przestrzeń.

U stóp moich roztaczał się olbrzymi ogród, a tuż koło ręki zwiślały wielkie konary rozłożystej gruszy.

Czegóż mógł żądać więcej chłopak lekki i zwinny, jakim ja wtedy byłem — jedna chwila i zsunę się oto po gruszy, niby po drabinie.

A raz znalazłszy się w sadzie, muszę przeskoczyć tylko mur, pięć stóp wysoki, istna fraszka.

Potem zaś jedynie pozostanie przestrzeń, dzieląca mnie od domu ojców.

Ująłem więc silnie zbawczą gałąź, oparłem kolano na innej, trochę grubszej i miałem już wyskoczyć z okna, gdy nagle znieruchomiałem, zastygłem, zmieniłem się w kamień.

U szczytu szkolnego muru ciemniała jakaś twarz nieznaną, tak zwróconą, jakby patrzyła tu — ku mnie.

Dreszcz lodowaty przebiegł moje ciało i zaraz zacząłem drżeć mocno, tak dziwnie przerażała mnie ta twarz blada, o mur oparta, trwająca bez ruchu.

Po chwili księżyc oblał ją martwym, zielonawym światłem i wtedy dojrzałem oczy skrzące się i biegające niespokojnie, kilkakrotnie nawet podniosły się w górę, ale mnie nie dostrzegły pod gęstą osłoną liści gruszy, które okrywały mnie niby firanką.

Potem gwałtownym ruchem twarz dźwignęła się wyżej i ukazała długą, obnażoną szyję.

Minęło jeszcze kilka sekund i zaczerniały ramiona, tułów, wreszcie kolana obcego człowieka.

Usiadł teraz na murze, jak na koniu, schylił się i wkrótce, z widocznym wysiłkiem, przyciągnął ku sobie jakiegoś chłopca, mego mniej więcej wzrostu, który dyszał ciężko i lkał cicho, zatykając usta ręką.

Starszy poszturchiwał go ciągle i szeptał coś groźnym głosem, krzywiąc się przy tym szkaradnie.

Następnie obaj położyli się na ziemi i jęli pęłzać ostrożnie, kryjąc się w trawach, to wychylając znowu.

Wkrótce znikli mi z oczu, ja zaś pozostawałem ciągle w tej samej pozycji, z jedną nogą na gruszy, a drugą na występie okna, nie śmiejąc się poruszyć — trochę ze strachu i trochę z obawy zwrócenia ich uwagi, zresztą — po chwili — dostrzegłem znowu dwie sylwetki, skradające się jakimś wilczym, złym, kurczowym ruchem, w linię cienia, rzucanego przez gmachy kolegium.

I nagle, tuż pod moimi stopami, rozległ się szcęk głuchy czegoś żelaznego, a potem ściszone, przeciągłe dźwięczenie szkła, upadającego na ziemię.

— Zrobione — szepnął mężczyzna grubym, ochryplym głosem — włącz teraz, a prędko!

— Ależ otwór jest najeżony odłamkami szkła potrzaskanego — bronilo się dziecko, całe drżące z trwogi.

Z ust złodzieja wybiegły jakieś gniewne słowa.

— Włącz, mówię ci, przeklęty szczeniaku! — zasyczał ze złością — albo...

Nie mogłem dojrzeć, co uczynił, tylko prawie jednocześnie przyplął do mnie stłumiony jęk bólu.

— Idę, już idę — bełkotał niewyraźnie nieszczęśliwy malec.

Nie słuchałem dłużej, bo nagle — zakręciło mi się w głowie...

Pięta zsunęła się z gałęzi...

Krzyknąłem strasznie i całym ciężarem moich dziewięćdziesięciu pięciu funtów¹³ spa-
dłem na pochylony grzbiet złodzieja.

Nie wiem, jak się to stało, i dziś nawet nie umiałbym powiedzieć, czy to był wypadek,
czy też skoczyłem umyślnie.

Być może, iż zamierzałem właśnie to uczynić, kiedy pośliznęła mi się noga i przypadek
rozstrzygnął trudną kwestię.

Człowiek ów schylał się właśnie i wyciągając długą szyję, pomagał malcowi przedostać
się przez zbite okno, kiedy, jak ciężki pocisk, zwałił się na niego, przytłaczając w miejscu,
gdzie szyja staje się tak zwaną pacierzową kością¹⁴.

Wydał tylko rodzaj urywanego, świszczącego krzyku, padł na wznak i potoczył się
ciężko, głęboko ryjąc ziemię.

Towarzysz jego dał susa w bok i w mgnieniu oka zniknął poza murem.

Ja zaś usiadłem w trawie i jąłem wrzeszczeń wniebogłosy, usiłując jednocześnie roz-
cierać prawą swoją nogę, w której uczuwałem ból tak nieznośny, jakby ją kto ścisnął
w rozpalone do białości kleszcze.

Nic więc dziwnego, że nie upłynęła chwila, kiedy dom w pełnym komplecie, z dy-
rektorem na czele i stajennym, niosącym latarnię, zbudził się i biegł do sadu.

Tutaj wyjaśniono sprawę w oka mgnieniu.

Jęczącego złodzieja umieszczono na zerwanej okiennicy i zabrano pod silną eskortą.

Mnie zaś poniesiono w tryumfie i złożono troskliwie w specjalnej sypialni, gdzie
wkrótce przybył chirurg Purdie, młodszy z dwóch lekarzy noszących to słynne nazwisko,
i umiejętnie złożył moją połamaną goleń.

Potem opatrzone rzezimieszka, doktor orzekł, iż obydwie nogi ma sparaliżowane i na
razie nie wiadomo, czy kiedykolwiek odzyska w nich władzę.

Prawo jednak nie czekało, aż medycyna wyjaśni tę kwestię, gdyż w sześć tygodni
później skazano winnego na śmierć przez powieszenie i wyrok wykonano niezwłocznie,
przy sądzie kryminalnym w Carlyle.

Ukarano go zaś z taką surowością nie tyle za ostatnią kradzież, ile że poznano w nim
najzuchwalszego bandytę, jaki kiedykolwiek grasował na północy Anglii, na sumieniu
zbrodniarza ciążyły podobno trzy jakieś ohydne morderstwa i niezliczona ilość win innych,
za które powinien był już wisieć dziesięć razy.

Teraz jest chyba jasne, że nie mógł mówić wam o swej młodości, pomijając ten
szczegół, najważniejszy i najdonioślejszy w skutki.

Na przyszłość również nie pozwolę się unieść opisywaniu żadnych pobocznych wypad-
ków, gdyż skoro pomyślę o tym wszystkim, co z konieczności samej muszę tu zamieścić,
widzę, że to istna gmatwanina — splątany misternie kłęb zdarzeń — i wtedy zaczynam
wątpić, czy — rozwodząc się tak szeroko — dobrnę szczęśliwie do końca.

Bo jeśli ktoś opowiada tylko własne swoje życie, ściśle zamknięte w szczupłym kole
wrażeń osobistych — może mu to wprawdzie zabrać wiele czasu, lecz ma przynajmniej
pewną linię wytyczną, którą się kieruje — skoro jednak losy złączą czyjąś mizerną dolę
z wypadkiem tak wielkiej wagi, jak te, które chciałbym tu poruszyć — wtedy na każdym
kroku napotyka się nieprzewidziane i coraz zawilsze do pokonania trudności, i podobno
mądrze czyni ów, który w myśli kreśli przedtem całkowity plan i szkielet owej pracy.

Za to pamięć mam doskonałą i umysł, chwała Bogu, jeszcze nie zaćmiony, i staram
się odtąd opowiadanie moje uczynić tak zwięzłym, jak tylko nim być może.

Owa przygoda z włamywaczem stała się otóż niejako zawiązkiem przyjaźni pomiędzy
mną i Jimem, synem doktora Horscrofta.

Nie znaczyło to wcale nic byle jakiego, bo Jim był chlubą szkoły i przywódcą wszyst-
kich prawie od chwili wejścia do kolegium, gdyż w niespełna godzinę pobił się z Bartonem
i przerzucił go przez wielką klasową tablicę, Bartona, największego zawiadanię i najsilniej-
szego z nas aż dotąd.

¹³ *funt* — dawna angielska jednostka wagi równa ok. 0,45 kg. [przypis edytorski]

¹⁴ *kość pacierzowa* — kręgosłup. [przypis edytorski]

Przy tym rósł i rozrastał się w oczach. Wtedy już był nad wiek wysoki, muskularny, barczysty, tęgi.

Ręce długie, prędkie ruchy i prędsze jeszcze czyny, przydawały mu oczywiście w naszych oczach nadzwyczajnego uroku, kiedy zaś oparł o mur szerokie swoje plecy i pięści zagłębił w przepaściste kieszenie dolnego ubrania, a spojrzął z dumą, śmiało — drżeli i bali się wszyscy.

Pamiętam także, że miał zwyczaj żuć bezustannie słomkę i przy tym trzymał ją w zębach jakimś szczególniejszym ruchem, tym samym, którym później pykał nierozłączną już fajeczkę.

Jim otóż stał się dla mnie niezmienny w złej i dobrej doli, od początku przyjaźni, od pierwszego dnia, kiedyśmy się zapoznali i zbliżyli.

Boże! Jakiśmy¹⁵ dla niego mieli podziw i szacunek!

Podówczas byliśmy wprawdzie wszyscy „jako te dzikie płonki”, ale też względy, którymiśmy¹⁶ go otaczali, zawierały w sobie coś z bojaźni i zachwytu maluczkich wobec oczywistej siły.

Kolegował przecież z nami Tom Carndale z Appleby, który sam potrafił układać wiersze alkaiczne i pięciostopowe, a heksametrem¹⁷ władał, jak każdy z nas pięścią — jednak nikt nie poświęciłby w obronie jego „czci” jednego szcztka¹⁸.

Był i Willie Earnshaw, który umiał na pamięć wszystkie daty, począwszy od zabójstwa Abla, aż do dni dzisiejszych, i to tak doskonale, że nauczyciele sami nieraz zwracali się do niego, skoro zdarzyły się jakieś w materii owej wątpliwości, cóż kiedy miał wąskie piersi, był wysoki i chudy jak tyczka, a w dniu, w którym Jack Simons, malec z trzeciej, zapędził go w róg korytarza, wywijając tylko paskiem z metalową sprzączką — od śmiechu kolegów nie obroniły go nieskazitelne daty!

A niechby który spróbował postąpić tak z Jimem Horscroftem!

Toż o jego sile krążyły wśród nas istne legendy, z ust do ust podawane z pobożnym przejęciem i z niekłamany zachwytem.

Czyż nie on to wyłamał drzwi dębowe, wiodące do sali gier, jednym uderzeniem pięści? Czyż nie on, w dniu, w którym duży Merridew zdobył piłkę, chwycił w pół wielkoluda i dobiegł do mety wyprzedziwszy jeszcze po drodze wszystkich innych przeciwników?

Stąd niejednemu z nas wydawało się nieraz godnym oburzenia, by zuch tej miary musiał łamać sobie głowę nad spondejami¹⁹ albo daktyłami²⁰, lub obowiązany był wiedzieć, kto podpisywał *Charta Magna* — Ustawę Kardynalną — Kartę Swobód w Anglii²¹?

I skoro kiedyś, wobec całej klasy, oświadczył, iż powołał ją do życia król Alfred, my, wszyscy młodzi, byliśmy przekonani, że tak właśnie odbyć się musiało i że Jim wie prawdopodobnie lepiej niż ten, kto pisał nieszczęsny podręcznik.

Wypadek z włamywaczem od razu ściągnął szczególniejszą uwagę Jima na moją, podówczas mizerną, osobę.

Z powagą położył mi rękę na głowie i uroczyściej jeszcze oznajmił, że jestem skończonym wisusem, kto wie, może nawet wcielonym diabłem, co napełniło mnie niezmierną dumą i przynajmniej z tydzień pyszniłem się nowym przydomkiem.

Potem zaś staliśmy się najserdeczniejszymi przyjaciółmi, a przyjaźń owa zacieśniała się przez następne dwa lata, nieledwie z każdym dniem więcej, pomimo różnic, jakie pomiędzy nami żłobiły nauki i szkoła; i chociaż popędliwość i nierozwaga pchnęły go do niejednego czynu, który w głębi martwił mnie, a nieraz ranił, kochałem go jednak

¹⁵jakiśmy mieli (daw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: jaki mieliśmy. [przypis edytorski]

¹⁶którymiśmy go otaczali (daw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: którymi go otaczaliśmy. [przypis edytorski]

¹⁷heksametr — najstarsze znane metrum europejskiej poezji epickiej; heksametrem napisane są greckie eposy *Iliada* i *Odyseja* Homera. [przypis edytorski]

¹⁸szcztetek (daw.) — prztyczek. [przypis edytorski]

¹⁹spondej — w poezji stopa metryczna złożona z dwóch sylab długich (w wierszach iloczynowych) lub akcentowanych. [przypis edytorski]

²⁰daktyl — w poezji stopa metryczna (w metryce iloczynowej) składająca się z trzech sylab: jednej długiej i dwóch krótkich; nazwa pochodzi stąd, że grecki wyraz daktylos (stgr. *δάκτυλος*, dosł. palec) ma właśnie taki układ sylab. [przypis edytorski]

²¹*Charta Magna*, *Ustawa Kardynalna*, *Karta Swobód* — dokumenty stanowiące kamienie milowe prawodawstwa i ustroju państwowego w Anglii. [przypis edytorski]

jak najmilszego brata i dnia, któregośmy się rozstawali na dłużej, kiedy odjeżdżał do Edynburga, by tam poświęcić się studiowaniu zawodu swego ojca, doktora, dnia tego wylałem morza łez, zdolne zapelnąć przynajmniej dwie butelki atramentu.

U pana Birtwhistle'a przebyłem pięć lat jeszcze i sam potem zostałem najgłośniejszym zawadiaką szkolnym, wprawdzie byłem chuderlawy i tak smukły jak prątek fiszbinu, ale moje żyłaste i silne ramiona umiały nakazać sobie posłuch i szacunek, nie taki może, jaki wzbudzała okazańsza postawa mego niezapomnianego poprzednika, jego bajeczne muskuły i nieprawdopodobna waga, dostateczny jednak, by zapewnić sobie pierwsze miejsce wśród poczciwych towarzyszy.

Jakoś, pamiętam, w jubileuszowym roku, opuściłem przecież mury kolegium Birtwhistle'a.

A potem trzy lata przebyłem w domu, ucząc się obchodzić z naszymi stadami, gdy tymczasem floty i armie ścierały się ciągle — i posępny cień Bonapartego rozpościerał się bez końca nad moim umęczonym krajem.

Czy mogłem wtedy odgadnąć, że i ja również kiedyś przykładać się będę do odwrócenia tej chmury, która coraz niżej zwisała i niżej, i kładła się już prawie na potruchlale głowy mojego narodu?...

ROZDZIAŁ DRUGI. EDIE Z EYEMOUTH

Na kilka lat przedtem — przed powyższymi wypadkami — kiedy jeszcze byłem prawie dzieckiem, zjechała do nas jedyna córka brata mego ojca i bawiła około pięciu tygodni.

Willie Calder w młodości jeszcze osiedlił się w Eyemouth, w charakterze fabrykanta sieci i z kręcenia sznurów potrafił ciągnąć bez porównania lepsze korzyści, niż my z piaszczystych, gdzieśgdzie tylko pokrytych janowcem²² „landów” w West Inch.

Toteż córeczka jego, Edie, zjawiła się u nas w pąsowym staniczku, w kapeluszu, który kosztował co najmniej pięć szylingów i w towarzystwie kufra kryjącego takie cuda, że na widok ich nie tylko mnie, ale i matce mojej paliły się oczy.

I dziwnie było patrzeć, jak sypała wokoło pieniądze, nie targując się, nie licząc, jakby bogaczka z bajki — to dziecko, prawie siostra.

Woznicy dała na przykład wszystko, czego żądał, i jeszcze nowiuteńki, dwupensowy pieniądz, do którego nie miał najmniejszego prawa.

Z imbirowego piwa niewiele co więcej robiła sobie niż ze zwykłej wody, do herbaty używała stale cukru, chleba nie umiała inaczej jeść, jak grubo posmarowanego masłem — zupełnie jakby była prawdziwą Angielką.

Co do mnie, wtedy jeszcze nie zwracałem prawie uwagi na dziewczynki i zupełnie nie mogłem pojąć, w jakim celu zostały stworzone.

U Birtwhistle'a żaden z nas nie raczył o nich myśleć, a najmłodszy okazywał się najmądrzejszymi, bo który tylko podraślał, zaraz — dziwnym zbiegiem okoliczności — okazywał się mniej stanowczy w tych, zdawało się, niepodlegających najmniejszej wątpliwości, kwestiach.

Najmłodszy bowiem zgadzali się jednogłośnie, że: stworzenie nieumiejące się bić, trwające czas na powtarzaniu nudnych plotek i które nawet nie potrafi rzucić zwykłego kamienia inaczej, jak wymachując w powietrzu ręką tak niezgrabnie, jakby to chodziło o marny gałganek — jest po prostu do niczego i nie zasługuje na jakie takie choćby względy.

Zresztą — trzeba je widzieć, jak nadają sobie tony, myślałby kto, że stanowią ojca i matkę w jednej swej osobie, wtrącają się do naszych gier, do naszych zabaw i od czasu do czasu cedzą ze śmieszna wyższością: „Jimmy, goły palec wygląda ci z trzewika”, albo: „Idź do domu, brudasie, i umyj się, zanim »zezcemy« się bawić”... słowem, umieją tylko dokuczać i w owej epoce każdy z nas co tchu zmykał na widok cienkich nówek i krótkiej sukienki.

Skoro więc kuzynka Edie pojawiła się nagle w West Inch, nie zanadto byłem zachwycony perspektywą spędzenia wspólnych z nią wakacji.

²²janowiec — rodzaj roślin należący do rodziny bobowatych, do najbardziej znanych odmian należy janowiec barwierski; niskopienny krzew występujący wśród suchych zarośli, w lasach w miejscach dostępnych dla słońca, na słonecznych wzgórzach, kwitnący od czerwca do sierpnia, o intensywnie żółtych kwiatkach motylkowych. [przypis edytorski]

Dzieciństwo, Kobieta,
Mężczyzna, Dziecko,
Obyczaje, Zabawa

Miałem wtedy lat dwanaście.

Edie była o rok młodsza.

Pamiętam jej szczupłą, wysoką sylwetkę, duże, czarne oczy, śmiałe ułożenie²³ i dziwne maniery.

Najczęściej patrzyła gdzieś nieruchomo, przed siebie, z przymglonym trochę wzrokiem i rozchyłonymi ustami, jakby dostrzegała coś osobliwego, skoro jednak zbliżałem się na palcach i stawałem za nią, a potem zwracałem głowę w tym samym kierunku, widziałem tylko albo rodzaj sadzawki do dojenia owiec, albo ciemne stosy nawozu, lub wrzecie rozmaite części ojcowego ubrania, suszące się w słońcu.

A jeśli ujrzała kilka krzaków albo kępę paproci, czy coś innego, równie pospolitego, wpadała w niezrozumiałą, niemilknący zachwyty.

— Ach, jakież to piękne! Ach, jak tu prześlicznie! — szeptała leniwie, mrużąc oczy.

Mysłałby kto, że podziwia obraz albo jakiś słynny pomnik...

Nie lubiła gier wspólnych i rzadko bardzo udawało mi się namówić ją, żeby choć zabawiła się w kotka i myszkę, a i to odbywało się bez najmniejszego ożywienia, gdyż doganiałem zwykle dziewczynkę w trzech skokach, ona zaś nie umiała przyłapać mnie nigdy, choć robiła zamieszanie i podnosiła wrzawę za dziesięciu chłopców.

Zirytowany, zaczynałem jej dokuczać, mówiłem, że jest do niczego, że stryj mógłby zrobić coś lepszego, niżli wychowywać taką niedołęgę i inne podobne grzeczności, a wtedy Edie wybuchała płaczem, oznajmiała, że mam błąk niezdolny i głuptas, że odjedzie tego samego wieczora i nie przebaczy mi nigdy.

Ale nie upłynęło i pięć minut, kiedy zapominała o najsroźszych swoich groźbach.

Co zaś było najdziwniejsze, to że daleko więcej miała do mnie przywiązania niż ja do niej i dzień cały nie dawała mi spokoju.

Szukała mnie, gdy odbiegłem, wyszperała w najdoskonalszej kryjówce, wykrzykiwała wtedy z radością: „Ach! jesteś tutaj?!!” — i udawała zdziwioną.

Prędko jednak dostrzegłem w niej i dobre strony.

Od czasu do czasu wtykała mi przemocą kilka pensów, tak że raz zdarzyło mi się posiadać jednocześnie cztery, co mi się najlepiej jednak podobało, to opowiadane przez nią bajki.

Wiedziałem, że okrutnie boi się żab i ropuch.

Nie omieszkałem więc codziennie chwycić jednej i grozić, że włożę za kołnierz struchlałej ofiary, chyba... że opowie jaką ładną historyjkę.

Sumienie miałem spokojne, tłumacząc sobie, że tylko pomagam jej zacząć, bo skoro już raz wpadła w zapał, żadna siła nie mogła utrzymać potoku słów, płynących z koralowych ustek!

Potem zaś słuchałem niestworzonych bredni z zapartym prawie oddechem, cały w pobożnym skupieniu.

Więc w Eyemouth pojawił się kiedyś okrutny pirat, barbarzyńca.

Za pięć lat miał wrócić na okręcie wyładowanym po brzegi samym złotem i pojąć ją, Edie, za żonę.

Kiedy indziej znów opowiadała, iż do Eyemouth zawitał błędny rycerz i ofiarował jej pierścień, o który miał jakoby upomnieć się za bliskim powrotem²⁴.

Edie, mówiąc to, ukazywała mi obrączkę, do złudzenia podobną do tych, które podtrzymywały firanki mego łóżka i zapewniała, że jest zrobiona ze szczerzego złota.

W tym miejscu ośmielałem się głoś zabrać i pytałem, co uczyni rycerz, jeśli się spotka z piratem?

Edie objaśniała bez wahania, że zmiecie mu zuchwałą głowę z karku za jednym zamachem!

Co oni widzieli w tej chudej, czarniawej dziewczynce?

To przewyższało już zakres mej inteligencji.

Potem zwierzała się jeszcze, iż w czasie podróży do West Inch pragnął się jej przedstawić pewien przebrany, niezmiernie bogaty książę...

²³ułożenie (daw.) — maniery, sposób zachowania. [przypis edytorski]

²⁴za powrotem (daw.) — wracając; kiedy powróci. [przypis edytorski]

Tu już nie umiałem powściągnąć zdumienia i wyrażałem pewne wątpliwości — po czym mianowicie mogła poznać księcia?...

— Po przebraniu — odcinała bez namysłu.

Innego znów dnia opowiadała w tajemnicy, że ojciec jej układa niezwykle trudną zagadkę, a kiedy będzie gotowa, ogłosi ją w „Gazecie z Berwick”, a potem konieczne chciała się dowiedzieć, co z nią uczynię, skoro ją, Edie, otrzymam z łaskawych rąk ojca?

Wtedy wyrzekłem z dumą, że doskonale umiem zgadywać szarady, niechże więc przysła mi tę, skoro tylko będzie ukończona.

Dziewczynka szepnęła, że zagadka pojawi się w „Gazecie z Berwick”, a potem koniecznie chciała się dowiedzieć, co z nią uczynię, skoro ją, Edie, otrzymam z łaskawych rąk ojca?

Odparłem, że sprzedam ją przez licytację, więc oczywiście temu, kto ofiaruje najwięcej, prędko jednak pożałowałem słów swoich, gdyż tego wieczora Edie nie chciała już opowiadać mi bajek, w niektórych razach okazywała się nieubłagana.

Jim Horscroft był nieobecny cały czas, który Edie spędziła w domu mych rodziców.

Powrócił dopiero w kilka dni po jej wyjeździe i pamiętam, jak mnie niezmiernie zdziwiło, że raczył zadawać pytania i okazywać jakiegokolwiek zajęcie osobą zwyczajnej, na domiar nieznannej dziewczynki.

Więc pytał, czy ładna, a kiedy odrzekł, że nie uważałem, wybuchnął głośnym śmiechem, przezwal mnie skrytym i zapowiedział, iż wkrótce otworzą mi się oczy.

Potem jednak zajęliśmy się zupełnie czym innym i mała kuzynka na dobre wywietrzała mi z głowy, aż do dnia, w którym wzięła moje życie w swoje ręce i złamała, jak ja mógłbym złamać teraz gęsie pióro.

Stało się to w roku 1813.

Opuściłem właśnie szkołę — miałem już lat osiemnaście, co najmniej czterdzieści włosków na górnej wardze i nadzieję posiadania z czasem więcej.

I z chwilą rozstania się z murami zakładu czcigodnego pana Birtwhistle’a dziwnie się zmieniłem.

Unikałem towarzyszy, żadnej z gier nie umiałem oddać się z dawnym zapałem.

Za to wymykałem się na wybrzeże, albo w ciemnozielone zarośla janowców i tam, wyciągnięty na piasku, pozwalałem słońcu pieścić moje ciało, albo wpatrywałem się w dal, nieruchomo, na wpeł bezwiednie rozchylając usta, zupełnie jak to czyniła dawniej mała Edie.

Dobre to były czasy! Wtedy radowało mnie wszystko, a kiedy mogłem biec prędej lub skakać wyżej niż mój bliźni, uważałem życie za rozkoszne i dostatecznie wypełnione.

A teraz, teraz, wszystko to wydawało mi się dzieciństwem i marnością.

Niezrozumiałe westchnienia poruszały moją pierś młodzieńczą, wznosiłem oczy ku jasnym błękitom niebios, to znów zatapiałem w szafirowoszmaragdowych głębiach pieniającego się u stóp mych morza.

Coś, jakby ciężar nieznośny, tłoczyło mi myśli, czułem, że brak mi czegoś, nie umiałem jednak uprzytomnić sobie, coby to właściwie być mogło.

Stawałem się zły, zgorzkniał — coraz gorszy i bardziej zniechęcony.

Niekiedy wydawało mi się, że każdy nerw czuję, że wszystkie są we mnie chore i tak naprężone, iż którykolwiek lada chwila pęknie.

Matka często zatrzymywała na mojej twarzy niespokojne, troską zasnutę oczy i pytała z cicha, czy mi co nie dolega, ojciec od czasu do czasu napomynał o potrzebie bardziej wytężonej pracy — obojgu odpowiadałem tak opryskliwie i cierpko, że nieraz potem doznawałem w głębi ducha ciężkich, najcięższych wyrzutów.

Bo można mieć więcej niż jedną żonę, więcej niżli jedno dziecko i niejednego przyjaciela, ale jedną jedyną tylko matkę, jedyne go ojca!

Więc trzeba ich szanować i czcią otaczać, póki żyją, modlić się do zmarłych.

Ale wróćmy się do rzeczy. Kiedyś oto, kiedy wracałem z pola, wiodąc do owczarni stado, z daleka jeszcze dostrzegłem ojca, siedzącego przed domem, z listem w ręku.

Był to wypadek rzadki i niezwyklej wagi, gdyż właściwie wcale nie odbieraliśmy listów, z wyjątkiem tego, który zjawiał się regularnie w oznaczonym czasie, pisany przez plenipotentą i przypominający o uiszczeniu dzierżawy.

Ojciec, Matka, Dziecko

Przyśpieszyłem więc kroku i po chwili, zauważyłem, że staruszek płacze, co nappełniło mnie, pamiętam, przede wszystkim ogromnym zdumieniem, bo myślałem dotąd, że to wyłączna właściwość kobiet — rzecz niepodobna dla mężczyzny.

Zbliżyłem się jeszcze więcej i nie umiałem oderwać wzroku od zmienionej i postarzałej nagle twarzy ojca. W poprzek lewego policzka biegła tak głęboka zmarszczka, że łzy nie mogły jej widocznie przebyć i toczyły się powoli brzegiem, aż do ucha, skąd dopiero ściekały na papier.

Matka siedziała przy nim i w milczeniu gładziła jego rękę, jak czasem pieści się małe dziecko, chcąc je uspokoić.

Cicho stanąłem opodal.

— Jeannie — skarżył się boleśnie ojciec — Jeannie, kochana żono. Biedny Willie już nie żyje. Wszystko stało się tak nagle. Dlatego nie pisali. To był podobno antraks²⁵, a potem uderzenie krwi do głowy... Tak pisze mi prawnik.

— Więc skończyły się jego troski — pocieszała łagodnym głosem matka.

Ojciec otarł mokre od łez uszy, milczał chwilę, a potem odezwał się, o wiele już spokojniej:

— Oszczędności swoje zapisał naturalnie córce, a jeśli, czego niech Bóg broni, nie zmieniła się od tego czasu, kiedyśmy ją ostatni raz widzieli — to nie na długo jej wystarczy. Czy pamiętasz, jak utrzymywała, że herbata u nas jest za słaba, mówiła to przecież o herbacie, której funt płaciłem po siedem szylingów!

Matka pokiwała w zamyśleniu głową i mimo woli spojrzała ku połciom słoniny, zwisającym od pułapu wielkimi płatami.

— Ten pan nie pisze, ile będzie miała — ciągnął ojciec dalej — zawsze jednak jest tam tego sporo, więcej może, niż potrzeba. I Edie zamieszka z nami, bo takim było ostatnie życzenie nieszczęśliwego mego brata.

— Więc musi płacić za swe utrzymanie — przerwała stanowczo matka.

W pierwszej chwili uczyniło mi się dziwnie przykro, że można mówić o pieniądzach w takiej smutnej chwili, potem dopiero pomyślałem, że jednak matczyśko ma rację, bo West Inch zaledwie wystarczał na najskromniejsze potrzeby nas trojga, więc każdy większy wydatek, nie rachując już osoby tak rozrzutnej jak Edie, mógł przyczynić się do deficytu, a zatem w następstwie — i smutnego wyrugowania z dzierżawy.

— Naturalnie, że zapłaci — odpowiedział tymczasem ojciec nieznoszącym wątpliwości tonem. — A przyjedzie dziś jeszcze. Jocku, mój chłopcze — dodał, zwracając się do mnie — zaprzęgnij do bryczki. Trzeba, żebyś zaraz wyruszył do Ayton. Zaczekasz tam na wieczorny dylizans²⁶, zabierzesz Edie i przywieziesz ją tutaj, do West Inch.

I kwadrans po piątej siedziałem już na kozle, energicznie popędzając poczciwą Souter Johnnie, naszą klacz długowłosą i liczącą tylko — około piętnastu wiosen — i z dumą oglądając się na świeżo malowany wasąg bryczki, która służyła nam jedynie w wielkie uroczystości kościelne i rodzinne.

Dylizans ukazał się właśnie, kiedy zajeżdżałem przed oberżę, i złożyłem wtedy dowód isticie zdumiewającej inteligencji, bo, zapomniawszy o ubiegłych sześciu latach, z zapalem szukałem w tłumie przyjezdnych małej, czarniawej dziewczynki, w krótkiej, kolan nawet niesięgającej sukience.

A kiedy tak błędziłem z wyteżonym wzrokiem i podaną naprzód szyją, ktoś dotknął nagle mojego ramienia, przede mną stanęła wysoka, żalobnie, lecz nadzwyczaj elegancko ubrana młoda dama i oznajmiła, że — jest moją siostrą cioteczną, Edie Calder.

Wiedziałem to podobno, gdyby mi się jednak nie była przedstawiła sama, mogłem dwadzieścia razy minąć ją i nie poznać.

Jeżeliby zaś Jim Horscroft zapytał mnie wtedy powtórnie, czy jest ładna, z pewnością po raz drugi nie umiałbym mu odpowiedzieć.

²⁵ *antraks* (daw., med.) — karbunkul, wrzód; węglik. [przypis edytorski]

²⁶ *dylizans* (z fr. *diligence*: pośpiech, z łac. *diligentia*: dokładność, skwapliwość) — kołowy pojazd konny używany od poł. XVI w. do poł. XIX w. do przewozu pasażerów i przesyłek pocztowych na stałych trasach obsługiwanych według ustalonego rozkładu jazdy; jako dylizanse używano dużych, zamkniętych pojazdów o wagonach mieszczących do kilkunastu osób, z tyłu i na dachu umieszczano przesyłki oraz bagaże, z przodu, na tzw. na kozle siedział woźnica kierujący powozem oraz konduktor kontrolujący opłaty itp. [przypis edytorski]

Była brunetką, i o wiele ciemniejszą, niż zdarzają się zwykle dziewczęta na naszym szkockim brzegu, a jednak poprzez te kruczne włosy przewijał się miedziano-złoty odcień, podobny trochę do cudnej, ciepłej barwy, jaką dostrzegamy w głębi płatków żółto-czerwonej róży.

Usta miała pąsowe i świeże, w twarzy malowała się stanowczość i zarazem dziwna słodycz, pod cienką skórą krążyła krew młoda, gorąca, a duże, czarne oczy patrzyły łagodnie i jasno, od pierwszej jednak chwili dostrzegłem w ich przepaścistych głębiach błędzący wyraz jakiejś złośliwej, figlarnej chytrkości.

Gdy stał tak przed nią i zachwyconym wzrokiem podziwiałem jej niezwykłą piękność, Edie obejmowała mnie tymczasem w kapryśne władanie, jakbym ja także był jakąś cząstką świeżego dziedzictwa. Po prostu wyciągnęła rękę i zerwała mnie jak kwiat, którym zapragnęła się przystroić.

Wysmukłą postać okrywała żałobna, powłóczysta suknia, która mnie wprowadziła w nieklamany podziw starannością wykończenia i oryginalnością formy, twarz przedtem osłaniał długi, krepowy welon, teraz w tył odrzucony i opływający ją czarną, lśniąca falą.

— Och! Jacku... — szepnęła nagle, przeciągłym i obcym angielskiej mowie akcentem, którego podobno nabyła na pensji, usuwając się i broniąc wypieszczonymi rączkami — nie, nie, Jacku... za starzyśmy²⁷ już chyba na to?...

Gdy ja, z niezręcznością prawdziwego wiejskiego niezgrabiasza, zbliżałem do jej twarzy swoje ogorzałe policzki i chciałem ją pocałować, jak uczyniłem wtedy, kiedyśmy się po raz ostatni widzieli...

Na krótką chwilę zapanowała między nami kłopotliwa cisza.

— Bądź tak dobry i daj konduktorowi szylinga — odezwała się niespodziewanie Edie, podnosząc ku mnie oczy z niemą prośbą — on tak troskliwie opiekował się mną całą drogę...

Splonąłem jak wiśnia, a potem zbladłem niby ściana i coś ostrego ukłuło mnie w serce. W kieszeni miałem jeden tylko srebrny, czteropensowy pieniążek.

Nigdy nie odczułem braku mamony tak dotkliwie i boleśnie, jak w owej nieszczęsnej chwili. Kolana się pode mną zgięły...

Edie objęła mnie szybkim spojrzeniem, potem twarz jej rozjaśnił dobry uśmiech i w milczeniu wsunęła mi do ręki zgrabną portmonetkę ze srebrnym zameczkiem.

Załatwiłem polecenie i chciałem oddać jej pieniądze, ale spotkał mnie wzrok serdeczny i prawie błagalny:

— Będziesz moim intendentem, Jacku — prosiła wesoło. — Czy to jest nasz „powóz?” Och, jaki zabawny! Gdzież usiądę?!

— Na tym worku — objaśniłem trochę niepewnym głosem.

— A jak się na niego dostanę?

— Oprzyj nogę na kole, pomogę ci z chęcią — postanowiłem już śmielej.

Jednym susem wskoczyłem do bryczki i ująłem małe, rękawiczką obciążone dłonie w swoje szorstkie ręce.

Edie zręcznie wspięła się do wózka i przez jedno krótkie mgnienie oddech jej był na mojej twarzy, oddech dziwnie gorący i słodki, a potem zaraz uczyniło mi się w sercu jasno i owe nieokreślone smutki, owe ciężkie i dręczące myśli pierzchnęły gdzieś bezpowrotnie i bez śladu.

I zdało mi się, że ta jedna chwila zabierała mnie sobie niejako na własność, że już nie będę nigdy tym co dawniej, bo oto czyniła mnie jakby członkiem, dojrzałym ogniwem, wśród całej rzeszy innych mężczyzn, moich towarzyszy, przyjaciół i braci.

Wszystko nie zajęło nawet tyle czasu, ile nasza pocziwa Johnnie zużyłaby na machnięcie swoim obfitym ogonem, a jednak... stało się i żadna siła nie cofnęłaby już tej przemiany.

Niewidzialne ręce zdarły mi oto zasłonę.

I ujrzałem się na progu życia szerszego, pełniejszego, słodszego, z głową pełną rojeń i szczęśliwych snów o przyszłości.

Kobieta, Mężczyzna,
Erotyzm, Siła

²⁷za starzyśmy już (daw.) — skrót od: za starzy już jesteśmy. [przypis edytorski]

Tu chmara myśli spadła na mnie niby wiosenna ulewa, ale zarazem zmieszałem się okrutnie i nie wiedząc prawie, co robię, zacząłem gorliwie poprawiać i układać wygodniejsze dla Edie siedzenie.

Ona tymczasem gonila w zamyśleniu spiesznie oddalającą się sylwetkę pocztowego dylizansu, który z hałasem zawracał w stronę Berwick.

Nagle uniosła się trochę i z całej siły jąła poruszać białą, misternie haftowaną, chustką.

— Zdjął kapelusz... — szepnęła cicho i może na wpół bezwiednie — zdaje mi się, że to był chyba oficer. Wyglądał „dystygowanie”. Czy go zauważyłeś? — pytała, pochylając się ku mnie — patrz, ten *gentleman* na imperialu, w brązowym paltocie i bardzo, bardzo przystojny.

Potrząsnąłem przecząco głową i cała moja radość gdzieś od razu znikła, znowu uczułem gorycz w ustach i zniechęcenie w duszy.

Przez długą chwilę było cicho.

— Co tam! Nie zobaczymy się już nigdy — ozwała się Edie z wesołym uśmiechem. — Ot, wjeżdżamy już między zielone pagórki, i ta droga brunatna, kręta — wszystko zostało mi w pamięci. Jak tutaj nic się nie zmieniło! Ty nawet, Jacku, prawie ten sam jesteś, co i dawniej. Tylko... śmiem żywić nadzieję... że postępowanie twoje ze mną ulegnie jakiej takiej zmianie?... Myślę, że nie zechcesz ustanawiać całego królestwa żab za moim nieszczęsnym kołnierzem?...

Dreszcz zimny przebiegł moje ciało na samo wspomnienie tych dziecinnych figłów.

— Uczynimy wszystko, co będzie leżało w naszej mocy, byleś się czuła szczęśliwa w West Inch — odparłem drżącym głosem i z uwagą przyglądając się sznurkom biczyska.

— Wielka to z waszej strony dobroć, że zgadzacie się przyjąć do siebie biedną, opuszczoną przez wszystkich dziewczynę — rzekła Edie cicho.

— Ty jesteś dobra, żeś chciała przyjechać — przerwałem wzruszony. — Obawiam się tylko, że wyda ci się u nas trochę smutno i nudno, a przede wszystkim monotennie.

— Wiedziałam o tym, Jacku — uspakajała mnie łagodnie. — Znam przecież to ciche życie. Sąsiadów nawet nie ma, o ile pamiętam?

— Owszem, jest major Elliot — zaprzeczyłem ze szczerą radością. — Mieszka niedaleko, w Corriemuir, i często całe dni spędza u nas. Stary to wprawdzie, ale dzielny żołnierz — pod Wellingtonem otrzymał postrzał powyżej kolana...

— Ależ, mówiąc o sąsiadach, nie miałam przecież na myśli staruszków, którzy przechowują w kolanach szaczątnie otrzymane kule — zaśmiała się wesoło Edie. — Myślałam o ludziach w naszym wieku, z którymi można się przyjaźnić! Ot, na przykład, ten stary, zgrzyliwy doktor — miał, zdaje się, syna, nieprawdaż?

— A jakże! Nazywa się Jim Horscroft i jest moim najlepszym przyjacielem.

— Czy tu mieszka?

— Nie, ale przyjedzie wkrótce. Studiuje medycynę w Edynburgu.

— Pamiętaj, Jacku, że chciałabym ci dotrzymywać towarzystwa, zanim on przyjedzie — szepnęła dziewczyna miękko, a mnie znowu radość zalała duszę cichą falą. — Ale dziś jestem okropnie zmęczona i pragnę jak najprędzej znaleźć się w West Inch.

Śmignąłem starą Johnnie batem i nie dawałem spokoju, aż póki nie puściła się klusem, co nie zdarzyło jej się nigdy przedtem ani potem.

W godzinę później Edie siedziała już za stołem nakrytym do wieczery.

Matka nie tylko postawiła przed nią masło, ale nawet galaretę z porzeczek w pięknej, szklanej salaterce, która w świetle świecy mieniła się wszystkimi kolorami tęczy i wyglądała bardzo uroczyście.

Przy tym nie minęło i pół pacierza, kiedy już zdążyłem zauważyć nieme zdumienie rodziców na widok zmian zaszłych w dawnej, i tak już eleganckiej, Edie, zdumienie, różne jednak zupełnie od tego, któremu ja doświadczałem, a które było rodzajem czci pokornej i tym silniejszego pociągu, im zdawała się w niedościglejszych dla mnie przebywach wyżynach.

Matkę, na przykład, tak usposobił dziwny wąż z drobnych piórek, który otaczał jej szyję, że mimo woli mówiła do niej miss Calder, zamiast po prostu Edie, a wdzięczne lichy wygrażało jej paluszkami, ilekroć odezwała się w ten sposób.

Po kolacji, kiedy dziewczę oświadczyło, że czuje się zmęczone i odeszło do swojej sypialni — oboje rodzice nie umieli rozmawiać o niczym, tylko o pięknej, czarnowłosej siostrzenicy, jej eleganckim obejściu i wysokim wykształceniu.

Nagle ojciec się zasępił.

— Wszystko to prawda — szepnął trochę gorzko i jakby z mimowolnym wyrzutem. — Ale wygląda mi na lekkomyślną. Śmierć mego brata nie rozkrzawiła jej zanadto serca.

Po raz trzeci dnia tego uczułem ból ostry w okolicach serca i zimny, przejmujący chłód w piersiach. W myśli stanęły mi wszystkie jej słowa i nie znalazłem wśród nich żadnego, które by dotyczyło niedawnej przeszłości i świeżo utraconego ojca...

ROZDZIAŁ TRZECI. CIEŃ NA WODACH

Piękna Edie nie potrzebowała wiele czasu na zagarnięcie pod swe czarodziejskie berło wszystkich mieszkańców West Inch, nie wyłączając nawet ojca. Królowała, niby dumna władczyni wśród wpatrzonych w każde skinienie poddanych.

Sypała przy tym pieniędzmi, za wszystko płaciła, jak żądano, żadne z nas jednak nie wiedziało, czy i kiedy ukaże się dno tych niewyczerpanych niby skarbów.

Skoro matka jej oznajmiła, że cztery szylingi tygodniowo w zupełności pokryją wszystkie jej osoby tyżące wydatki — Edie dobrowolnie podniosła tę sumę do wysokości siedmiu szylingów i sześciu pensów.

Pokój od południa, najśłoneczniejszy i którego okno całe tonęło w zieleni pnących roślin i bladoróżowych powojów, wspaniałomyślnie i jednogłośnie został przeznaczony dla niej, a po kilku dniach, kiedy przyozdobiła go mnóstwem ślicznych, w Berwick zakupionych drobiazgów, przybrał zupełnie inny, elegancki i „kunsztowny” wygląd.

Do miasteczka jeździła regularnie dwa razy na tydzień, ponieważ zaś nasza poczciwa Johnnie i starożytna bryczka nie przypadły jej jakoś do gustu, więc wynajmowała w tym celu piękny gig Angusa Whiteheada, który zamieszkiwał duży folwark po drugiej stronie zbrocza, więcej w głąb od brzegu.

I nie zdarzyło się chyba nigdy, by powróciła bez jakiejś drobnostki, którą ofiarowywała potem z radosnym uśmiechem. To przywiozła zgrabną fajeczkę dla ojca, to ciepły pled szetlandzki dla matki, książkę dla mnie albo piękną obrozę dla Roba, naszego owczarka.

Nie wiem, czy kiedykolwiek pod słońcem żyła rozrzutniejsza od Edie kobieta.

Co jednak nam dawała najlepszego, to swoją obecność — radość, wesołość i światło.

Dla mnie zmieniła świat cały.

Słońce świeciło teraz jaśniej, wzgórza okryły się piękniejszą zielonością, od morza szedł ożywczy, słony powiew, powietrze stało się przezroczyste i jakby bardziej błękitne...

Nasze dotychczasowe życie straciło swoją pospolitość, odkąd dzieliliśmy je z tą delikatną istotą, zgrzybiałą, szary, posępny dom ojcowski przyoblekł jakiś świąteczny, uroczysty wygląd, słowem, pojaśniało wszystko od dnia, w którym jej stopy dotknęły naszego ubożego progu.

Nie tylko piękna twarz Edie czyniła te cudy, nie uroda, choć należała do najpoważniejszych, ani kibić i jędrne, młode kształty, chociaż nie znałem dziewczyny, która mogłaby się pod tym względem z nią porównać.

Ale przede wszystkim jej sposób bycia, figlarne i trochę przekorne ułożenie, dziwna umiejętność prowadzenia „przymilnej” rozmowy, przede wszystkim swoboda i dumne ruchy, i wdzięk nieprzeparty, z jakim odrzucała suknię lub pochylała ciemną głowę, wdzięk nieokreślony w każdym słowie, każdym czynie i w każdym spojrzeniu...

I czuliśmy się niby proch pod jej stopami.

A przeciągły, wymowny i trochę proszący wyraz czarnych oczu i serdeczne, ciepłe słowa dźwigały pokornych i wiodły w zawrotny wir wyżyn.

Niepodobna było jednak dosięgnąć tych szczytów.

Dla mnie pozostawała zawsze istotą niedościągłą, nieskończenie daleką i królewsko dumną.

Nigdy nie umiałem pozbyć się tego uczucia, nigdy, pomimo przykrości, jaką mi to sprawiało, i najkunsztowniejszych rozumowań.

Cokolwiek przemyślałem, nie mogłem jednak uznać, że ta sama krew płynęła i w jej żyłach, że była właściwie moją cioteczną siostrą i wieśniaczką, tak jak ja wieśniakiem.

Im więcej też ją kochałem, tym większą mnie napełniała nieśmiałością i obawą, ona zaś spostrzegła to o wiele wcześniej, niż domyśliła się pierwszego...

Kiedy byłem z daleka, doznawałem dziwnego podniecenia i krew szybciej obiegała moje młode ciało, skoro zaś znaleźliśmy się razem, milkłem i drżałem tylko z trwogi, żeby jej nie obrazić jakim nieopatrzonym słówkiem, nie naprzykrzyć się sobą, nie rozdrażnić.

Gdybym wtedy znał głębiej naturę niewieścią, nie dręczyłbym się tak może na próżno, a z pewnością umiałbym lepiej wykorzystać chwile.

— Ogromnie zmieniłeś się, Jacku, zupełnie niepodobny jesteś do dawnego — oznajmiła mi kiedyś Edie, przeciągle patrząc spod rzęs czarnych i prześlicznych.

— Co innego mówiłaś, skorośmy się przywitali — zauważyłem zmienionym, któremu jednak usiłowałem nadać obojętność, głosem.

— Mówiłam, bo miałam na myśli po prostu twój wygląd, a teraz uderza mnie twoje dziwne zachowanie. Wtedy byłeś ze mną despotyczny i szorstki i wszystko robiłeś po swojemu. Taki prawdziwy, mały mężczyzna. Pamiętam jeszcze te wieczne potargane włosy i oczy pełne złośliwości i coraz to pomysłowszych figlów! Dziś jesteś melancholijny i jakby trochę senny, z ust twoich płyną słówka miodowe...

— Każdy się z czasem wyrabia — przerwałem, cały drżący.

— Tak... ale... wołałam ciebie takim, jakim wtedy byłeś — szepnęła bardzo cicho.

Ogarnąłem ją szybkim spojrzeniem. Myślałem zawsze, iż dotąd jeszcze nie przebaczyła mi dawnego traktowania.

Bo żeby tego rodzaju „sposób bycia” mógł przypadać do smaku komu innemu niż osobnikowi zbiegłemu z domu wariatów (bo tak przedstawiały mi się dzisiaj dawne moje figle), to już stanowczo przechodziło zakres mej inteligencji.

I nagle stanął mi w oczach czas, w którym zastawszy ją, na przykład, na progu, z książką na kolanach, umieszczałem na końcu giętkiego, leszczynowego pręcika drobne kuleczki gliny i póty w nią ciskałem, póki nie wybuchnęła płaczem.

Albo, schwytawszy w potoku Corriemuir największego, jakiegom mógł upolować, węgorza, ścigałem ją z tym węgorzem w rękę, z taką zaciekłością, że, na wpół martwa ze strachu, wpadała do kuchni, biegła do kolan mej matki i kryła się pod jej zbawczym fartuchem, ojciec zaś wymierzał mi potężne uderzenie warząchwą albo czym miał pod ręką, zwykle w ucho, które — razem z węgorzem — odrzucało mnie gdzieś aż pod kredens...

Więc tego żałowała?...

A zatem będzie musiała się obejść, bo prędzej uszłaby mi ręka, nim popełniłbym znowu którąś z dawnych okropności.

Wtedy także po raz pierwszy uchwyciłem wątek i dostrzegłem charakterystyczny rys dziwnej, niezrównoważonej natury kobiecej, i przysłała mi do głowy myśl genialna, że mężczyzna nie powinien zapuszczać się w żadne, karkołomne na temat ów dociekania, a tylko mieć się na baczności i usiłować uczyć się, uczyć się, uczyć...

I przez chwilę znaleźliśmy się wreszcie na jednym poziomie, mianowicie, skoro oświadczyła, że zawsze robi to tylko, co jej się podoba i jak się jej podoba. Potem dodała z figlarnym uśmiechem, że jednak nie byłoby to nieprzyjemnie mieć mnie tak na swoje usługi, jak na przykład Rob jest posłuszny na głos rozsądku objawiający mu się przez usta pewnego młodzieńca...

Tu każdy pomyśli, że jednak byłem kapitalnie głupi, pozwalając wodzić się pięknej dziewczynie na pasku.

I może w tym znalazłoby się ziarno prawdy, należy przecież pamiętać, iż wtedy nie znałem żadnych prawie kobiet, z tą zaś spotykałem się pod jednym dachem.

Na głębsze usprawiedliwienie swoje dodam jeszcze, że Edie — jako rodzaj — rzeczywiście była niezwykłą rzadkością, przy tym, mogę z czystym sumieniem zapewnić, iż miała „mocną głowę” i ujarzmiła po mistrzowsku.

Na przykład major Elliott.

Człowiek ten pochował trzy żony i uczestniczył w dwunastu walnych bitwach.

Tymczasem Edie mogłaby owinąć go koło swojego paluszka — niby mokrą szmatkę — Edie, siedemnastoletnia dziewczyna, która zaledwie opuściła pensję.

Jakoś wkrótce po jej przyjeździe spotkałem starego wychodzącego z naszego folwarku. Szedł powoli i kulał jak zwykle, jednak policzki dziwnie miał rozrumienione i nowy migotliwy błysk w oczach. Wyglądał o dziesięć lat młodziej.

Raz po raz podkręcał siwe wąsy, aż nastawił je w końcu niby szydła, prawie na linii oczu, a zdrową nogą stukał z taką butą, jakby co najmniej stawał do gry w *foot ball*.

Co ona mu powiedziała?

Jeden Bóg tylko wiedział, przecież niedobre przeczucie ścisnęło mi serce i w głowie jęło szumieć jak po starym winie.

— Koniecznie chciałem się z tobą zobaczyć, mój chłopcze — odezwał się major rześko — ale już późno i będę musiał wracać. Nie żałuję jednak trudu, gdyż miałem sposobność poznać *la belle cousine*²⁸, najbardziej zachwycające, najpowabniejsze stworzenie, jakie kiedykolwiek widziałem, mój kochany!

Styl miał ceremonialny i trochę szorstki, a przy tym zwyczaj wtrącania kiedy niekiedy wyrazów francuskich, które pozbierał w wyprawach swoich po szerokim świecie.

Zaczął z zapałem opowiadać coś o Edie, ja zaś słuchałem jak na rozżarzonych węglach, gdy nagle dostrzegłem wyglądający mu z kieszeni róg gazety.

Uczyniło mi się nieco lżej na sercu, wiedziałem już powód wizyty, staruszek chciał, jak zwykle, podzielić się wiadomościami z wojny.

W West Inch trudno było o dzienniki.

— Co słyhać nowego, majorze? — spytałem zaraz, rad, że mogę zmienić drażliwy dla mnie temat.

Wyciągnął gazetę z kieszeni i wstrząsnął nią tryumfalnie.

— Sprzymierzeni wygrali wielką bitwę, mój kochany — oznajmił z radosną dumą. — Myślę, że Nap niedługo już wytrzyma! Saksończycy go wyrzucili, pod Lipskiem doznał niepowodzenia, co się zowie! *C'est parfait*²⁹, drogi chłopcze. Wellington tymczasem przebył Pireneje, a pułki Grahama dotrą w krótkim czasie do Bayonne.

Wyrzuciłem z uniesieniem kapelusz w powietrze.

— Więc wojna nareszcie się skończy?! — zawołałem głośno.

— Wielki czas na to — odparł major z niezwykłą powagą. — Morza krwi wytoczono. I myślę, że może nie warto wspominać ci o tym, co tłukło mi się po głowie ostatnimi czasami?

— Co takiego? — podchwyciłem niespokojnie.

— Przychodziło mi na myśl, że nic tu właściwie nie robisz — zaczął z wolna — ponieważ zaś moje kolano nabiera po trosze dawnej sprężystości, zapragnąłem wstąpić znowu w służbę czynną. I zapytywałem się w duchu, czy nie pociągnęłaby cię perspektywa obozowego życia pod rozkazami starego majora?

Krew nabiegła mi do piersi gorącym strumieniem.

— Och! Jakżebym chciał tego! — wyrwało mi się z głębi duszy.

— Liczę, że upłynie jeszcze około sześciu miesięcy, zanim będę dostatecznie zdrów na pomyślnie odbycie oględzin komisji lekarskiej, z drugiej znów strony prawdopodobnie jest, że Boney³⁰ do tego czasu zostanie już sromotnie pokonany, gdyby jednak...

— Ale matka — przerwałem zmartwiony. — Pewno nie zechce mnie puścić?

— Nie będziemy się pytali! — oznajmił staruszek szorstko.

Kiwnął mi głową i oddalił się, kulejąc mocno.

Ja zaś zaszyłem się w krzaki i ukrywszy twarz w rękach, jąłem rozmyślać o tym, co mi powiedział major, o słowach, które ukazywały mi nowe, jeszcze inne światy. Sylwetka Elliotta tymczasem malala i majaczyła daleko, prawie na zakręcie drogi, niby duża, brunatna plama, wiatr rozwiewał mu z wściekłością polity płaszcz i uderzał o pled rzucony przez ramię, on zaś powoli i z widocznym wysiłkiem piął się po stromym zboczu skalistego wzgórza.

I przez chwilę ten schorowany, stary, a przecież rwący się do czynu człowiek wydał mi się jakąś tytaniczną, olbrzymią postacią, a moje własne życie na folwarku liche i nędzne, i nic warte³¹.

²⁸*la belle cousine* (fr.) — siostra cioteczna. [przypis edytorski]

²⁹*c'est parfait* (fr.) — to doskonale. [przypis edytorski]

³⁰*Boney* — pseudonim nadany Napoleonowi Bonaparte przez Brytyjczyków. [przypis edytorski]

³¹*nic warte* — dziś: nic nie warte. [przypis edytorski]

Spokojniem³² po prostu czekał, aż zastąpię ojca na tych samych siwych piaskach, na tym samym zboczach i przy tym samym, leniwie płynącym strumyku, i zawsze będę pasł owce, zawsze wzrok mój zatrzymywał się będzie na tym pochylonym, trochę zapadniętym domu ojców i praojców.

Albo na ciemnoblękitnych fałdach wiecznie szumiącego morza.

Ot, życie dla młodego, zdrowego mężczyzny!

A major, pochylony wiekiem, z dolegającą bezustannie i otwierającą się niekiedy raną, ten umiał roić śmiało plany i pragnął przyłożyć się do spraw ogólnych — ja tylko, w pełni sił fizycznych — dobrowolnie ztracałem się wśród gnuśnych wzgórz!

Twarz moją oblały płomienie palącego wstydu i jednym susem zerwałem się z ziemi, pełen gotowości do odjazdu, z mocnym postanowieniem wyzyskania sił wszystkich dla ojczyzny.

Przez dwa dni nie umiałem myśleć o czym innym.

Trzeciego zaszło coś, co umocniło mnie jeszcze w tych planach, a potem starło w proch wszystkie, na podobieństwo wiatru rozwiewającego najcięższe nawet kłęby dymu.

Edie i ja z nierozłącznym Robem wybraliśmy się właśnie na codzienną popołudniową przechadzkę...

Wkrótce znaleźliśmy się na najwyższym cyplu pochyłości, zstępującej z wolna na otwarty i płaski brzeg morski.

Jesień już się kończyła.

Jak okiem sięgnąć, wzrok napotykał tylko trawy, przywiedle, przykurzone i na wpół brunatne, słońce świeciło jednak jeszcze jasno i kładło na nas swoje gorące promienie.

Od południa szedł wiatr palący, a urywane, krótkie jego oddechy marszczyły nieskończone obszary morza, przewalającego się nam pod stopami.

Prędko nazbierałem chrustu i urządziłem dla Edie królewskie siedzenie. Rzuciła się na ów stos brunatnych gałązek zwykłym swoim, niedbałym trochę, ruchem, i z twarzą pełną uśmiechów, bo namiętnie lubiła ciepło, słońce i światło.

Ja zaś przysiadłem u jej stóp, w trawie. Po chwili Rob przyczołgał się także i złożył kudłatą głowę na moich kolanach.

Nad nami było tylko niebo i wielka, niezmacona cisza, a jednak i tutaj ów cień złowieszczy nie dał nam spokoju, bo nagle nad wodami zwiła groźna mara *tamtego* człowieka, tego, który imię swe wypisał krwawymi zgłoskami na kartach Europy, i na lądach całego prawie świata.

W oddali, na morzu pojawił się jakiś statek.

Zdaje się, że był to stary okręt handlowy o zwykłym, spokojnym wyglądzie, prawdopodobnie dążący do Leith.

Dostrzegliśmy wyraźnie pokład, duże, czworoboczne reje — wszystkie żagle były rozwinięte.

Minęła krótka chwila i z przeciwnej strony, od północo-wschodu ukazały się nagle dwie wielkie kropy, robiące wrażenie pospolitych, kupieckich statków, każda z ogromnym masztem i dużym, czworokątnym żaglem ciemnej, brunatnej barwy.

Z przyjemnością patrzyliśmy na owe trzy okręty sunące wyciągniętym sznurem i żwawo prujące fale, wśród których przejęcie ich znaczyła srebrno-biała smuga.

Wtem z jednego z owych kupieckich statków buchnął krwisty płomień, a zaraz potem kłęb czarnego dymu.

Z drugiego również wypelzł wężyk ognia.

Okręt handlowy odpowiedział przeciągłym trzeszczeniem, niby żalonym jękiem.

I w mgnieniu oka piekło przesłoniło jasne niebo, i na cichych niedawno wodach rozpasła się nienawiść: okrucieństwo i wszelkie krwi spragnione namiętności.

Zerwaliśmy się, zanim dobiegł nas jeszcze pierwszy grzmot wystrzałów i Edie, cała drżąca, oparła się o moje ramię.

— Oni się biją, Jacku! — krzyknęła z przestrachem. — Kto są ci ludzie? Kto to?!

Bicie mego serca wtórowało hukom armat, i dysząc ciężko, prędkim, urywanym głosem, jąłem szeptać:

³²spokojniem (...) czekał (daw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: spokojnie czekałem. [przypis edytorski]

— Są to dwaj korsarze francuscy, dwa sprawne dwumasztowce — *chasse-marée* — nazywają je tam, na południu. A ten, to któryś z naszych okrętów handlowych — i — jak prawda, żeśmy śmiertelni — tak ulegnie tym zbójom z pewnością. Major opowiadał mi kiedyś, że statki ich zaopatrzone są zawsze w doskonałą artylerię i tego obsadzone w ludzi. Ach! Czemuż nasi nie cofają się za wały broniące ujścia Tweed?!...

Bo napadnięty okręt nie myślał zwiąć żagli.

Przeciwnie, kołysał się dumnie na falach, potem coś ciemnego poruszyło się u szczytu masztu i po chwili zwiśla nasza narodowa flaga i jęła trzepotać się w słońcu.

A potem znowu huknęły armaty i usiłowały zgłuszyć kanonadę z wielkich dział, których paszcze czerniały na statkach korsarskich.

W chwilę później trzy okręty starły się tak blisko, że z dała tworzyły jakby jedną, ciemną, pokłębioną masę.

Statek handlowy mknął ciągle niby jeleni ścigany przez dwa wilki czepiające mu się bioder.

A nad wszystkimi kłębił się dym czarny i przesłaniał zwartym, złowrogim tumanem. Kiedy niekiedy tylko ukazywały się wśród niego maszty, żagle, reje albo błyskały języki płomieni i pięły się wyżej i wyżej...

Aż uczynił się tak piekielny hałas, taki huk nieprzerwany dział i armat, splątany z jakimś oguszającym wyciem, okrzykami radości i bezustannym prawie jękiem, że echo tych świstów i zgrzytów dźwięczało mi potem w uszach przez długie tygodnie.

Godzinę przeszło trwała bitwa, godzinę już dymy i błyski biegały po morzu, a my patrzyliśmy ze ściśniętym sercem na chwiejącą się ciągle banderę, co chwila przymykając oczy i bojąc się je potem otworzyć — z obawy, czy dostrzeżemy ją jeszcze u szczytu. Ale kołysała się bez przerwy.

A potem od ciemnej, skłębionej plamy odciął się statek o dużych, czworokątnych rejach, dumniejszy jeszcze i bardziej niewzruszony niż przed bitwą, okopcony, czarny — i puścił się w dalszą drogę.

Kiedy zaś dymy rozwiały się cokolwiek, ujrzeliśmy jednego z korsarzy, z pochylonym naprzód dziobem, niby zanurzająca się w wodę kaczką ze złamanym skrzydłem — szybko pogrążającego się w morze, drugi co tchu na własny pokład przesadzał załogę, i temu widać groziło niebezpieczeństwo wciągnięcia w wir, który tworzył się już koło przebitego statku.

W ciągu tej krótkiej godziny przeżyłem pół wieku i całą duszą brałem udział w bitwie.

Wiatr porwał mi gdzieś czapkę, ale nawet tego nie zauważyłem.

Z przepełnionym sercem zwróciłem się teraz do Edie i nagle mi się zdało, żeśmy ci sami, co przed sześciu laty.

Patrzyła nieruchomo przed siebie, usta miała rozchylone jak dawniej, jak wtedy, drobne ręce zaplotła tak mocno, że skóra na wypukłościach złościła się, jakby wyrzeźbiona ze słoniowej kości.

— Co za kapitan! — szepnęła, błędząc wzrokiem po zielonych zaroślach i żółtych janowcach — co za odwaga, jaki dzielny człowiek! Której z kobiet nie napełniłoby dumą posiadanie takiego małżonka?

— Świetnie sobie poradził, nieprawdaż!? — pytałem z dziecinną radością.

Edie objęła mnie nagłym spojrzeniem. W oczach jej czytałem, iż zapomniała, że tu jestem.

— Dałabym rok życia, gdybym mogła spotkać takiego człowieka — ciągnęła, nie zwracając uwagi na mój niezręczny wykrzyknik. — Ot, co znaczy mieszkać na wsi. Widuje się tylko ludzi, którzy nie potrafią nic lepszego, jak grzebać się w ziemi albo pasać owce.

Nie wiem, czy chciała mnie dotknąć umyślnie — nigdy jej nie trzeba było o to prosić — jednak bez względu na intencję — słowa jej zraniły mnie tak boleśnie, jakby kto gorącym żelazem przemknął po odkrytym nerwie.

— Dobrze mówisz, Edie — podchwyciłem, usiłując mowie swej nadać niewzruszony spokój. — To, coś wyrzekła przed chwilą, umacnia mnie tylko w powziętym dawniej już postanowieniu. Tego wieczora jeszcze zaciągnę się do pułku stojącego w Berwick.

— Doprawdy, Jacku? Zostaniesz żołnierzem! — spytała prędko, z uśmiechem.

— Tak, jeśli rzeczywiście wierzysz, że każdy pędzący życie na wsi jest nic nie wart.

— Jak tobie ładnie będzie w czerwonym mundurze! — wykrzyknęła, głusząc ostatnie moje słowa. — I zupełnie inaczej wyglądasz, kiedy się rozgniewasz. Chciałabym zawsze w twoich oczach dostrzegać te błyski! Teraz jesteś przynajmniej mężczyzną! Tylko... wiem doskonale, że... o tym wojsku, to żarty.

— Zobaczysz, czy żartuję.

I nie patrząc już na nią, pędem puściłem się po pochyłości, pędem przebyłem drogę i wpadłem jak wicher do kuchni. Matka i ojciec siedzieli jak zwykle każde po przeciwnej stronie wielkiego komina.

— Matko, mamó! — wołałem od proga. — Jadę dziś jeszcze, zostaję żołnierzem.

Gdybym im powiedział, że będę złodziejem, nie wiem, czy mogliby okazać się więcej zmiążdżeni, bo w owych odległych czasach, nieufni i względnie w niezłym bycie pozostający wieśniacy mniemali, że wszelakie „owieczki” sierżantów, no i w ogóle wojsko, składają się przede wszystkim i głównie ze szpiegów.

A jednak te zastępy na obronę poświęconych ludzi niejedno nieszczęście odwróciły od ojczystej ziemi i zapisały niejedną chlubną kartę angielskiej historii.

Matka w milczeniu poniosła swoje mitenki³³ do oczu, ojciec przyoblekł twarz w tak straszną grozę, iż mimo woli uczulem mróz w kościach.

— Chyba zwariowałeś, Jocku — przemówił surowo.

— Ani mi się nawet śniło. Dziś odjeżdżam.

— Odmówimy ci błogosławieństwa!

— Trudno. Muszę się obejść — burknąłem opryskliwie.

Teraz matka krzyknęła głośno i zarzuciła mi ręce na szyję.

O twarz moją otarła się dłoń zniszczona, gruba, pełna blizn i zmarszczek, które powstały z wolna trudy podejmowane niegdyś koło mego wychowania — i przemawiały wymowniej niż najwymowniejsze słowa.

I naprawdę kochałem ją niezmiernie, jednak postanowienie moje było z tych, co są twarde jak ostrze krzemienia.

Pocałunkami zmusiłem ją do zajęcia poprzedniego miejsca i uciekłem do swego pokoju z niezłomnym postanowieniem natychmiastowego spełnienia swych planów.

Czyniło się już ciemno, a czekał mnie przecież porządny szmat drogi.

Zebrałem też pośpiesznie niewielki węzełek i gorączkowo ruszyłem ku wyjściu. Lecz w chwili, kiedy zamierzałem wymknąć się bocznymi drzwiami, ktoś delikatnie dotknął mojej ręki.

Obejrzałem się — tuż przy mnie stała Edie, cała różowa od krwistych łun zachodu.

— Dzieciaku — odezwała się z dziwnym uśmiechem — dzieciaku, nie jedziesz chyba naprawdę?

— Nie jadę? Przekonasz się najlepiej!

— Ależ ojciec twój nie życzy sobie tego, matka również?!

— Wiem dobrze.

— Więc po co?

— Powinnaś to wiedzieć.

— Dlaczego, pytam raz jeszcze?

— Ty sama kazałaś mi odjechać.

— Nic a nic nie zależy mi na tym, czy słyszysz, co mówię, Jacku!? — nalegała coraz błagalniej i ciszej.

— A jednak powiedziałaś to niedawno. Powiedziałaś, że ludzie zagrzebani w wioskach stworzeni są po to, żeby w gnuśnym spokoju pędzić całe życie. Zawsze to zresztą mówiś! — wybuchnąłem rozżalony. — Nie dbasz o mnie nawet tyle, co o te gołębie w gnieździe. Utrzymujesz, że jestem niczym. A więc dobrze — postaram się, żebyś zmieniła tę, zbyt łaskawą, opinię!

Wszystko, co tłumilem w sobie od chwili jej przyjazdu, wszystkie żale i całą gorycz młodego serca, sypałem jej teraz pod nogi, słowa potokiem cisnęły się na moje rozpalone usta.

³³mitenki a. mitynki (z fr.) — rękawiczki bez palców lub kryjące palce tylko do połowy; używane przez kobiety od XVIII w., często ozdobne, z delikatnych materiałów, koronki, wyszywane itp., sięgające do nadgarstka lub dalej, do łokcia. [przypis edytorski]

A jej twarz opływała coraz purpurowszą barwą, miękkie, pieszczotliwe, trochę szycerze spojrzenie śmiało utopiła w moich, bólem nabrzmiąłych, źrenicach.

— Ach, więc nie dbam o ciebie? — szepnęła przeciągle. — Więc to dlatego pragnęłam odjechać?... A czy byś został, gdybym... gdybym zrobiła się lepsza?...

Pochyliła się trochę ku mnie, w ciemnych oczach zapłonęły jakieś tajemnicze blaski. Jedno jeszcze mgnienie i — stało się.

Otoczyłem ją mocno ramieniem.

I grad pocałunków spadł na jej policzki, oczy, usta...

Przycisnąłem drogą dziewczynę do serca i mówiłem cicho, że była wszystkim dla mnie, że nie mógłbym już żyć bez niej, że kocham ją więcej niż spokój i sławę.

Nie odpowiadała nic, ale nie odwracała twarzy i nie broniła się wcale. Dopiero po długiej chwili odsunęła mnie lekko, lecz stanowczo.

— Nieznośny zuchwalec — ozwała się, krzywiąc niby swe wiśniowe usta i oburącz poprawiając włosy. — I coś ty zrobił, Jacku?! Nie przypuszczałam, żeś jest taki śmiały...

W tej chwili rzeczywiście nie lękałem się niczego, a miłość, dziesięćkroć gorętsza niż dotąd, burzliwą falą kipiała mi w żyłach.

Porwałem ją powtórnie i całowałem bez końca, jakbym już do niej miał bezsprzeczne prawo.

— Moja jesteś, tylko moja — szeptałem namiętnie. — Nie pójdę już do Berwick, zostanę tu na zawsze. Musimy się pobrać!

Edie wybuchnęła serdecznym, głośnym śmiechem.

— Dzieciaku! Dzieciaku! — rzuciła w końcu, zupełnie serio grożąc mi paluszką.

Była tak rozrzucona i śliczna, że wyciągnąłem ramiona, żeby ją znowu pochwycić, ale spostrzegła ruch mój w porę i pobiegła w stronę domu, niby spłoszona jaskółka.

ROZDZIAŁ CZWARTY. ZWYCIĘSTWO JIMA

Minęło sześć tygodni, które stały się rodzajem snu nieprawdopodobnego, a czar ich, poprzez lata i zmiany, dziś jeszcze mną owłada, kiedy wspomnę...

Znudziłbym was opowiadaniem tego, co działo się i zachodziło między nami.

A przecież były to dni ważne i wywierające na nasze, moje szczególnie, losy wpływ stanowczy, ogromny i niezatarty.

Zachcianki jej i kaprysy, humor ciągle zmienny, wesoły jak dzień jasny, to znów ponury niby ląka, nad którą przeciągają chmury, gniewy zjawiające się bez widocznej przyczyny, szorstkie wyrzuty i żale — wszystko przepelniało mnie kolejno — radością lub smutkiem.

Ona to było moje życie, bez niej — świat zdawał mi się niczym.

Ale w najgłębszych skrytkach duszy i na dnie wszystkich tych uczuć czaił się jakiś nieokreślony niepokój, trwoga podobna tej, jakiej doznaje człowiek wyciągający ręce, by uchwycić tęczę, trwoga, wypływająca z poczucia, że jednak ta prawdziwa Edie, jakkolwiek nieraz składająca głowę na mych piersiach, w rzeczywistości pozostawała tak daleka i niedościgną jak dawniej.

Nielatwo ją było zrozumieć.

Przynajmniej zaś objawiała się taka wieśniakowi o mało przenikliwym umyśle i duszy tak prostej, jak moja.

Bo jeśli zaczynałem z nią mówić o najpożądańszych mych projektach, jeśli napomykałem, że mógłbym już traktować o wypuszczenie mi w dzierżawę Corriemuir, co do sumy koniecznej na opłacenie raty, przyrzuciłoby czystego zysku około stu liwrow i pozwoliło folwark w West Inch ozdobić salonem i cały dom odnowić jeszcze na dzień ślubu, śliczna twarz Edie zasępiła się od razu, spuszczała oczy i marszczyła czoło — co tak wyglądało zupełnie, jakby brakło jej cierpliwości na słuchanie nawet o tej, zbliżającej się przecież, przyszłości.

Ale skoro pozwalałem jej snuć własne myśli, zwierzenia jej płynęły głęboko wyżłobionym szlakiem, tylko były inne zupełnie niż moje... Więc usiłowała odgadnąć, czym mogę zostać kiedyś, to znów stawała się podobna do dawnej dziewczynki i marzyła o jakimś przypadkowo znalezionym dokumencie, który by odkrywał istotne prawa moje do całej

okolicznej ziemi i kreował ostatnim potomkiem wygasłego, szlacheckiego rodu, albo widziała mnie — bez wstępowania jednak do służby wojskowej, gdyż o tym naprawdę nie chciała nawet słyszeć — nadzwyczajnym, świetnym wojownikiem, którego imię byłoby na ustach wszystkich — i wtedy bywała wesoła niby dzień majowy, a w czarnych jak węgiel oczach paliły się cieplejsze błyski.

Staralem się ją zadowolić i z całą powagą przyjmowałem udział w wysnuwaniu coraz nieprawdopodobniejszych bredni, zawsze jednak w końcu wymknęło mi się jakieś nieszczęśliwe słówko, które stwierdzało niezbicie, że jestem po prostu tylko Jackiem Calderem z West Inch — a wówczas grymas osiadał na jej ustach i czułem jasno, że, pomimo wszystko, jestem dla niej — prawie niczym.

I tak żyliśmy z dnia na dzień, ona — w obłokach, ja, niestety, na ziemi, i gdyby zerwanie nie zaszło w ten sposób, byłoby jednak nastąpiło prędzej czy później, ale nieochoybie³⁴ i z pewnością.

Było to po Bożym Narodzeniu, ale tegoroczna zima mijiała niezwykle łagodnie.

Tak właśnie było zimno, ile trzeba, by móc bez obawy przechadzać się po zmarzłych torfowiskach.

Śliczny, pogodny ranek rozpostarł się nad ziemią i zachwycona Edie wybiegła przed śniadaniem na króciutki spacer. Wróciła z policzkami zarumienionymi z ożywienia.

— Czy syn doktora, twój przyjaciel, Jacku, wrócił? — spytała mnie na wstępie.

— Nie wiem. Słyszałem tylko, że go się spodziewają.

— Ach, więc to pewnie jego spotkałam na zboczu.

— Spotkałaś Jima Horscrofta?

— To on był z pewnością. Chłopak jak dąb wysmukły, barczysty: prawdziwy bohater z bajki; włosy ma ciemne, kręcone, nos prosty, zgrabny i ładne, szare oczy — trzepała jednym tchem Edie. — Co za posągowe ramiona! A jaki wzrost wspaniały! Ty, Jacku, nie sięgasz mu chyba nawet do krawata? — zwróciła się do mnie lekko pogardliwym tonem.

— Dostaję³⁵ mu prawie do ucha! — przerwałem oburzony. — Czy tylko mówisz o Jimie? — poprawiłem się natychmiast. — Czy palił brązową, drewnianą fajeczkę?

— A jakże! Był przy tym w gustownym, szarym ubraniu, i głos ma silny, dźwięczny.

— Więc rozmawiałaś z nim nawet? — podchwyciłem nieufnie.

Zaczerwieniła się trochę, jakby powiedziała więcej, niż pragnęła.

— Szłam ku łączce, gdzie podobno jest już nie bardzo bezpiecznie; on mnie ostrzegł — tłumaczyła się, lekko zmieszana.

— Teraz poznaję Jima — oznajmiłem zachwycony. — Poczciwy jest z kośćcami — biedaczysko powinien by od dawna zdobyć upragniony dyplom. Cóż, kiedy ma wspaniałe rozwinięte bicepsy niż fałdy i zwoje mózgowie. Ale otóż i on we własnej osobie!

Dojrzałem go przez okno w kuchni i rzuciłem się na spotkanie, tryumfalnie dzierżąc świeżo napoczęty pączek.

Przyśpieszył kroku i po chwili ścisnął mnie mocno za rękę, rozpromieniony i szczęśliwy.

— Jakże się cieszę, Jocku, że cię widzę! — rzekł serdecznie. — Nie ma to jak starzy przyjaciele, prawda?

Nagle urwał i patrzył gdzieś poza mnie, głęboko zdumiony.

Odwrociłem się prędko.

Na progu stała Edie ze zwykłym, trochę szyderczym, trochę jakby proszącym uśmiechem.

Jakże czułem się dumny, patrząc w tej chwili na nią i powtarzając w duchu, że to jest właśnie moja przysła żona.

— Kuzynka nasza, Jimie — objaśniłem drżącym głosem — Edie Calder.

— Często przechadza się pan przed śniadaniem? — zagadnęła go wesoło, figlarnie przechylając główkę.

— Prawie zawsze — odparł, chłonąc wzrokiem wdzięczną postać.

— I ja również, a zwykle tamtędy — odpowiedziała pośpiesznie. — Jacku — dodała, zwracając się do mnie z urazą — niezbyt gościnnie przyjmujesz swego przyjaciela! Dalej!

³⁴nieochoybnie — niewątpliwie. [przypis edytorski]

³⁵dostawać (daw.) — dosięgać. [przypis edytorski]

Jeśli nie uczynisz mu należytych honorów, ja chyba będę musiała cię zastąpić i ratować poczciwe imię praojców!

I zaśmiała się, rada z dowcipu.

Wróciliśmy więc do pokoju i po chwili Jim siedział przed talerzem smacznego rosołu.

Ale jakoś zamilkł i zauważyłem kilkakrotnie, jak w zamysleniu niósł pustą łyżkę do ust i z zajęciem przyglądał się Edie.

Ona zaś siedziała cicho i od czasu do czasu podnosiła na niego pytające oczy.

Zdawało mi się, że bawi ją wyraz nieśmiałości, która malowała się dzisiaj w twarzy mego przyjaciela, i że czyniła, co mogła, żeby go rozruszać. Za to musiałem jej być tylko wdzięczny.

— Jack wspominał mi kiedyś, że pan ma zamiar pracować w zawodzie lekarskim? — odezwała się nagle wśród ogólnego milczenia. — Wyobrażam sobie, jakie to musi być trudne i co czasu pochłania samo choćby przyswojenie tylu koniecznych nauk?!

— Tak. Rzecz rozciąga się na długie lata — odpowiedział z mocniejszym rumieńcem. — Jednak zawsze już bliżej końca.

— To mi się podoba! Co za stanowczość! Stawia pan sobie cel w życiu i dąży do niego wytrwale. Nie zrażają pana stopy przeszłości.

— Doprawdy, nie wiem, czym mógłbym się pochwalić — bronił się Jim, widocznie zmieszany. — Niejeden, który zaczął razem ze mną, chlubi się już tabliczką błyszczącą na drzwiach swojego mieszkania. Ja zaś ciągle jeszcze muszę być studentem!

— Znadto pan jest skromny, panie Horscroft — przekonywała dalej Edie. — Mówią, że tacy ludzie są najwięcej wari. Co to za radość, kiedy pan stanie u celu! Śladami pana kroczy zdrowie, cierpiącym powraca pan moc i dawną siłę. Czy może być cel piękniejszy niż dobro ludzkości? Ja wiem, że pan tak myśli.

Uczciwa natura Jima nie wiedziała, jak poradzić sobie z tym potokiem pochlebnych wyrazów.

— Obawiam się, że nie działam jedynie z pobudek szlachetnych — zaczął wreszcie. — Pragnę przede wszystkim zarabiać na życie, w tym zaś wypadku mógłbym niejako rachować na klientelę ojca, o ile oczywiście zostałem dobrym lekarzem. A nawet i wtedy jedną ręką będę niby dawać uzdrowienie, drugą — wyciągać po należną mi zapłatę.

— Jakież pan szlachetny i prawy! — zawołała Edie z gorącym płomieniem w czarnych oczach.

I tak w kółko. Przyznawała mu wszelkie cnoty i tak kierowała rozmową, żeby mógł w niej przyjmować najgłówniejszy udział, błyskała humorem, dowcipem, słowem, starała się zwrócić wyłączną na siebie uwagę w sposób, którym znał³⁶ tak dobrze...

Na razie nie podbiła go może zupełnie, widziałem jednak, że olśniony jest blaskiem tej, naprawdę niezwykłej, urody, zachwycony uprzejmym i uprzedzającym obejściem, oczarowany nieprzepartym wdziękiem.

Dreszcz dumy i szalonej radości przebiegał mnie na myśl, że — pomimo wszystko — to czarujące stworzenie należy przecież do mnie, przy tym pochlebiali mi jeszcze niezmiernie — wysokie mniemanie, jakie powziąć musiał o jej wykształceniu.

— Prawda, jaka ona piękna? — spytałem go, kiedyśmy wyszli na ganek, nie mając już siły powstrzymać tych słów, co od godziny prawie paliły mi wargi.

Jim z wolna zapalił fajeczkę.

— Czy piękna? — powtórzył gorąco. — Nie zdarzyło mi się napotkać podobnej!

— Mamy się pobrać — rzuciłem niby od niechcienia.

Fajka upadła mu nagle na ziemię, przez chwilę wpijały się we mnie jego rozszerzone oczy...

Potem podniósł ją cicho i oddalił się bez pożegnania. Myślałem, że jeszcze wróci, myliłem się jednak mocno.

I jakby wkuty w ziemię, długo przeprowadzałem go wzrokiem — szedł powoli, z pochyloną na piersi głową, potykał się niekiedy, jakby nie patrzył, gdzie idzie — potem zrobiło mi się dziwnie smutno.

³⁶którym znał (daw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: który znałem. [przypis edytorski]

Gdybym mógł go zapomnieć choć na jedną chwilę! Ale Edie przysunęła się, gdy wrócił do jadalni i zasypała mnie tysiącem pytań. Pragnęła wiedzieć, jak mu upłynęła młodość, czy jest bardzo silny, czy zna dużo kobiet? Nie umiałem nawet zaspokoić wszystkich, a potem cały wieczór się dąsała...

Później powrócił ojciec i znowu mówił o Jimie, a mnie czyniło się coraz boleśniej, coraz więcej gorzko.

Nie mogłem po prostu słuchać. Jim pobiegł od nas do miasteczka i pił od południa w zajazdzie.

Potem zaś, mocno już nietrzeźwy, zeszedł ku wzgórzom Westhouse'u, pobił się z jakimś Cyganem i poturbował go tak nieszczęśliwie, że biedak podobno miał nie przeżyć nocy.

Ojciec sam spotkał Jima na wielkim gościńcu, posepnego jak gradowa chmura i gotującego się znieważyc pierwszego lepszego przechodnia.

— Mój Boże! — kończył staruszek, ze smutkiem trzęsąc siwą głową. — Co za czasy i jak to zmienia się wokół wszystko! Ładnych będzie miał ten nieszczęśnik pacjentów, jeśli zawód swój rozpoczyna od łamania ludziom kości!

Edie, słuchając tego, raz po raz wybuchała takim serdecznym, zaraźliwym śmiechem, że w końcu zacząłem śmiać się również i pragnąłem zbagatelizować wszystko, choć w gruncie rzeczy wiadomości owe przejęły mnie i zmartwiły do głębi.

W dwa dni może później wypadło mi udać się do Corriemuir. Szedłem na przelaj, przez pastwiska dla owiec i nagle ujrzałem Jima, zbliżającego się w moją stronę wielkimi krokami.

Wyglądał jakby inny zupełnie mężczyzna, ani trochę niepodobny do tego, który był u nas tak niedawno, wesoły, starannie ubrany i pełen dowcipów i żartów.

Nie miał kołnierzyka ani też krawata, kamizelka zwisała mu niedbale, niezapięta, włosy były potargane, twarz zmieniona, chwiejny krok i cała postać zdradzały noc przepędzoną na picu.

W rękę trzymał jesionową laskę i z jakąś bezmyślną zaciętością ścinał napotkane po obu stronach ścieżyny janowce, a połamane lodygi gęsto znaczyły ślad przejścia.

— Jak się masz? — szepnąłem serdecznie, z przyciskiem.

Ale rzucił mi tylko jedno z tych spojrzeń, które widywałem czasem w jego oczach w szkole, w chwilach, kiedy ogarniała go tak zwana pasja albo kiedy coś zawinił i nie chciał tego uznać, usiłując zuchwalstwem i pewnego rodzaju czelnością pokryć uczuwany w duchu brak słuszności.

Nie odpowiedział ani słowa. Zwiesił głowę na piersi i minął mnie śpieszonym, jakby gorączkowym krokiem, jeszcze zapalczywiej wymachując laską i po dawnemu łamiąc gałązki i martwe, zeschłe kwiaty.

Bóg widzi, żem nie chował do niego urazy.

Tylko było mi ogromnie, bardzo przykro.

I rzecz dziwna, nie uczuwałem najmniejszej zazdrości, choć nie byłem przecież ślepy i rozumiałem doskonale, co znaczy to wszystko.

Biedaczysko zakochał się po prostu w Edie i nie umiał znieść myśli, że jednak ona będzie należała do mnie.

Cóż mu pozostawało innego?

Kto wie, czy na jego miejscu nie postępowałbym właśnie tak samo.

Kiedyś, kiedyś, wydałoby mi się może nieprawdopodobne, żeby jedna dziewczyna mogła do tego stopnia zawrócić głowę rozsądnemu bądź co bądź mężczyźnie, teraz jednak uznawałem to za bardzo proste i nawet z wyrozumieniem zapatrywałem się na wiele innych rzeczy...

Minęły znowu dwa tygodnie i przez cały ten okres nie widziałem ani razu swego dawnego przyjaciela. Aż przyszedł wreszcie czwartek, ów czwartek, który za jednym zamachem zmienił bieg całego mego dotychczasowego życia.

Tego ranka jakoś zbudziłem się wcześniej niż zwykle, i z uczuciem owej dziwnej rozkoszy, jakiej doznaje się w chwili otworzenia oczu ze snu krzepiącego. A przy tym pełno wzbierało we mnie radosnych, krew rozpalających myśli.

Edie była wczoraj taka cudna, taka milutka, jak nigdy.

I usypiając, jeszcze szeptałem jej imię z uśmiechem, jeszcze powtarzałem sobie, że naprawdę schwyciłem tę daleką tęczę i piersi rozpięła mi nadludzka prawie radość, iż — wprawdzie bez wybuchów i zbytich uniesień, których ciągle od niej pragnąłem tak bardzo — zaczynała jednak przywiązywać się do mnie, do owego prostego Jacka Caldera z West Inch! Budziło się w niej serce?

Świadomość tego zapadła mi głęboko w duszę i była właśnie przyczyną owej niezwyklej rzeźkości. Podwójny poranek wstawał dla mnie.

Potem przyszło mi do głowy, że gdybym się pośpieszył, może bym zdążył wyjść z nią razem na przechadzkę, Edie miała bowiem zwyczaj odbywać długi spacer bardzo rano — zaraz po wschodzie słońca.

Ale się wybrałem za późno.

Bo, kiedy znalazłem się przy drzwiach jej pokoju, zbadalem, że były tylko przymknięte, sypialnia zaś pusta.

— Cóż robić — westchnąłem mocno zły na siebie — wyjdę choć na jej spotkanie, może wrócimy razem.

Ze wzgórz ciągnących się w stronę Corriemuir, doskonale widać całą okolicę, ponieważ są najwyższe, więc porwałem prędko kij sękaty i bez namysłu puściłem się w tym kierunku.

Dzień był pogodny, ale mroźny, i ciche powietrze mącił tylko miarowy łoskot bałwanów, rozbijających się o ostre brzegi, co nawet, pamiętam, mocno mnie zdziwiło, bo od kilku już dni nie było wiatrów w naszej okolicy.

Z pośpiechem wspinałem się po stromej, zygzakowato wijącej się ścieżce i pełną piersią wchłaniałem ożywcze, czyste, poranne powietrze, gwiżdżąc przy tym wesoło, aż w końcu, zdyszany trochę, dotarłem do szczytu, gęsto porośniętego przez karłowate krzaki i janowce.

Teraz szybkim spojrzeniem ogarnąłem przeciwległe zbocze i po chwili dojrzałem w dole Edie, a przy niej... sylwetkę Horscrofta.

Byli nawet względnie niedaleko, tak jednak zatopieni w rozmowie, iż nie dostrzegłem mnie żadne.

Edie szła bardzo powoli, z lekko pochyloną głową, po ślicznej twarzy błąkał się dziwny, jej właściwy, wyraz, ten sam, który znałem tak dobrze.

Kiedy niekiedy odwracała głowę od towarzysza i rzucała jakieś krótkie słówko.

Jim postępował tuż przy niej i nie odrywał oczu od zgrabnej postaci. Widziałem nawet ciemne wypieki na śniadych policzkach, z szybkich ruchów ust i gorączkowych gestów domyślałem się treści rozmowy, jakichś słów palących...

Nagle przybliżył się więcej jeszcze, o coś pytał, o coś nalegał natarczywie. Edie z pieszczotą położyła mu dłoń na ramieniu. Minęła chwila, jak wiek długa dla mnie, potem Jim porwał tę rękę, pociągnął ją całą ku sobie, uniósł w górę i zaczął całować raz po raz, gorąco, namiętnie...

Nie byłem w stanie wydobyć głosu z gardła, ani też uczynić najmniejszego ruchu. Stałem tak, prawie zastygły, czując, że coraz więcej blednę, z sercem ciężkim jak ołów, z oczyma wżerającymi się w okrutny widok.

Obejmowała go teraz za szyję i przyjmowała pocałunki z takim samym uśmiechem, jak moje.

Postawił ją wreszcie na ziemi.

Musiało to być pożegnanie, bo potem nie uszli razem może i stu kroków, co już nie zdziwiło mnie wcale — tutaj mogli być dostrzeżeni z najwyższych okien West Inch.

Edie skinęła głową i oddalała się z wolna, on stał ciągle w tym samym miejscu i ścigał jej sylwetkę zachwyconym wzrokiem.

Zmogłem się, aż póki nie zniknęła za zakrętem drogi. Potem jałem spuszczać się ze wzgórze, bez tchu, szalonym jakimś pędem, z chaosem piekących myśli, nie patrząc prawie przed siebie i oprzytomniałem dopiero, kiedy ujrzałem przed sobą pobladałą lekko twarz Jima.

Usiłował się uśmiechnąć, szare oczy spotkały moje z lęklwym, niepewnym wyrazem.

— To ty, Jocku! — szepnął z cicha. — Na nogach już, tak rano?

— Widziałem was! — wyrwało się na wpół bezwiednie z moich ust ściśniętych.

W gardle czułem suchość tak nieznośną, że tylko rozpaczliwym wysiłkiem zdobyłem się na owe słowa.

— Doprawdy? — spytał z nagłą zaciętością.

Urwał i twarz jego przyoblekła nieugięty wyraz.

— Więc dobrze się stało — wyrzekł twardo. — Dziś jeszcze miałem być w West Inch i otwarcie rozmówić się z tobą. Uprowadziłeś tylko moje chęci.

— Piękny przyjaciel! — rzuciłem z pogardą.

— Jocku! — syknął boleśnie. — Jocku, pomówmy rozsądnie. Sam wyjaśnię ci wszystko. Patrz mi w oczy, zobacz, że nie kłamię. Spotkałem Edie... chciałem powiedzieć miss Calder... z rana pierwszego dnia pobytu w Berwick. Wtedy zdarzyły się okoliczności, które nakazały mi przypuszczać, że jest wolna, i w tym przekonaniu (przysięgam ci, że mówię prawdę) całą duszą rzuciłem się w ślady tego cudnego stworzenia. Potem... potem oznajmiłeś mi, że jest twoją narzeczoną i to był dla mnie chyba najcięższy cios w życiu. Wiadomość owa wprawiła mnie po prostu w obłęd. Odtąd dni i noce spędzałem na burdach i bezustannej prawie pijatyce, i tylko szczęśliwym jakimś trafem nie znajduję się w tej chwili w więzieniu. Aż spotkałem ją po raz drugi (przypadkiem, na zbawienie duszy, klnę ci się, że to był tylko przypadek) i wtedy sama ze mną zaczęła rozmowę. Powiedziałem jej zaraz o tobie, ale wybuchnęła tylko śmiechem. Stosunek wasz nazwała najnaturalniejszym przywiązaniem zachodzącym zwykle między ciotecznym rodzeństwem, słowa twoje o sobie ochrzciła mianem dzieciństwa i głupstwa. Rozumiesz więc chyba, Jocku — ciągnął serdeczniej, jakby ze współczuciem — że nie jestem tak bardzo winny i że nie zasługuję na twoją pogardę, tym więcej, iż Edie przyrzekła mi solennie postępowaniem swoim z tobą przekonać cię, żeś się mylił, roszcząc sobie do niej, zupełnie zresztą bezzasadne, prawo. Z pewnością więc musiałeś zauważyć, że w ciągu ostatnich dwóch tygodni unika cię rozmyślnie i nawet prawie nie rozmawia...

Z mojej krtani wybiegł śmiech zduszony, gorzki...

— O tak! — potwierdziłem dziko. — Bo nie dawniej niż wczoraj powiedziała mi właśnie, że jest jedynym człowiekiem, którego kocha i jakiego kiedykolwiek mogłaby pokochać!

Horscroft okrył się trupią bledością, na chwilę zapadła między nami głucha cisza, potem uczułem ciężkie dotknięcie jego ręki na ramieniu, ponury, przesywający wzrok wniknął we mnie niby kaleczące ostrza, jakby mnie pragnął przewiercić do głębi.

— Jocku Calderze — zaczął zmienionym i chrapliwie świszczącym głosem — Jock, dotąd nie zdarzyło mi się słyszeć od ciebie kłamstwa? Czy teraz... czy teraz nie prowadzisz także gry podwójnej? Mówisz całą prawdę, szczerze?! Postępujemy z sobą uczciwie, jak prawy mężczyzna z mężczyzną?...

— Powiedziałem prawdę, jakbym wyznał ją Bogu — wyrzekłem poważnie, ze smutkiem.

Znowu zaległo milczenie. Jim nie spuszczał ze mnie oczu, oczu wyrażających teraz ból niezmierny, twarz mu drgała i mieniła się, jak człowiekowi, w którym odbywa się ciężka, wewnętrzna walka.

Minuty za minutami upływały długie niby wieki.

— Ta kobieta drwi z nas obu, Jocku! — rzucił wreszcie z bólem, stłumionym półszepcetem. — Ona drwi z nas obu, przyjacielu! — powtórzył nieprzytomnie. — Ciebie kocha w West Inch, mnie wśród tych śnieżnych wzgórz, a każdy z nas tyle jej nawet nie obchodzi, co liść zeszłoroczny! Potworne serce w czarującym łonie! Podajmy sobie ręce, bośmy jeszcze dawni przyjaciele i zapomnijmy o tych piekielnych, wabnych³⁷ oczach! Jest nikczemna!

Za wiele wymagał ode mnie.

Bo w głębi serca nie umiałem jej jednak przeklinać, co więcej, nie mogłem znieść spokojnie tylu pogardliwych wyrazów o tej, którą jeszcze, ciągle i pomimo wszystko, kochałem. Nie mogłem słuchać ich nawet od najdawniejszego przyjaciela.

— Bez obelg! — szepnąłem groźnie.

— niesprawiedliwy jesteś! — odparł z rozżaleniem. — Nazwałem ją, jak na to zasługuje, bo takie właśnie imię powinno do niej przylgnąć!

Mężczyzna, Przyjaźń,
Miłość, Klótnia, Kłamstwo,
Kobieta, Kobieta
demoniczna

³⁷wabny — dziś: wabiący a. powabny. [przypis edytorski]

— Czy tak?! — wybuchnąłem, zrzucając bez namysłu kurtkę. — A więc baczość, Horscrofcie! Bo jeśli usłyszę o niej jedno jeszcze takie słowo, wtłoczę ci je do gardła, choćbyś był większy niż zamek w Berwick!

Milcząc, odwinął rękawy, aż do łokci. A potem opuścił je z powrotem z wolna.

— Nie unos się — przemówił miękko. — Sześćdziesiąt cztery funty wagi i pięć cali wzrostu to różnica, której nie zrównoważy najtęższa choćby siła pięści. Dwóch takich starych przyjaciół, biorących się za bary dla... No, już nie powiem! Ach! Boże! Patrz, czy to nie można stracić głowy i czy ten spokój nie przywiedzie najrozumnieszego do szaleństwa?!!

Drgnąłem i posłałem w bok prędkie spojrzenie.

O kilkadziesiąt kroków od nas stała Edie z twarzą tak obojętną i spokojną, jakby nie widziała naszych — podnieconych i rozpalonych gorączką.

— Byłam już blisko domu — odezwała się łagodnie — kiedyś dostrzegła was rozmawiających i z daleka wydało mi się, że to chyba sprzeczka? Więc zawróciłam natychmiast, bo chciałam się dowiedzieć, o co wam właściwie chodzi?

Twarz Jima zbledła z gniewu, skoczył ku niej jak szalony i mocno pochwycił za rękę.

Edie krzyknęła głośno, w oczach jej odbił się wyraz przestachu, lecz Horscroft nie zważał na to i włókł ją prawie do miejsca, w którym stałem jak martwy, nie śmiejąc się nawet poruszyć.

— Tamto już się skończyło — rzekł, dysząc ciężko i zwracając się wyłącznie do mnie. — Teraz ona jest tutaj, czy chcesz, żebyśmy się zapytali wprost, którego woli? Nie zdrwi z nas przecież, bo jesteśmy razem?

— Zgadzam się — odpowiedziałem, czując cięższy jeszcze smutek w sercu.

— I ja również — ciągnął Horscroft dalej. — Jeżeli wybierze ciebie, przysięgam, że nawet nie spojrzę na nią. Czy przyrzekasz uczynić to samo?

— Przyrzekam — szepnąłem cicho.

— A więc, miss Calder — zaczął nieugiętym głosem. — Otośmy dwaj przed tobą, obaj uczciwi ludzie, przyjaciele, szczerzy w myślach i wzajemnych czynach i obaj znamy już twoją przewrotność. Ja wiem, co pani powiedziałaś wczoraj wieczór, Jock wie, co oznajmiłaś dzisiaj. Teraz niech pani mówi, tylko szczerze! Jesteśmy więc obaj przed tobą. Musisz wybrać nieodwołalnie, *raz na zawsze!* Jim Horscroft czy brat twój cioteczny, Jock Calder?!

Nie myślcie, żeby okazała się zmieszana choć na jedno mgnienie.

Przeciwnie, czarne oczy błyszczały ze szczerzej radości.

Mógłbym przysiąc wtedy, że nigdy przedtem nie czuła się z siebie tak dumna.

Spojrzenie jej biegło między nami jak iskra wszechwładna wśród prochów, na twarz przesłaniczną kładły się pogodne, słoneczne promienie, biła od niej młodość, wesołość i życie, była po prostu cudna.

Jimowi musiało zapewne wydać się to samo, bo nagle puścił jej rękę, rysy mu złagodniały, twardy wyraz znikł z oczu, a miejsce jego zastąpił nieklamany zachwyt i namiętne błyski, które paliły mnie jak ogniem.

— Wybieraj, Edie — powtórzył łagodnie.

— Dzieciaki jesteście — podchwyciła z pełnym politowania uśmiechem. — Duże, niemądre dzieci. Kto widział tak się klócić! Jacku — odezwała się do mnie błagalnie — ty wiesz, ile mam do ciebie przywiązania...

— Bądź zdrowa — rzekł Horscroft prędko.

— Ale kocham jednego tylko Jima — kończyła Edie z niezmaconą twarzą. — Nikogo w świecie nie kocham tak bardzo, jak jego...

I zaraz przytuliła się miłośnie i złożyła mu głowę na sercu.

— Sam widzisz, Jocku — szepnęła z radosnym błyskiem w oczach, pieszczotliwie gładząc ciemne włosy.

Tak. Widziałem.

Odwróciłem się prędko i jak pijany puściłem się w stronę West Inch, z burzą zawiedzionych uczuć w duszy, starszy o całe lata, jakby przedzierzgnięty w innego człowieka.

ROZDZIAŁ PIĄTY. CUDZOZIEMIEC ZZA MORZA

Nie należałem jednak do tych, którzy potrafią rozpaczać nad stłuczonym dzbankiem.

Bo jeśli nie ma sposobu go skleić, a choćby też zdrutować, jedyną rzeczą, jaka przystoi mężczyźnie, jest — nie mówić o tym więcej.

Wprawdzie przez całe tygodnie uczuwałem potem piekący ból w sercu, a dziś nawet jeszcze — po tylu latach i po szczęśliwym małżeństwie — skoro pomyślę o tym smutnym roku, doznaję wrażenia, jakie się uczuwa przy rozdrapywaniu niezupełnie zabliznionej rany. Ale wtedy usiłowałem wysoko nieść głowę, przede wszystkim zaś sumiennie dotrzymywałem obietnicy danej Jimowi w pamiętny ów dzień, na lśniącym od śniegów zboczcu.

Byłem dla niej bratem, niczym innym.

Ale kochałem ją ciągle i nieraz przychodziły na mnie takie chwile, żem zaciskał zęby ile mi starczyło siły i zmagalem się z sobą, pragnąłem okazać twarz choćby spokojną.

Edie widziała doskonale, co się we mnie dzieje i rzekłbyś, że litowała się nade mną. Więc krążyła koło mnie, nawiązywała poufną rozmowę, ogarniała tym szczególnym, pół-pieszczotliwym, trochę wyzywającym spojrzeniem i opowiadała cicho, jak często Jim bywa szorstki, jak trudno mu dogodzić i o ile szczęśliwsza czuła się w epoce, w której ja byłem dla niej dobry...

Wiem, że nie potrafiłaby nawet inaczej przemawiać: po prostu miała to we krwi, nie mogła być inna.

Podobne chwile przecież zdarzały się rzadko, częściej, znacznie częściej, dane mi było patrzeć na *ich* szczęście.

W całej okolicy mówiono o tej pięknej parze i o małżeństwie mającym nastąpić z chwilą zdobycia przez niego dyplomu.

Ponieważ zaś Berwick leżało daleko i narzeczeni nie mogli się widywać dłużej, co tydzień przychodził do West Inch i spędzał z nami cztery doby.

Rodzice moi uradowani byli losem, jaki spotykał tak „niespodziewanie” Edie, ja również do ogólnego chóru usiłowałem dołączyć swą cząstkę.

Z początku jednak panowały pomiędzy nami stosunki oziębłe.

Nie była to już owa stara, szkolna przyjaźń, przesłoniło ją wspomnienie tego mroźnego poranka i smukła postać dziewczyny z wymownym uśmiechem... Dopiero później, później, kiedy minęła pierwsza fala bólu, uznałem w głębi duszy, że jednak postąpił uczciwie i że — w gruncie rzeczy — nie mam żadnego powodu teraz jeszcze żywić do niego urazę.

I znowu byliśmy przyjaciółmi — a przecież do pewnych tylko, ściśle określonych, granic.

On zaś zapomniał jej wszystkiego złego, jak nie pamiętał obelg, które rzucał jej w twarz wtedy... Myślę, że całowałby nawet ślad, jaki trzewiczki Edie czasem odciskały w błocie...

Kiedy niekiedy wybieraliśmy się — we dwóch tylko — na bardzo dalekie spacery. O jednym z nich chcę właśnie mówić.

Dnia tego od dawna już pozostawiliśmy za sobą zbocza okryte w świeżą zieleń strojnymi krzakami janowców, minęliśmy nawet Brampton House i okrążyli³⁸ ogromny klomb sosen, chroniący domek majora Elliotta od groźnych morskich wiatrów.

Rozpoczynała się wiosna.

A właściwie ta prawdziwa wyprzedziła kalendarzową — i tak znacznie, że już w końcu kwietnia wszystkie drzewa obsypały się młodymi liśćmi.

Ciepło było, jakby w pogodny dzień letni.

Toteż zdziwiliśmy się obaj niepomiernie, skoro oczom naszym ukazał się nagle komin, z dala już krwawiący się mnóstwem rozżarzonych węgli i królujący, jak podczas najsroźszej zimy, na trawniku przed drzwiami majora.

Palilo się na nim co najmniej pół pnia sosnowego, a płomienie buchały wysoko i sięgały prawie do okien sypialni.

Wiosna

³⁸minęliśmy (...) i okrążyli (daw.) — konstrukcja, w której końcówka fleksyjna pierwszego czasownika ma zastosowanie również dla kolejnego (kolejnych); dziś: minęliśmy i okrążyliśmy. [przypis edytorski]

Jim i ja otwieraliśmy szeroko oczy, istotnie nie mogąc uwierzyć, że śnieli³⁹ to czy na jawie, jednak ogarnęło nas prawdziwe osłupienie, kiedyśmy ujrzeli majora, wychodzącego z domu ze sporym garnkiem w rękę, za nim zaś jego siostrę, starszkę, zajmującą się dotąd całym gospodarstwem, potem jeszcze dwie służące i dziwny ten orszak jął wyprawiać nad ogniem dziwaczniejsze jeszcze gesty.

Zdawało nam się, żeśmy obaj dostali pomieszania zmysłów.

Toż był to człowiek starszy już, zasłużony, cieszący się powagą całej okolicy i nagle przedzierzał się w czarnoksiężnika, odprawiającego jakieś trudne do pojęcia gusła i wstrząsającego kwartą nad — w szacunku posiwiął — głową.

Ruszyliśmy ku nim pędem.

Major dostrzegł nas zaraz i zamasyściej jeszcze wywijał swym garnkiem.

— Pokój! — wołał z uniesieniem. — Wiwat! Dzieci! Pokój!

Na dźwięk tego krótkiego wyrazu — niby za skinieniem różdżki czarodziejskiej — i my również zaczęliśmy tańczyć i śpiewać — bo odkąd tylko mogliśmy spamiętać, paliła się wojna, wojna, wojna.

Aż wyczerpała wszystkich. Złowieszczy cień tak długo przesłaniał tę ziemię, że skoro się rozwiewał, uczuliśmy wprawdzie radość, ale przede wszystkim, i głębiej — zdziwienie.

Trudno nawet było zupełnie uwierzyć, lecz major pośpieszył rozproszyć resztę wątpliwości.

— Tak! Tak! Najprawdziwsza prawda! — powtarzał, zatrzymując się dla nabrania oddechu i ujmując się butnie pod boki. — Sprzymierzeni zajęli wreszcie Paryż. Boney'owi odechciało się wszystkiego, on i jego poplecznicy, szczęśliwie już przysięgli wierność Ludwikowi XVIII!

— A cesarz? — pytałem niespokojnie. — Czy mu zapomną tego, co uczynił?

— Podobno mają wysłać go na wyspę Elbę, stamtąd nie będzie mógł szkodzić! — objaśniał major gorączkowo. — Ale cały sztab, oficerowie! Nie wszyscy wywiną się tak małym kosztem! W okresie tych lat dwudziestu popełniono czyny, które nie zostały zapomniane, tu i ówdzie znajdą się stare rachunki. Jednakże grunt — pokój! Nieodwołalny pokój!

I jął znowu uroczyście poruszać się w około ognia, z nierozłącznym garnkiem w rękę, niby kapłan starożytny, czczący wielkie święto.

Krótkośmy⁴⁰ bawili u majora.

Śpieszyło nam się na nasze wybrzeże, jak najprędzej podzielić się radosną wieścią, w drodze mówiliśmy o tym ciągle, a więcej jeszcze o tym, co w skutku stać się może.

Jednak na ten temat niewieleśmy⁴¹ mogli powiedzieć.

Jim uprzytomniał sobie więcej, ja nic prawie, zawsze przecież⁴² doszliśmy do wniosku, że wygórowane ceny na niektóre artykuły spadną, że do kraju powrócą całe zastępy naszych dzielnych zuchów, że okręty zaczną bezpiecznie krążyć po angielskich wodach, że zniszczymy wszystkie sygnały wzniesione na zagrożonym brzegu, bo odtąd już nie będzie jedyne, któregośmy się mogli lękać, wroga.

Tak rozmawiając i gestykułując, szybko stąpaliśmy po twardym, białym piasku, od czasu do czasu rzucając rozweselone spojrzenia na Północne Morze.

Jim szedł wyprostowany, wysoki, smukły, kwiat młodości i zdrowia, pełen śmiałych nadziei i marzeń o szczęściu, i jakże daleki od myśli, że w tej chwili właśnie dosięgał zenitu swej doli i odtąd już tylko zstępować będzie coraz niżej...

Nad morzem unosił się leciuchny opar, gdyż pierwsze godziny ranka były bardzo mgliste i słońce nie zdołało potem rozproszyć tumanu.

Wyglądało to, jakby ktoś rozwiesił delikatną, mleczną, przejrzystą koronkę, i chwilami nie mogliśmy oderwać oczu od tego pięknego zjawiska.

³⁹*we śnieli to* (daw.) — konstrukcja z partykułą -li; znaczenie: czy to we śnie (jest, dzieje się). [przypis edytorski]

⁴⁰*krótkośmy bawili* (daw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: krótko bawiliśmy. [przypis edytorski]

⁴¹*niewieleśmy mogli* (daw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: niewiele mogliśmy. [przypis edytorski]

⁴²*zawsze przecież* (daw.) — przecież jednak; mimo wszystko. [przypis edytorski]

Nagle z mgły białej wynurzył się powoli żagiel, a za nim ciemne kształty niewielkiego batu⁴³, który zbliżał się od strony ziemi, kołysząc się majestatycznie.

W łodzi widniała sylwetka jednego tylko człowieka, cały zaś statek poruszał się tak niepewnie i chwiejnie, jakby płynący nie umiał się zdecydować, czy ma lądować czy też się oddalić.

Dostrzegł nas po chwili i obecność nasza podziałała widać na bardziej stanowcze rozstrzygnięcie sprawy, gdyż niespodzianie skierował do brzegu i wkrótce spód łodzi z trzaskiem ocierał się o mokre głązy.

Zwinął żagiel, wyskoczył i pociągnął dziób głębiej, na piasek.

— Wielka Brytania, zdaje się? — przemówił, zwracając się do nas.

Był więcej niż średniego wzrostu, wysoki, smukły, ale nadzwyczajnie chudy.

Spojrzenie miał przeszywające, oczy osadzone bardzo blisko nosa długiego i zakończonego ostro, pod którym ciemniały kępy brunatnych wąsów, tak sztywnych i twardych, jak kocie.

Odziany był starannie i nawet szykownie, w jakiś brązowy kostium z mosiężnymi guzikami, nogi jego obciągały zgrabnie długie buty, teraz splekane i pomarszczone, zapewne od dłuższego wpływu wody morskiej.

Twarz i ręce miał tak ciemne, że z łatwością mógłby uchodzić za Hiszpana albo jakiego tam innego południowca, skoro jednak zdjął kapelusz, by nam się uklonić, ujrzeliśmy czoło białe i niezwykle delikatne, brunatna cera była zatem spalenizną.

Popatrzył na mnie i na Jima uważnie, badawczo, a z szarych oczu przebijał się wyraz, którego nie widziałem dotąd nigdy. Przy tym pytanie jego było wprawdzie zrozumiałe, jednak zadane tonem, w którym ukrywała się jakby pogrożka, rzekłbyś, że odpowiedź nie będzie grzecznością, ale pewnego rodzaju nakazem.

— Czy Wielka Brytania? — powtórzył, niecierpliwie uderzając obcasem o głązy.

— Tak — odparłem uprzejmie, a Jim wybuchnął głośnym śmiechem.

— Anglia? Szkocja?

— Szkocja, ale po drugiej stronie tych drzew zaczyna się ziemia angielska.

— Doskonale! Przynajmniej wiem teraz, gdzie jestem! Mgła mnie zaskoczyła na morzu i błędziłem trzy dni bez busoli — objaśniał śpiesznie nieznajomy. — Nie spodziewałem się już ujrzeć ziemi.

Mówił bardzo biegle po angielsku, od czasu do czasu uderzały mnie tylko dziwne zwroty w zdaniach.

— Skądże pan jedzie? — pytał Jim zdziwiony.

— Przedtem byłem na okręcie, który, niestety, zatonął — oznajmił obcy trochę szorstko. — Jak się nazywa to miasto?

— Berwick.

— Bardzo dobrze! Chciałbym odpocząć trochę, zanim ruszę dalej.

Wykonał pół obrotu w stronę statku i nagle zachwiał się tak mocno, że upadłby z pewnością, gdyby nie zdążył uchwycić się dziobu.

Przysiadł na nim ciężko, twarz powlekła mu się natychmiast ciemnopurpurową barwą, oczy błysnęły dziko jak u zwierza, potem spojrzenie zmętniało...

— *Voltigeurs de la Garde*⁴⁴!! — krzyknął głosem donośnym i dźwięcznym niby granie trąby. I raz jeszcze:

— *Voltigeurs de la Garde!*

Zerwał kapelusz z głowy i podniósł go wysoko, potem raptownie, z podaną naprzód twarzą, zwałił się brunatną, bezkształtną plamą na białawy piasek.

Horscroft i ja patrzyliśmy przez chwilę ze zdumieniem.

Niespodziane przybycie tego człowieka było takie dziwne, dziwniejsze jeszcze zapytania i teraz ten nagły wypadek!

Ochłonawszy trochę, unieśliśmy zemdlonego i położyli⁴⁵ wygodnie na ziemi.

⁴³*bat* — tu: rodzaj łodzi żaglowej; duża, uzbrojona łódź używana do prac pomocniczych od XVI do XIX w. [przypis edytorski]

⁴⁴*voltigeurs de la garde* (fr.) — wołtyżerowie gwardii. [przypis edytorski]

⁴⁵*unieśliśmy (...) i położyli* (daw.) — konstrukcja, w której końcówka fleksyjna pierwszego czasownika ma zastosowanie również dla kolejnego (kolejnych); dziś: unieśliśmy i położyliśmy. [przypis edytorski]

I tak już pozostał nieruchomo, na ciemnych policzkach czerniły się obwisłe wąsy i nos wydął, długi, w zbiegających wargach nie krążyła ani jedna kropla krwi czerwonej, oddech uczynił się tak słaby, że nie wiem, czyby poruszył najdrobniejszą kiść delikatnego puchu.

— On umiera, Jimie!? — szepnąłem przerażony.

— Umiera z pragnienia i głodu — potwierdził Horscroft, z uwagą pochylając się nad nieznanym. — To jasne. W łodzi nie ma ani okruszyny chleba. A może znajdziemy cokolwiek w tej torbie?

Zręcznym susem dostał się do baty i w mgnieniu oka wyciągnął skórzany, czarny worek.

Obszerny płaszcz granatowy i owa torba były jedynymi przedmiotami, znajdującymi się w łódce...

Jim bez namysłu zepsuł zamek, otworzył i nagle oczy nasze olśniła istna powódź złota.

Ani on, ani ja nie widzieliśmy go nigdy tyle naraz, co mówię, dziesiątej nawet części.

Zawierało chyba setki i tysiące funtów, gdyż były to suwereny angielskie, błyszczące, nowe jakby wyszły przed chwilą spod stempla.

Niespodziewany widok owych bogactw wprowadził nas na razie w rodzaj odrętwienia i mimo woli zapomnieliśmy o ich nieszczęśliwym właścicielu. Ocucił nas dopiero jęk cichy, przeciągły.

Wargi mu zsiniały jeszcze więcej, dolna szczęka opadła i odsłoniła usta, z których błysnęły dwa rzędy zębów białych jak kły wilka.

— Boże! On kona! — wyszeptał Jim ze współczuciem. — Prędko, Jocku, prędko! Biegnij do strumienia i przynieś mi wody w kapelusz! Prędko, mówię ci, albo nie uratuje go już żadna siła! Rozbiorę biedaka tymczasem!

Co tchu kopnąłem się pomiędzy drzewa i w kilka sekund byłem już z powrotem, spełniwszy co do joty polecenie.

Horscroft rozpiął mu ubranie i odsłonił wykwinną koszulę.

Potem energicznie spryskał całe ciało wodą i troskliwie, po kilkakroć zwilżył wyschłe wargi.

Starania jego odniosły nadszpiekowane prędko pożądany skutek, gdyż nieznanemu odetchnął głęboko, dźwignął się i z wolna jął przecierać oczy jak człowiek budzący się ze snu twardego.

Wracał do życia, my zaś, ochłoniwszy z chwilowego przerażenia, osłupiałym wzrokiem mierzyliśmy jego pierś odkrytą.

Widniały bowiem na niej dwa straszliwe, czerwone wgłębienia, jedno pod obojczykiem, drugie mniej więcej pośrodku prawej strony ciała.

A skórę miał tak delikatną i białą, jak u dziecka, co tym dziwniej odbijało przy ciemnej, ogorzałej szyi i tym zdawało się bielsze przy krwawych, pomarszczonych bliznach.

Stojąc, mogłem doskonale zauważyć, że na plecach ciemniała również taka szrama, kierunkiem odpowiadająca jednej z tych, które znaczyły piersi.

Byłem niedoświadczony, młody, a jednak nietrudno mi przyszło odgadnąć, co za świadectwo dawały te ślady.

Oto po dwakroć musiał otrzymać postrzał, jedna z kul przeszła mu ciało na wylot, druga uwięzła w środku.

Ale nieznanemu od razu się domyślił przyczyny naszego zdumienia, bo podniósł się raptownie i — chwiejąc się trochę — zapinał koszulę jakby gniewnie i obejmując mnie i Jima podejrziwym wzrokiem.

— Co się stało? — rzucił nam szorstkie pytanie. — Czy straciłem przytomność? W takim razie nie zważajcie na to, com mógł mówić! Czy wołałem?

— Krzyknął pan w tej chwili, w której pan upadał — objaśniłem bez wahania.

— Com powiedział? — pytał dalej, jakby niespokojnie.

Powtórzyłem owe dziwne słowa, zdawało się, pozbawione jakiegokolwiek znaczenia.

Ogarnął nas badawczym, przenikającym do głębi spojrzeniem i nagle wzruszył ramionami.

— Wyrazy te w pewnej pieśni stanowią zakończenie zwrotki — oznajmił powoli. — Ale nie to obecnie umysł mój zaprzęta. Co mam począć? Nie myślałem, że do tego stopnia jestem osłabiony. Skąd braliście wodę?

Wskazałem mu srebrzący się opodal strumień i zaczął iść w tym kierunku, chwiejąc się i potykając za każdym stąpnieniem.

Potem leżał nad brzegiem i pił tak długo, żeśmy się obawiali, iż nigdy nie skończy.

Długa, ciemna, pomarszczona szyja wyprężyła się na podobieństwo karku konia, za każdym hykiem dochodziło nas głośnie mlaskanie wargami.

Na koniec dźwignął się, odetchnął przeciągle, głęboko i otarł wąsy mankietem rękawa.

— Lepiej mi — powiedział rażno. — Czy moglibyście użyzyć mi cokolwiek do zjedzenia?

Szczęśliwym trafem miałem w kieszeni dwa spore kawałki maślanego placka. Nieznajomy porwał je zgłodniałym ruchem i połknął w mgnieniu oka.

A potem wyprostował łopatki, wydał piersi i z rozkoszą przeciągnął dłonią po zapadłych bokach.

— Winien wam jestem wiele — odezwał się z wdzięcznością. — Okazaliście się do brzy dla obcego. Ale widzę, żeście rewidowali mój worek?

— Myśleliśmy, że znajdziemy tam wino lub wódkę. Szukaliśmy, kiedy pan omdlał, bo na razie nic innego nie było pod ręką — tłumaczyłem zakłopotany.

— Niewielkie to sumy — szepnął nieznajomy z nagłym zamyśleniem w oczach. — Jakby tu powiedzieć?... Trochę oszczędności... Nic prawie, myślę jednak, że wystarczy, zanim coś sobie znajdę do roboty. Zdaje mi się, że to spokojne strony i może mógłbym tu osiąść. Trudno żądać cichszych okolic, zdrowszego klimatu, a choćby piękniejszego położenia. Daleko od miasta... Angielski *gendarme* nawet nie miałby tutaj co robić. — dokończył półgłosem i jakby do siebie.

— Za pozwoleniem. Nie wiemy jeszcze, kto pan jesteś, skąd przybywasz i czym⁴⁶ byłeś? — odezwał się Horscroft nieufnie.

Spojrzałem na Jima ze szczerym zdumieniem, skądże znowu coś podobnego przyszło mu do głowy?

Przybyły zmierzzył go od stóp do czubka włosów zimnym, ukośnym wzrokiem, z miną znawcy.

— Na honor — byłbyś przepysznym grenadierem! *Pour une compagnie de flanc!* — rzekł z uśmiechem, ciszej. — Co zaś do pytań, które pan zadajesz, mógłbym srodze się o nie pogniewać, gdyby chodziło o kogokolwiek innego: pan przecież ma niezaprzeczone prawo do wyjaśnień, ze względu na poprzednie, szlachetne obejście się ze mną. Nazywam się Bonawentura de Lapp. Jestem żołnierzem i z zamilowania podróżnikiem, czcigodni panowie, i przybywam z Dunkierki, jak to możecie sprawdzić wypisane wielkimi literami z boku statku.

— Zdawało mi się, że pan uratował się z rozbicia? — wtrąciłem prawie mimo woli.

Ale zmieszałem się zaraz, bom spotkał niezmacone, uczciwego człowieka znamionującą, spojrzenie.

— Tak właśnie było — objaśnił porywczo. — Ale okręt płynął z Dunkierki, a to jest jedna z jego szalup. Załoga ratowała się w wielkiej, żaglowej łodzi, statek zaś pogrążył się tak szybko w wodę, że już nie zdążyłem nic ocalić z katastrofy. Rzecz miała miejsce w poniedziałek.

— A dziś czwartek! — zawołałem ze współczuciem. — Trzy dni pan się błąkał bez wody i żywności!?

— W istocie, to cokolwiek długo — potwierdził bolejącym tonem. — Wprawdzie kilkakrotnie już znajdowałem się w podobnym położeniu, zawsze jednak krócej. A teraz — dodał spokojniej — może byśmy zostawili tu mój zbawczy statek i zobaczyli, czy nie mógłbym nająć mieszkania w którym z tych szarych domków, widniejących tam, na pochyłości. Co znaczy ogień, błyskający spośród tamtych sosen?

— Rozpalono go u jednego z sąsiadów, który bił się kiedyś z Francuzami — pośpieszyłem z chętnym objaśnieniem. — Ma wyrażać radość z powodu zawartego niedawno pokoju.

⁴⁶*być czym* (daw.) — wykonywać zawód, pełnić funkcję itp.; *czym byłeś*: czym się zajmowałeś. [przypis edytorski]

— Ach, więc posiadacie i takich!? Proszę, bił się z Francuzami — podchwycił nieznajomy trochę szorstko. — Niezmiernie się z tego cieszę, gdyż i ja, w rozlicznych przygodach, łyknałem coś niecoś tej wojny.

Nie wyglądał jednak na uradowanego, przeciwnie, brwi ściągnął i na chwilę przysłonił nimi swoje przenikliwe oczy.

— Czy pan jest Francuzem? — odważyłem się w końcu zapytać.

On tymczasem ujmował czarny worek i zarzucił na ramię swój płaszcz granatowy.

— Jestem Alzatzczykiem — wyrzekł z wolna — ci zaś, jak panowie wiecie, zaliczają się raczej do Niemców. Ja osobiście, zwiedziłem przy tym tyle krajów, że w każdym czuję się prawie u siebie. Kiedyś byłem zapalonym podróżnikiem. Ale mniejsza o to. Jak pan myślisz — gdzie najniezawodniej znalazłbym mieszkanie?

Dziś, poprzez odległość trzydziestu pięciu lat blisko, które ubiegły od owych obfitych w następstwa wydarzeń — trudno mi będzie, trudniej nawet, niż przypuszczałem, oddać wiernie wrażenie, jakie uczynił na mnie ten szczególny człowiek.

Zdaje się, że mnie od pierwszej chwili natchnął dziwną nieufnością, a jednak wywarł zarazem jakiś niezrozumiały urok, który mimo woli napełniał przyjazną sympatią.

W całej jego powierzchowności, we wzroku, w ułożeniu, w sposobie wysłowienia się — przebijało coś, czego wprawdzie nie umiałem nazwać, co jednak zasadniczo różniło się od wszystkiego, com widywał dotąd.

Jim Horscroft był silnym i pięknym mężczyzną, major Elliott zasłużonym, dzielnym niegdyś, żołnierzem, a przecież obu brakło tego nieuchwytnego czegoś, co posiadał nieznajomy — żywego, dziwnie przenikającego spojrzenia, dumnego blasku w oczach, wreszcie owej szlachetnej, niedającej się nawet opisać dystynkcji.

Przy tym — uratowaliśmy mu życie — leżał nam u nóg, siny, oddający prawie swe ostatnie tchnienie — więc jakoś trudno było nie zmięknąć wobec człowieka, któremu się oddało tego rodzaju przysługę.

— Jeśli pan zechce pójść ze mną — odezwałem się z lekkim wahaniem — jestem prawie pewien, że mógłbym znaleźć panu jakieś pomieszczenie na dni kilka. Potem pan się rozpatrzy i postanowi już coś stanowczego?

Nie odrzekł mi nic, tylko zdjął kapelusz i skłonił się z niewypowiedzianą gracją. Tymczasem Jim Horscroft schwycił mnie za rękaw i nieznacznie pociągnął na stronę.

— Oszalałeś, Jocku! — jął perswadować niezadowolonym szeptem. — Ten jegomość niezawodnie musi być awanturnikiem. Po co się będziesz mieszał w cudze sprawy? Co ci do głowy strzeliło?!

Z natury jednak byłem najbardziej może upartym człowiekiem pod słońcem, przy tym — najpewniejszym środkiem skłonienia mnie do „pójścia naprzód” było — ciągnąć w tył z całej siły.

— Dlatego właśnie, że jest obcy, uważam za swój obowiązek czuwać nad nim — odciąłem się dosyć zgrabnie.

— Bacz⁴⁷, żebyś nie żałował! — rzucił szorstko.

— I to nawet być może.

— Więc jeśli cię nic nie wzrusza, mógłbyś mnie usłuchać, choćby przez wzgląd na Edie!

— Edie doskonale może pilnować się sama!

— Róbże zatem, jak chcesz i niech cię diabli porwą! — wybuchnął w uniesieniu najwyższego gniewu.

I wykręciwszy się tylko na pięcie, bez pożegnania i krokiem zdradzającym wielkie wewnętrzne rozjątrzenie — puścił się w kierunku wzgórz, które osłaniały domek jego ojca.

Ja zaś powróciłem śpiesznie do mego niespodziewanego gościa i obaj jeliśmy zstępować z wyniosłości. Po ustach nieznajomego błąkał się niezrozumiały uśmiech.

— Zdaje mi się, że nie zyskał uznania w oczach tego pana — powiedział wreszcie trochę ironicznie. — Odgadłem, choć z daleka, powód pańskiej sprzeczki. Żądał, aby mi nie udzielać przytulku, nieprawdaż? Cóż on sobie myśli? — ciągnął już wzburzony.

⁴⁷baczyć (daw.) — uważać. [przypis edytorski]

— Czy nie wyobraża sobie przypadkiem, że ukradłem te pieniądze, które znajdują się w worku? Czegóż innego się lęka?!

— Och! Nic nie wiem i wszystko mi jedno — odparłem pojednawczo. — Za to nikt obcy nie przestąpi naszego progu, komu by nie udzielono kąta do spania albo odmówiono chleba!

ROZDZIAŁ SZÓSTY. ORZEŁ BEZ GNIAZDA

Jednakże ojciec przychylił się w tym wypadku raczej do zdania Horscrofta i bynajmniej nie okazał chętniej gotowości względem zamiarów obcego. A przede wszystkim mierzył go od stóp do głowy bezustannym, nieufnym i niezwykle badawczym spojrzeniem.

Lecz po chwili podsunął mu półmisek śledzi zaprawionych octem, pan de Lapp objął je chciwym spojrzeniem i w kilka minut sprzątnął — dziewięć. Tu ojciec znowu nie umiał powstrzymać skrzywienia — nasze codzienne porcje ograniczały się do dwóch tylko sztuk na każdego. Nieznajomy tymczasem, z najobojętniejszą w świecie miną, obtarł wąsy i zaraz powieki jęły mu same opadać na oczy. Prawdopodobnie przez owe trzy dni nie spał wcale.

Wkrótce też zaprowadziłem go do przeznaczanego mu pokoju. Ubożuchna to była izdebka, przecież rzucił się na łóżko z rozkosznym uśmiechem, okrył nierozłącznym płaszczem i prawie natychmiast usnął.

Chrapał przy tym tak głośno i donośnie, iż ja — którego pokój przylegał do tego właśnie, na moje nieszczęście — nie potrzebowałem się obawiać, że mógłbym zapomnieć o gościu pod naszym dachem!

Gdym zeszedł nazajutrz rano na dół, przekonałem się, iż byli tacy, co mnie wyprzedzili, bo nieznajomy siedział już naprzeciwko ojca przy stoliczku, stojącym przy kuchennym oknie, raz po raz pochylał się do niego i coś mówił. Pomiędzy nimi błyszczał rulon złota.

Obecność moją ojciec zauważył dopiero po chwili i podniósł na mnie oczy, w których paliła się dziwna chciwość. Nigdy przedtem nie widziałem w nich tego wyrazu.

Łakomym ruchem zgarnął leżące pieniądze i prędko wsunął do kieszeni.

— Tak więc, szanowny panie — kończył zaczęłą rozmowę — pokój należy do pana, rachunek zaś regulowany będzie z góry, trzeciego każdego miesiąca.

— Otóż i mój najpierwszy przyjaciel — przerwał de Lapp wesoło, podając mi rękę z uśmiechem życzliwym wprawdzie, w którym się jednak przewijał odcień jakiejś wyższości, podobny temu, z jakim traktuje się na przykład psa, szczególniejszego ulubieńca.

— Wypocząłem już znakomicie — ciągnął ze swobodą — i to tylko dzięki wspaniałej kolacji i jednemu tchem przespanej nocy. Głód bo odejmuje człowiekowi od razu energię. No, a przy tym zimno...

— Prawdę pan powiada — wtrącił uprzejmie ojciec — na naszym spokojnym wybrzeżu zaskoczyła mnie kiedyś burza śniegowa, trwająca trzydzieści sześć godzin. Wiem ja, co to znaczy!

— Ja zaś widziałem śmierć głodową trzech tysięcy ludzi — odezwał się pan de Lapp, nagrzewając zziębnięte ręce przy ogniu. — Z dnia na dzień, w oczach prawie, chudli i stawali się podobniejsi raczej do małp niż do stworzeń ludzkich. Czasem przyczołgiwali się na brzeg pontonów — gdzieśmy ich oblegali, i wyli z wściekłości i męki.

Owe dzikie krzyki z początku rozlegały się po całym mieście, po tygodniu dopiero ucichły tak bardzo, iż strażę, rozstawioną na brzegu, zaledwie mogły dosłyszeć coraz słabsze jęki... Oto jak głód wycieńcza...

— I pomarli?! — krzyknąłem ze zgrozą.

— Wytrzymywali strasznie długo. Byli to grenadierzy austriaccy z korpusu Starowitza, olbrzymi, dorodni mężczyźni, podobni wzrostem do pańskiego przyjaciela. Ale skoro się miasto poddało, nie zostało więcej nad czterystu i każdy z nas mógłby trzech ich unieść naraz, istne szkielety! Litość brała patrzeć. Ach!!! Czy zechcesz mnie pan przedstawić pani i tej młodej damie?

To Edie z matką wchodziły do kuchni.

Pan de Lapp nie widział ich wczoraj, a teraz z trudnością mi przyszło zachować powagę, gdyż — zamiast im się ukłonić lekkim pochyleniem głowy, jak jest we zwyczaju w Szkocji — zgiął nagle grzbiet swój, niby pstrąg chcący dać przyzwoitego susa, jedną

nogę wysunął naprzód misternym śliznięciem i położył rękę na sercu z wielce pocieszoną miną.

Pocziwa matka staruszka szeroko otworzyła oczy, sądząc zapewne, że z niej szydzi, Edie jednakże była zachwycona.

I zaraz, z taką swobodą, jakby to dla niej stanowiło codzienną zabawkę, ujęła z wdziękiem sukni i zgrabnie oddała ukłon, ukłon tak głęboki, iż przez chwilę zdawało mi się, że straci równowagę i jak niepyszna usiądzie na środku kuchni.

Ale gdzież tam, wyprostowała się zwinnie i lekko — niczym odskakująca, a mocno przedtem przygięta sprężyna!

Zasiedliśmy do stołu i z apetytem spożywali słone placuszki, zalane mlekiem i rozgotowanym mięsem.

Ten człowiek w zadziwiający sposób umiał mówić z kobietami!

Gdybym ja lub Jim Horscroft postąpił podobnie, z pewnością obdarzono by nas nazwą głupców, a wszystkie dziewczęta szkockie naśmiałyby się do syta — tymczasem owo ułożenie tak przystawało do rodzaju tej dziwnej twarzy i dopeśniało wykwintu języka, że nie tylko nic a nic nie raziło, ale zdawało się po prostu naturalne i konieczne.

Skoro więc zwracał się do matki mojej albo Edie — a o to nie kazał się prosić — nie czynił tego nigdy bez jakiegoś charakterystycznego półukłonu i przy tym przemawiał tonem, którego samo już brzmienie nakazywało wierzyć, iż obie robią mu niezaskuszone zaszczyt cierpliwym słuchaniem słów jego; a kiedy odpowiadały — twarz przystrajał w głębokie skupienie, nasuwające myśl, że wyrazy ich były nieskończenie cenne i godne zapamiętania na zawsze.

A jednak, i pomimo wszystko, pomimo nawet owego unizania się wobec kobiet, w głębi źrenic zachowywał ów błysk niezmaconej dumy, jakby pragnął dać do zrozumienia, że dla nich tylko stawał się tak uprzedzający i uprzejmy — w potrzebie zaś potrafił się okazać nieugięty.

Staruszka matka topniała jak wosk pod wpływem tego milego obejścia.

W niespełna pół godziny wtajemniczyła go w najważniejsze szczegóły naszego dotychczasowego życia i opowiedziała o stryju swym, chirurgu z Carlisle, najcenniejszej znakomitości w rodzinie.

Potem mówiła o śmierci mego brata, Roba, nieszczęściu, o którym nie słyszałem jej wspominającej dotąd żadnej żywej duszy — co dziwniejsza — pan de Lapp okazał się mocno wzruszony i prawie lzy miał w oczach — choć przed chwilą z zimną krwią opowiadał o zamorzeniu głodem trzech tysięcy ludzi!

Edie była przeważnie milcząca i tylko od czasu do czasu rzucała szybkie, ukradkowe spojrzenia na naszego gościa — on zaś patrzył na nią uważnie i jakoś badawczo.

Po śniadaniu zaraz odszedł do swego pokoju, a wtedy ojciec wyjął z kieszeni osiem błyszczących gwinei i tryumfalnie położył na stole.

— Co powiesz na to, Jeannie? — zagadnął z uśmiechem.

— Cóż mam mówić! Sprzedałeś pewno dwa najpiękniejsze barany? — odparła pytając matka.

— Gdzie tam! To tylko miesięczna zapłata za mieszkanie i żywność „przyjaciela” Jocka! — oznajmił staruszek z dumą. — Co cztery tygodnie będziemy otrzymywać tyleż!

Matka smutno pokiwała głową.

— Dwa funty na tydzień to o wiele za dużo — wyrzekła dziwnie stanowczo. — Biedny *gentleman* i tak prawie cudem uratował się z rozbicia, a my chcemy jeszcze korzystać z jego nieszczęścia i każemy płacić za trochę pożywienia nieprawdopodobne sumy!

— Ta, ta, ta! — krzyknął rozgniewany ojciec. — Powiadam ci, że może to uczynić bez żadnego dla siebie uszczerbku! Nie poczuje nawet! Przecież ma pełen worek złota! A zresztą sam ofiarował to wynagrodzenie.

— Zobaczysz, że *takie* pieniądze nie przyniosą szczęścia — szepnęła z obawą kobieta.

— Et! Pleciesz jak na mękach! Widzę, że na starość pierwszy lepszy przybłęda potrafi zawrócić ci głowę!

— Dobrze by było, gdyby mężowie nasi odznaczali się drobną choćby cząstką jego uprzejmości — odcięła obrażona staruszka.

Pierwszy chyba raz w życiu odważyła się ostrzej odpowiedzieć ojcu.

Sprzeczkę przerwało wejście do kuchni de Lappa, który zaproponował mi małą przechadzkę.

Przystaliśmy na to chętnie i wyszliśmy na oblaną słońcem drogę. Nieznajomy chwilę postępował zamyślony, mętnym wzrokiem ścigając białe chmurki — potem coś zamigotało mu w ręku i ujrzałem maleńki krzyżyk z czerwonych kamyków, tak piękny, iż piękniejszego nie widziałem w życiu.

— Są to rubiny — powiedział lekko wzruszonym głosem — dostałem go pod Tudelą, w Hiszpanii. Miałem dwa podobne, jeden ofiarowałem niegdyś pewnej młodziutkiej Litwinie. Ten pragnąłbym dać panu, na pamiątkę dobrego serca, jakie pan wczoraj okazał. Każe pan sobie zrobić szpilkę do krawata, dobrze?

Szczerza prośba zadźwięczała w jego głosie i nie pozostawało nic innego, jak przyjąć ów dar wspianiały, przewyższający swą wartością wszystko, co dotąd posiadałem w życiu. Ucisnąłem mocno dłoń podaną.

— Muszę policzyć jagnięta, pasące się na tamtych łąkach — odezwałem się po chwili. — Może miałby pan ochotę pójść ze mną — rozejrzałby się pan cokolwiek w okolicy?

Zawahał się trochę, potem przecząco ruszył głową.

— Powiniennem wyprawić kilka listów i to jak najprędzej — wyrzekł z wolna. — Zabierze mi to cały ranek, zatem: do widzenia.

Rozstaliśmy się i przez kilka godzin musiałem uganiać się po pochyłościach, ale z myślą całkowicie pochłoniętą przez wczorajsze wypadki i tajemniczą osobistość nieznajomego.

Skąd to rozkazujące wejrzenie, skąd wyniosły i groźny wyraz siwych oczu, skąd te szlachetne maniery i wykwintne ułożenie?

A owe przygody, o których wspominał z taką niedbałością, takim obojętnym tonem, w jakimże burzliwym istnieniu mogły się zawierać? Jakie niezwykle musiało być jego życie!

I dla nas okazywał się taki serdecznie uprzejmy, przemawiał z taką wyszukaną grzecznością — tak widoczne było, że pragnie ująć każdym słowem — a jednak, jednak nie umiałem, nie mogłem pozbyć się nieufności, którą mnie napępiał dziwny wyraz tych dumnych, orlich oczu.

Prawie że uznawałem w duchu, jako Jim Horscroft miał słuszność, i chwilami wyrzucałem sobie wprowadzenie do domu ojców człowieka z nieznaną przeszłością.

Kiedym dnia tego powrócił do domu, zastałem mego gościa tak oswojonego z otoczeniem, jakby tu się urodził i tu, nie gdzie indziej, spędził całe życie.

Siedział w wielkim fotelu z drewnianymi poręczami, który od niepamiętnych czasów stoi przy kominku i trzymał czarną kotkę na kolanach.

Ręce rozstawił szeroko — otaczał je duży motek wełny, którą matka z przejęciem zwijała w kłębuszek.

Tuż przy nich ciemniała żalobna suknia Edie, siedzącej z pochyloną głową i zacerwienionymi od płaczu oczyma.

— Miałaś jakie zmartwienie? — spytałem łagodnie.

— Uchowaj Boże! — podchwycił ze współczuciem nieznajomy. — Tylko *mademoiselle* ma tak czułe serce, jak wszystkie prawdziwe, pełne szlachetnych porywów kobiety. Nigdy bym nie przypuścił, że do tego stopnia wzruszy ją moja opowieść: nie byłbym zaczynał, gdybym mógł przeczuć następstwa! Opowiadałem paniom o cierpieniach, na jakie narażały się wojska, zmuszone przebywać góry Guadarama w czasie uciążliwej zimy. Patrzałem na to własnymi oczyma! Potężny to grozą widok! Wicher porywał nieraz pojedynczych ludzi i niósł nad przepaścią, niekiedy nieszczęśliwi roztraskiwali się o twarde skały, często dosięgali tamtego brzegu otchłani, ale i wtedy zwykle kończyło się śmiercią, gdyż ścieżki były śliskie i gładkie niby tafle lodu, nigdzie o co się zatrzymać, czegoś chwycić! Całe pułki szły zwartymi szeregami, jedni z drugimi krzyżowali ręce i wtedy jako tako stawiali opór nawałnicy. Kiedys jednak... pamiętam... dłoń pewnego artylerzysty została w mojej, ledwiem⁴⁸ zdążył ująć... Zgangrenowana była od trzech dni z powodu straszliwego mrozu...

Słuchałem z rozwartymi szeroko ustami.

⁴⁸ledwiem zdążył (daw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: ledwie zdążyłem. [przypis edytorski]

— Wytrawni, zaprawni w bojach grenadierzy walczyli z owymi trudami z jakąś głuchą zaciętością, a i tych wreszcie ogarniała rozpacz, stygł zapal, marła chęć poświęceń. A skoro z bólu i umęczenia zostawali w tyle, chwyciło ich rozżarte chłopstwo, ćwiekami przybijało do wierzei stodół, zwykle głową do ziemi i rozpalało pod nieszczęsnymi wolno podsycany ogień... Groza brała patrzeć na marną zgubę tego, słynnego z bitności, żołnierza. Za wojskiem jęły wkrótce wlec się mary owych czynionych okrucieństw i taki lęk je zdejmował na samo wspomnienie mąk nieludzkich, że potem, skoro który żadnym już wysiłkiem nie mógł zmusić się do marszu, zwalniał wprawdzie kroku z rezygnacją, lecz po to tylko, by zmówić modlitwę i oprzytomnieć trochę na jakim porzuconym siodle, albo na własnym tornistrze. Potem zaraz zdejmowali pończochy i buty, opierali podbródek na wylocie karabina, trącali cyngiel wielkim palcem lewej stopy — *pauff!* — i było po wszystkim. Nie potrzebowali już obawiać się najgorszej choćby wojny. Och! Krwawa bo robota szła w tych niegościnnych górach!

— Czyje to były wojska? — pytałem ciekawie.

— Ba! Nielatwa odpowiedź, młody przyjacielu! Tyle już widziałem armii, przez tyle⁴⁹ krajów się przewinał, że sam teraz nie mogę się w owych wspomnieniach połapać. Jakie bo moje oczy oglądały wojny! I waszych Szkotów spotykałem kilkakrotnie przy robocie! Twarda piechota, ani słowa. Tylko, sądząc po nich, myślałem dotąd, że u was tu wszyscy noszą... jakże to się nazywa... spódnice?

— To są *kilty*, używane wyłącznie w północnej, górzystej części Szkocji — objaśniłem, uśmiechając się pomimo woli.

— Ach, więc w górach — powtórzył zamyślony. — Ale oto dostrzegam przed domem jakiegoś człowieka. Może to ten, który miał podjąć się odstawienia mych listów na pocztę, jak mi to obiecał pański ojciec?

— Właśnie. Jest to chłopiec dzierzawcy Whiteheada. Czy pan życzy sobie, żebym mu osobiście doręczył te listy? — spytałem, widząc, że wyjmuje z bocznej kieszeni surduta kilka zaadresowanych kopert.

— Odgadłeś, młody przyjacielu — odparł z wesolym uśmiechem. — Myślę, że z rąk twoich nierównie większą będą miały wagę i zostaną doręczone pewniej — a pragnąłbym móc liczyć na to.

I oddał mi je pełnym zaufania ruchem.

Bezwłocznie wyszedłem do sieni i tu wzrok mój upadł nagle na adres listu, który się znajdował na wierzchu.

Widniało na nim pięknym, wyraźnym pismem:

*Á sa Majesté
le Roi de Suède
Stockholm.*

Niewiele umiałem po francusku, zawsze jednak dosyć, żeby to zrozumieć.

„Do Jego Królewskiej Mości, króla szwedzkiego, w Sztokholmie...”

Jakiż to zbląkany orzeł spoczywał w ubogiej chacie moich ojców?

ROZDZIAŁ SIÓDMY. WIEŻA SYGNAŁOWA W CORRIEMU-IR

Byłoby zbyt uciążliwe dla mnie, a myślę, że i was znudziłoby prędko, gdybym jał tu opowiadać dzień po dniu bieg naszego spokojnego życia, odkąd ów nieznajomy znalazł się pod naszym dachem — albo też — w jaki sposób pozyskał wkrótce przychyłość nas wszystkich.

Z kobietami wprawdzie od pierwszej chwili nie przedstawiało to żadnych trudności, jakim jednakże cudem tak prędko udobruchał i rozbroił ojca — to już chyba pozostanie dla mnie na zawsze zagadką. Bo rzecz nie należała bynajmniej do łatwych.

Przekonał do siebie nawet i Jima Horscrofta!

⁴⁹przez tyle krajów się przewinał (daw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: przez tyle krajów się przewinałem. [przypis edytorski]

Co prawda, w stosunku do niego byliśmy tylko niby duże, a mało rozgarnięte dzieci, gdyż on zwiedził pół świata i widział chyba wszystko, co może być godne poznania, skoro więc zagawędził się na dole któregoś wieczora, przeniósł nas zwykle w strony niezmiernie dalekie od cichej kuchni i wiejskiej, pochylonej chaty, bo w gwar obozów, na pola bitew, na świetne, błyskotliwe dwory, do wszelkich cudów świata.

Horscroft odnosił się do niego z początku nieufnie i w sposób trochę szorstki, ale pan de Lapp swym taktem i niezwykłą łatwością obejścia zwycięsko wyszedł z owego niemego pojedynku i tak potrafił nakłonić ku sobie to serce, iż odtąd najulubieńszą czynnością Jima było przysuwać krzesło do jego fotela i z ręką Edie w swoich dłoniach — z rozgorączkowanym wzrokiem słuchać zajmujących, jakby z tysiąca i jednej nocy opowieści z ust mu nieledwie chwytać, dziwnym haszyszem przepojone, słowa...

Nie będę tutaj szczegółowo opowiadał, ale dziś jeszcze, po tylu, tylu latach, mógłbym wykazać z najściślejszą dokładnością, jak tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu, takim czy innym słowem, tym czy owym postępkim urabiał nas niejako wedle własnych planów, oczarowywał, oślepił, pociągał...

Każdy ruch tego człowieka niestartą głoską wrył mi się w sercu.

Jednym z najpierwszych czynów było ofiarowanie ojcu baty, w którym przybył, z tym tylko warunkiem, że będzie mu wolno odebrać go w razie koniecznej potrzeby.

Tego roku śledzie akurat przepływały bardzo blisko brzegu, że zaś stryj jeszcze przed śmiercią przysłał nam kiedyś piękny zapas sieci, więc szczodry dar de Lappa przysporzył ojcu dobrych kilkanaście funtów.

Czasem nieznamy puszczal się w łodzi sam jeden i nieraz miałem sposobność widzieć, jak posuwał się z wolna wzdłuż brzegów, co chwila zanurzając długą tykę i co kilka łokci rzucając w wodę kamyk, owiązany sznurkiem.

Nic a nic nie rozumiałem tej manipulacji, aż do dnia, w którym nieznamy rzecz całą wyluszczył mi z własnej ochoty.

— Niezmiernie lubię badać wszystko, co ma jakikolwiek związek z techniką wojenną — odezwał się kiedyś, skorośmy wyszli na spacer. — Toteż nigdy nie opuszczam najdrobniejszej sposobności. Tutaj zaś znalazłem obfite pole do rozmaitych, ciekawych dociekań. Przyszło mi na myśl, na przykład, czy komendantowi korpusu jakiejś armii bardzo byłoby trudno lądować na tym piaszczystym brzegu?

— Szczególniej gdyby przeszkadzał wiatr wschodni — zauważyłem naiwnie.

— Otóż właśnie, w razie wschodniego wiatru — powtórzył z tryumfem — czy grunтовano tu kiedy?

— Nie pamiętam.

— Linia angielskich okrętów wojennych musiałaby trzymać się na pełnym morzu — ciągnął de Lapp z niezwykłym jakimś ożywieniem. — Jednakże przy brzegu dosyć jest głęboko, żeby czterdziestodziałowa fregata mogła się zbliżyć na odległość strzału. Na żaglowe łodzie spuścić tyralierów, umieścić ich za łańcuchem tych piaszczystych wzgórz, wesprzeć nowym posiłkiem, potem innym jeszcze, a z fregat, ponad ich głowami, niechaj się posypie deszcz kartaczy. Tak stać by się mogło, tak stałoby się z pewnością!

Szorstkie, kocie wąsy zjeżyły mu się więcej jeszcze, we wzroku zapaliły się gorące błyski, rojenia unosiły go stanowczo w kraje zbyt wybujałej fantazji.

— Pan zapomina, że nasi żołnierze znajdowaliby się od razu na brzegu! — przerwałem oburzony.

— Ta, ta, ta! — krzyknął gniewnie, zły, że przerywam mu kunsztowne plany. — W bitwie muszą być przeciwnicy. A teraz: rozumujemy. Ilu postawilibyście ludzi? Dwadzieścia, no, powiedzmy, trzydzieści tysięcy! W tym zaledwie kilka tylko pułków regularnego żołnierza, bo reszta! Nowozaciężni, mieszczanie, dzierżawcy wiejscy, może nawet nieumiejący obchodzić się z bronią! Jakże to nazywacie takich? Ochotnicy, prawda? — kończył lekceważąco.

— Dzielni, odważni ludzie! — poprawiłem z naciskiem.

— O tak, bardzo odważni i dzielni, tylko skończeni głupcy! — rzucił zirytowany. — Nic a nic nie zasz się na tym, więc się nie uoń, drogi przyjacielu. Stopień ich głupoty trudno by nawet było zmierzyć najwspanialszym termometrem. Zresztą nie mówię tu specjalnie o nich, lecz o wszystkich wojskach składających się z rekrutów i innych niedoświadczonych ludzi. Tacy, przede wszystkim, jak ognia lękają się okazania cienia choćby

Walka, Odwaga, Żołnierz,
Patriota, Zwycięstwo,
Nauka, Głupota

strachu, zwykle też nie przedsięwzięją najelementarniejszych ostrożności. Widziałem to nieraz. Kiedyś, w Hiszpanii, pewien batalion rekrutów atakował dziesięciodziałową baterię: trzeba było widzieć, jak szli naprzód śmiało, tak śmiało, że z miejsca, w którym stałem, ślad ich przejścia wyglądał... jakże to się nazywa po angielsku?... wyglądał jakby ciastko z poziomkami... Cóż zostało z „odważnego” batalionu? Potem drugi odkomenderowano do owego szturm. Ruszyli z miejsca przepisany krok, krzyżąc i wywijając karabinami z niepowszednią butą, co jednak pomogą krzyki przeciwko kartaczom? Wkrótce drugi batalion zaścierał zboczne niby krwawe maki. Wtedy dopiero runęli piesi strzelcy gwardyjscy, starzy, wytrawni żołnierze. Rozkazano im zdobyć baterię. I trzeba ich było widzieć jak szli cicho, nie kolumnami, nie w szeregach: sprawnie, umiejętnie. Ciemna linia z rzadka rozsypanych tyralierów, boki otoczone przez plutony zapasowe, dziesięć minut, jak wiek długich, i baterie sterczały jak dawniej, tylko już zmuszone do milczenia, wśród nich nieliczne trupy artylerzystów hiszpańskich... Z naszych nikt nie był zabity. Wojny i sztuki wojowania trzeba się tak samo uczyć, jak hodowania owiec, młody przyjacielu!

— Et! — odparłem, cokolwiek porywcz. — Gdybyśmy umieścili trzydzieści tysięcy ludzi na którym z tych zboczy, z pewnością przyszłoby do tego, żebyście jedyny ratunek widzieli w statkach, osłaniających wam tyły!

— Na zboczach? — powtórzył de Lapp z przeciągłym akcentem, szybkim spojrzeniem ogarniając skały. — Tak, gdyby wasz dowódca znał się naprawdę na rzeczy, oparłby lewe skrzydło o folwark w West Inch, środkowe bataliony umieściłby w Corriemuir, a prawe tam, koło domku waszego doktora, otoczone gęstą linią tyralierów. Przy tym kawaleria musiałaby tak umiejętnie manewrować, żeby przeciąć nam pochód już z chwilą formowania kolumn na wybrzeżu. Niechże nam jednak pozwolą rozwinąć szeregi, potrafimy poradzić sobie z resztą! Najślabszą stroną terenu jest tamten oto wąwóz: w mgnieniu oka wymiótłbym go armatami i zapełnił swoją kawalerią. Potem piechota runęłaby w zwartych szeregach, i rozniosłaby to skrzydło. Gdzieżby wtedy byli wasi ochotnicy, Jocku? — zapytał z przekąsem.

— Ścigaliby pańskich ludzi, depcząc boleśnie po piętach! — odciąłem się, zupełnie serio.

I nagle obaj wybuchnęliśmy serdecznym śmiechem — w ten sposób kończyły się zwykle wszystkie podobne rozmowy.

Czasem, skoro tak dowodził, byłem najszczerzej przekonany, iż żartuje, kiedy indziej nie tak łatwo mogłem to przypuścić i wtedy nieokreślony jakiś niepokój wpelzał mi do duszy.

Pamiętam doskonale, jak pewnego letniego wieczora, kiedy kobiety spać poszły, a w kuchni zostaliśmy się my tylko, czterej mężczyźni — nieznajomy jął nagle mówić o Szkocji i stosunkach łączących ją z Anglią.

— Dawniej, przed laty, mieliście własnego króla i prawa wasze stanowiono w Edynburgu — odezwał się obojętnie, jakby od niechcienia. — Czy teraz nie ogarnia was niekiedy rozpacz, nienawiść może, na myśl, że obecnie wszystko pochodzi z Londynu?

Jim odjął od ust nierozłączną fajkę.

— My to przecież narzuciliśmy monarchę Anglii — oparł z wolna — jeśli więc kto, to oni właśnie powinni czuć się pogiębieni.

Panu de Lapp obcy najwidoczniej był ten szczegół, gdyż na chwilę zaległo milczenie.

— Jednakże wszystkie prawa z Londynu dziś biorą początek — powtórzył w zamyśleniu — bądź co bądź, dla was nie może to być korzystne.

— Naturalnie, że nie jest — podchwycił mój ojciec. — I dobrze by się stało, gdyby przywrócono nam parlament w Edynburgu — cóż jednak robić, tyle mam kłopotu ze swymi stadami, że nawet ochoty braknie myśleć o tym wszystkim.

— Bo też do młodych należy obowiązek zastanawiania się nad tego rodzaju sprawami — zauważył nieznajomy, zwracając się do nas. — Uciśnioną ojczyznę młodzież powinna pomścić i ratować.

— Pan ma poniekąd słuszność — rzekł Horscroft półgłosem — nieraz człowiekowi przychodzi do głowy, że jednak rdzenni Anglicy zbyt są czasem chciwi, jeśli już mowa o przywilejach i prawach.

— Doprawdy? — przerwał de Lapp z dziwnym błyskiem w oczach. — Skoro więc inni również dzielają wasz sposób zapatrywania, że zaś tak jest, wiem z pewnością, dlaczegoż byśmy nie mieli zorganizować tu żadnych pomszczenia się pułków i pomaszrować na Londyn; na ową urągającą waszym tradycjom stolicę?!

— Zapewne, zapewne, wspaniała kampania — wtrąciłem z uśmiechem — ale któż by nas prowadził?

Wyprostował się dumnie, złożył ukłon i rękę zabawnym ruchem przycisnął do serca.

— Ja, jeżelibyście panowie mi raczyli uczynić ten zaszczyt — powiedział z chłodną powagą.

Roześmieliśmy się wszyscy, więc po chwili zaczął śmiać się także, jednak w głębi duszy najmocniej byłem przekonany, że mu się nie śniło żartować.

Trapiły mnie także jego lata, których ani ja, ani Horscroft nie umieliśmy określić nawet w przybliżeniu.

Czasem wydawał nam się człowiekiem starszym, z doskonale zakonserwowaną powierzchownością, czasem zaś, przeciwnie, młodzieńcem o zniszczonej twarzy.

Ciemne, szorstkie, ostrzyżone krótko włosy nie zdradzały najmniejszej siwizny, nad czołem przechodziły w czub obfity i starannie utrzymany, z którym mu było niezmiernie do twarzy.

Za to skórę okrywała sieć drobniutkich zmarszczek, które uwydatniała jeszcze brzoza, opalona cera, czymże więc innym był, jeżeli nie starcem? A temu znów kłam zadawała zdumiewająca ruchliwość i zręczność, lekkość kroku, smukłość postaci i ciało jędrne i niby stal sprężyste — przeczyły dni spędzane w górach lub na morzu z wiosłem.

Wszystko zatem zważywszy, orzekliśmy, iż może mieć lat czterdzieści do czterdziestu pięciu, choć znowu srodze nas niepokoiła okoliczność, w jaki sposób mógł tyle widzieć w tak krótkim stosunkowo życiu?

Aż dnia pewnego zgadało się coś o latach, klimacie i długowieczności i wtedy spotkała nas nieoczekiwana niespodzianka.

Oznajmiłem właśnie, że niedawno skończyło mi się lat dwadzieścia, Jim miał dwadzieścia siedem.

— Więc jestem z was najstarszy — zauważył pan de Lapp spokojnie.

Parsknęliśmy głośnym śmiechem — toż podług naszych obliczeń mógłby być moim ojcem!

— Jednak nie o wiele — ciągnął, marszcząc brwi z lekkim niezadowoleniem — skończyłem dwadzieścia dziewięć w grudniu.

Oświadczenie owo, więcej może niż najbarwniejsze dotychczasowe jego opowieści, przyczyniło się do zrozumienia, jak niezwykle i pełnym przygód musiało być to dziwne życie.

Dostrzegł nasze zdumienie i uśmiechnął się z kolei — pobłaźliwie.

— Używałem ja życia — szepnął ciszej. — Nie marnowałem dni i wypełniałem noce: miałem zaledwie lat czternaście, kiedy sam jeden dowodził kompanią w bitwie, w której przyjmowało udział pięć narodów. W dwudziestym roku pewnemu królowi mówiłem do ucha rzeczy, które mu wysysały wszystką krew z policzków. Przyczyniłem się do odbudowania jednego królestwa i byłem z tych, co zmienili innego króla na potężnym tronie w roku, w którym doszedłem do pełnoletności⁵⁰... Pędziłem pracowicie życie.

I oto wszystko, cośmy się mogli dowiedzieć z bogatej przeszłości tego tajemniczego człowieka.

Bo skoro dopraszaliśmy się obszerniejszych, więcej ciekawych szczegółów — trząśł tylko w milczeniu głową albo uśmiechał się dziwnie.

Niekiedy znów przychodziło nam na myśl, że jednak może to być tylko zręczny kłamacz, bo skądże by człowiekowi, który tyle miał ongi znaczenia i wpływów, chciało się pędzić nudne, monotonne życie w hrabstwie Berwick?

Kiedy indziej znowu zaszło coś, co okazało nam dowodnie, że przeszłość jego skrywała tajemnicze i niezrozumiałe czyny.

⁵⁰w roku, w którym doszedłem do pełnoletności — dawniej pełnoletność osiągało się kończąc 21 lat. [przypis edytorski]

Pamiętacie zapewne, iż jednym z naszych najbliższych sąsiadów był stary major, wsławiony podczas hiszpańskiej kampanii, ten sam, który na cześć pokoju odprawiał dzikie harce nad ogniem z siostrą starszą i dwiema leciwymi służącymi.

Otóż zaraz w początkach lata wyjechał do Londynu w sprawach żołdu i jakiegoś odszkodowania za otrzymaną dawniej ranę, jednocześnie zaś z nadzieją ponownego dostania się do czynnej służby i bawił długo, prawie do końca jesieni.

Odwiedził nas niezwłocznie po swoim powrocie i oczy jego po raz pierwszy wtedy spoczęły na panu de Lappie.

Nigdy chyba przedtem, ani potem, nie widziałem twarzy ludzkiej wyrażającej tak bezdenne osłupienie!

Patrzył i patrzył, i obejmował jego postać przeciągłym spojrzeniem, płynęły minuty, a on jeszcze nie wyrzekł żadnego słowa, które by nam objaśniło powód owego zdziwienia.

Gość nasz również przyglądał się uporczywie panu majorowi, trudno jednak odgadnąć było, czy także go poznaje.

— Nie wiem, kto pan jesteś — zaczął w końcu — ale pan przypatruje mi się, jak gdyby znał rzeczywiście?

— Widziałem już raz pana — powiedział major stanowczo.

— Nigdy.

— Mógłbym przysiąc.

— Gdzież więc?

— W wiosce Astorga, w roku 18...

Nieznajomy drgnął silnie i utopił w majorze swój wzrok przenikliwy.

— *Mon Dieu, mon Dieu* — szepnął po chwili — co za dziwny zbieg okoliczności! Pan jesteś owym parlamentarzem angielskim, nieprawdaż? Tak, teraz już pamiętam. Pozwoli pan, że mu w cztery oczy rzeknę małe słówko.

Odeszli na stronę i rozmawiali po francusku przynajmniej przez kwadrans, twarz nieznajomego przyoblekła przy tym wyraz niezwyklej powagi, coś tłumaczył żarliwie, o coś pytał, niecierpliwie potrząsając ręką, major zaś od czasu do czasu potakiwał tylko siwiejącą głową.

Zdaje się, że zgodzili się wreszcie na jedno, bo major silnie uściśnął podaną mu rękę, potem rzekł kilkakrotnie: *Parole d'honneur*⁵¹, potem jeszcze: *Fortune de la guerre*⁵², wyrazy, które zrozumiałem doskonale, gdyż u Birwhistle'a niezmiernie dbali o rozwój w naukach...

Wkrótce zaś nie uszło mym oczom, że major nie ośmielał się na żadne poufałości, ani też zwykle traktowanie naszego tajemniczego gościa, rzeczy, któreśmy⁵³ czynili teraz ze swobodą — że przemawiając do niego lekko schylał głowę i na każdym kroku starał się mu okazać oznaki pełnego czci szacunku.

Nieraz próbowałem wyciągnąć coś na ów temat z majora, lecz trzymał się ostro i zawsze odchodziłem z jednakowym kwitkiem.

Horscroft całe owe lato spędził z nami, jesienią dopiero jął zbierać się do Edynburga, na zimowy semestr, obiecując sobie pracować gorliwie, tak, by móc otrzymać dyplom już na wiosnę. Na święta Bożego Narodzenia miał do nas przyjechać.

Pomiędzy nim i Edie odbyło się więc serdeczne, uroczyste pożegnanie.

Mieli się pobrać z chwilą, w której Jimowi wolno będzie leczyć.

Nie widziałem nigdy mężczyzny, okazującego kobiecie więcej niż on przywiązania, ubóstwiał po prostu narzeczoną — Edie ze swej strony przywiązała się do niego także — na swój sposób — i rzeczywiście, trudno by jej było znaleźć piękniejszego i bardziej pociągającego człowieka, choćby nawet zesła całą Szkocję.

A jednak, skoro tylko Jim poruszał kwestię bliskiego małżeństwa, na ustach Edie nikł uśmiech i ustępował miejsca brzydkiemu skrzywieniu, ja zaś, jako doświadczony, czytałem wtedy z jej twarzy jak z otwartej księgi. Oto myślała sobie, iż wszystkie śmiałe rojenia ustąpić muszą nieugiętym następstwom pierwszego, zbyt pochopnego kroku, że każą się jej wyrzec dumnej przyszłości, mitry czy korony, że zostanie żoną skromnego

⁵¹*parole d'honneur* (fr.) — słowo honoru. [przypis edytorski]

⁵²*fortune de la guerre* (fr.) — wojenny los. [przypis edytorski]

⁵³*któreśmy czynili* (daw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: które czyniliśmy. [przypis edytorski]

wiejskiego lekarza. Wszystko jednak zważywszy, nie miała innego wyboru, bądź co bądź, Jim lepszą ode mnie był partią, skłaniała się zatem do Jima...

Wprawdzie Opatrzność zesłała jej także de Lappa, ten jednak pochodził z klasy o tyle wyższej nad nasz mizerny stan chłopski — sądząc choćby z zachowania się pana majora — iż nie ośmieliłaby się z pewnością zwrócić w jego stronę oczu.

W owych czasach trudno mi było określić, czy i o ile zajmował Edie ten szczególnie człowiek.

Bo skoro Jim bawił u nas, poświęcała mu naprawdę wszystkie prawie chwile, nie zwracając na tamtego najmniejszej uwagi.

Kiedy go zaś nie było, i potem, gdy wyjechał, spotykali się z de Lappem dosyć często i z przejęciem przysłuchiwała się wytwornej jego mowie.

A jednak kilkakrotnie odzywała się o nim tak, jakby się jej nie podobał, tymczasem, skoro zdarzyło się, że nie zszedł na wieczerzę — posepniała i traciła zwykły swój, pogodny humor.

Żadne z nas nie lubiło tak z nim namiętnie rozmawiać, żadne nie potrafiłoby zadawać tak kunsztownych pytań.

Kazała sobie opisywać strój królowych, ich ruchy, uczesanie, wygląd, dywany, po których stapały, pragnęła wiedzieć, czy noszą szpilki we włosach, ile piór na kapeluszu, aż dziwiłem się w końcu, skąd mu się brała cierpliwość odpowiadać na to wszystko i jak mógł zauważyć te wszystkie szczegóły!

Każde jej pytanie zaspakajał z pełnym wyrozumienia uśmiechem. I tak barwnie opowiadała te błahostki, tak widać po nim było, że chce ją rozśmieszyć i zabawić, iż nieraz mimo woli pytałem się w duchu, jakim to cudem się dzieje, że ciągle jest taka sztywna, czemu okazuje mu twarz tak bardzo różną od tej, którą miała choćby dla nas.

Minęło lato, jesień, potem upłynął okazały szmat zimy, a my ciągle wiedliśmy spokojne i względnie szczęśliwe życie.

Zaczął się rok 1815.

Wielki cesarz ciągle przebywał na Elbie i rozpacz żarła mu nielitościwe serce, a zebrani w Wiedniu ambasadorowie ciągle jeszcze kłócili się o sposób podzielenia pomiędzy siebie tej dumnej, lwiej skóry, teraz, kiedy mu jarzmo włożyli na szyję i zmusili do stłumienia groźnych dla siebie pomruków.

My zaś, w naszym zapadłym kątku Europy, cali pochłonięci byliśmy przez drobiazgowę, drobne, a jednak niezbędne czynności, przez starania koło owiec, częste wyprawy na targ do Berwick z bydłem, wreszcie przez wieczorne pogawędki przy ogniu, podsycanym ciągle świeżym torfem.

I nie przychodziło nam nawet do głowy, że czyny tych wysokich i potężnych dygnitarzy mogą mieć jakikolwiek wpływ na nasze losy.

Co zaś do wojny, zgodnie przecież przyznawali wszyscy, że skoro cień złowieszczy znad głów naszych rozwiął się już na zawsze i jeśli przy tym Sprzymierzeni nie pokłócą się przypadkiem z sobą, tedy może minąć pięćdziesiąt lat i nawet więcej, zanim w Europie zabrzmi jeden choćby wystrzał.

W tym także mniej więcej czasie zdarzył się wypadek, który w tej chwili ostrymi liniami rysuje się w mojej pamięci. Zdaje się, że to zaszło przed końcem lutego i chcę go tu opowiedzieć, zanim ruszymy dalej.

Wiecie zapewne, jak wyglądały pograniczne wieże alarmowe?

Były to olbrzymie, ze złomów budowane stolby⁵⁴, rozsypane w pewnej między sobą odległości wzdłuż linii dzielącej prowincje i tak obmyślane, by dawać mogły schronienie i opiekę tamecznym⁵⁵ mieszkańcom przeciwko maruderom i bandytom.

Kiedy Percy ze swoimi ludźmi zapuszczał się głębiej w pogranicze, wszyscy ściągali z trzodami na podwórzec wieży, zamykano ciężką bramę i natychmiast zażegano chrust, przygotowany od dawna na szczycie.

Był to umówiony sygnał, na który miały odpowiadać wszystkie inne wieże.

⁵⁴stolb a. stolp — średniowieczna wieża obronna o znacznej wysokości (30–50 m) i grubości murów (3–5 m), zbudowana na planie koła, owalu, prostokąta a. wieloboku, niezamieszkiwana podczas pokoju. [przypis edytorski]

⁵⁵tameczny (daw.) — tamtejszy. [przypis edytorski]

I migotliwe płomyki rozwijały się prędko w długi szereg, osiągały zboczy Lamermuir, niosły nowinę do Pentlandu, potem do Edynburga. Tak oto bywało w owych odległych czasach. Bo teraz wszystkie te starożytne wieżycy waliły się już w gruzy i sterczały ostrymi kantatami rozsypujących się murów, martwe, opuszczone, ciche. Milczenie rozdzierała tylko chwilami krzyk ptactwa, z upodobaniem gnieźdzącego się wśród ruin.

W szkolnych i dzieciennych latach niezmiernie lubiłem włóczyć się tam całymi nieraz godzinami, a w wieży spod Corriemuir zebrałem nawet sporą liczbę rzadkich jajeczek do mojego zbioru.

Aż teraz kiedyś oto ojciec wyprawił mnie do Armstrongów z Laidlaw z jakimś pilnym poleceniem. Folwark ich znajdował się dwie mile od Ayton — po dziś dzień zamieszkiwany jeszcze przez ową zacną rodzinę.

Cały czas szedłem szparko i koło piątej, na krótko przed zachodem słońca, wracałem już na powrót wąską ścieżyną wijącą się wśród ogołoconych teraz z zieloności wzgórz — przede mną zaczynały się już rysować zębate mury West Inch — trochę na lewo ciemniały potężne ruiny strażnicy.

Potoki czerwonego światła, jakie wysyłały horyzontalne już promienie słońca, oblewały martwe złomy żywą, jaskrawą barwą, w dali, za krwistą plamą wieży majaczyło ciemnozielonawe morze, szedł od niego jakiś szept dziwny, kojący... Była cudna przedwieczorna chwila.

Wyteżałem oczy, chcąc zabrać w duszę więcej tych usypiających blasków i nagle, w jednym z wyłomów w murze, dostrzegłem ciemną sylwetkę człowieka.

Zatrzymałem się prawie bezwiednie, zdziwiony niepomiernie tym odkryciem, co bowiem mogła mieć do czynienia istota ludzka o tej właśnie porze — przecież to był luty, więc ani gniazd, ani ptaków.

Stanowczo było to coś niezwykłego i natychmiast postanowiłem wyświetlić podejrzaną sprawę.

Odłożyłem więc na bok zmęczenie i śpiesznym krokiem skierowałem się ku opuszczonej wieży.

Trawa zarastała obficie całą potrzebną do przebycia przestrzeń, toteż zbliżałem się prawie bez szmeru i wkrótce dosięgłem dużego wyłomu, który niegdyś stanowił główne wejście.

Rzuciłem ukradkowe spojrzenie do środka.

Wewnątrz, tuż przy murze majaczyła smukła sylwetka de Lappa, pilnie coś śledzącego ciągle tym samym otworem.

Zwrócony był do mnie profilem.

Nie ulegało wątpliwości, że dotąd nie widział mnie wcale, gdyż patrzył bez przerwy w kierunku West Inch.

Postąpiłem krok naprzód, pod stopami moimi zatrzeszczały obficie rozesłane po dziedzińcu gruzy... Nieznajomy drgnął nagle, odwrócił się błyskawicznym ruchem i utopił we mnie wzrok palący.

Nie należał jednak do tych, których coś nieprzewidzianego mogłoby niespodzianie zaskoczyć lub zmieszać. Wyraz dumnych rysów nie zmienił się ani na jotę, owa twarz zagadkowa równie dobrze mogła wyrażać w tej chwili, że czekał mnie tu od roku, jak i to, że niepożądaną mu była ta właśnie obecność. A przecież w orlich oczach paliło się coś, co mi mówiło, że dałby za pewnością wiele, żeby pozbyć się mnie jak najprędzej.

— Hallo! — wyrzekłem, nie ukrywając bynajmniej zdziwienia. — A pan co tutaj robi?

— Mógłbym zapytać o to samo — odparł gniewnie.

— Przyszedłem tu tylko dlatego, że dojrzałem pana w wyłomie.

— Ja zaś po to, by rozejrzeć się w tych wspaniałych ruinach — zaczął mówić prędko i jakby wzburzony — wiesz pan i sam zresztą mogłeś już niejednokrotnie zauważyć, że niezmiernie interesuje mnie wszystko, co ma jakikolwiek związek z rzeczami wojskowymi, tego rodzaju wieżycy są oczywiście z ich liczby. A teraz poczekaj tu na mnie chwilę, drogi przyjacielu.

Silnym ruchem ujął wystającą krawędź muru, zawisł w otworze i znikł z moich oczu.

Ale ciekawość moja zbyt już była zaostrzona, by mógł ją oszukać tak łatwo.

Przechyliłem się także i usiłowałem dostrzec, co on robi.

Stał tuż przy baszcie, szczerze przyciśnięty do szarego muru i poruszał gorączkowo ręką. Wyglądało to na jakiś tajemniczy sygnał.

— Co pan robi?! — wykrzyknąłem ze zdumieniem.

I pędem wybiegłem z dziedzińca, chcąc jak najprędzej stanąć przy nim i zobaczyć, komu daje te dziwaczne znaki.

— Zanadto pozwalasz sobie, mój panie! — wybuchnął cudzoziemiec zirytowanym głosem. — Nie przypuszczałem, że ośmielisz się zejść tak daleko. Każdy *gentleman* ma prawo postępować, jak mu się podoba, nie radziłbym więc panu trudnić się szpiegostwem. I jeśli nadal mamy zostać przyjaciółmi, to tylko pod warunkiem, że każdy z nas ma zapewnioną całkowitą swobodę swych kroków.

— Nie lubię tych tajemnic — odpowiedziałem szorstko — a rękę, że nie podobałyby się z pewnością i ojcu.

— Ojciec pański może kiedy zechce rozmówić się ze mną, zresztą nie ma tu żadnych sekretów — oznajmił suchym, groźbę kryjącym tonem — wszystkie lęgną się w zbyt bujnej wyobraźni pana! Ach! Irytuja mnie tylko te głupstwa!

Odwrócił się pogardliwie i, nie kiwnąwszy nawet głową, wzburzonym krokiem puścił się w stronę West Inch.

Po chwili namysłu udałem się za nim, w przyzwoitej jednak odległości. Cały mój poprzedni humor pierzchnął gdzieś daleko, w duszy zaś coraz jaśniej rysowało się dziwne przecucie, że oto knuje się coś niedobrego, nie miałem tylko najmniejszych choćby wskazówek, coby to mianowicie być mogło.

I ani się spostrzegłem, kiedy przeniosłem się myślą do dnia pojawienia się tego człowieka, długiego wśród nas pobytu i mnóstwa szczegółów, które pojedyncze i luźne, nie stanowiły wprawdzie nic podejrzanego, a jednak związane w pewien ciągły łańcuch, nabierały cech istotnie tajemniczych i niejasnych.

Kogo on oczekiwał w sygnałowej wieży?

Czyżby był szpiegiem lub może miał współnika trudniącego się szpiegostwem, a te ruiny byłyby⁵⁶ miejscem ich schadzek?

Nie, to niedorzeczność.

Cóżby mógł szpiegować w spokojnym hrabstwie Berwick?

Zresztą, major Elliott znał go przecież bliżej i o powodach pobytu w West Inch musiał być poinformowany dokładnie — czyżby siwa głowa zasłużonego żołnierza schylała się przed tym nieznanym z takim niezwykłym szacunkiem, gdyby znajdował w tym cośkolwiek niejasnego?

Wtem z boku usłyszałem głośnie pozdrowienie. Spojrzałem szybko w tym kierunku i na najbliższej pochyłości ujrzałem właśnie majora, powoli spuszczonego się w dolinę. Na smyczy prowadził ulubionego buldoga, Boundera.

Nie cierpieliśmy go wszyscy, gdyż zwierzę było złe, złośliwe i na sumieniu miało już niejednego pokaleczonego człowieka — jednak stary żołnierz darzył go niezmiennym przywiązaniem i nie ruszał się z domu bez ukochanego ulubieńca, na nalegania sąsiadów zakładając mu jedynie mocny, skórzany rzemień i obrożę.

Nagle major chorą swą nogą zawadził o gałąź janowca i zachwiał się mocno, a odzyskując równowagę, wypuścił smycz z ręki i prawie natychmiast przeklęte zwierzę pomknęło naprzód, błyskawicznie zbiegając w dolinę.

Ciarki mi przeszły po grzbiecie i każdy chyba zrozumie, że położenie moje nie należało wcale do najzabawniejszych, gdyż w pobliżu nie było nie tylko kamienia lub kija, ale nawet najędźniejszego patyka.

Major przywoływał go wprawdzie rozpaczliwym krzykiem, zdaje się jednak, iż głos ten jątrzył tylko na próżno buldoga, ponieważ biegł coraz prędzej. Na szczęście znałem jego imię i „ośmielałem się” żywić nadzieję, że to wywalczy względy należne starej znajomości.

I kiedy już rzucał się na mnie, ze zjeżoną sierścią, krwią zaszły mi oczyma i pianą na brzydkim pysku, krzyknąłem całą siłą płuc młodych i zdrowych.

— Bounder! Bounder!!

⁵⁶byłyby — konstrukcja z partykułą -że-, skróconą do -ż-; znaczenie: czy byłyby, czyżby były. [przypis edytorski]

Co wywołało tyle upragniony skutek, gdyż przesadził mnie potężnym susem i skoczył, jak szalony w kierunku idącego spokojnie de Lappa.

Uszu cudzoziemca dosięgnął tymczasem cały ten niezwykle hałas, gdyż odwrócił się nagle, ogarnął nas bystrem spojrzeniem, i zaraz, zrozumiawszy niby o co chodzi, szedł dalej, założywszy w tył ręce i nie przyśpieszywszy wcale kroku.

Uczyliło mi się gorąco — pies nie znał go wcale.

Jałem biec zatem tak prędko, jak tylko mi na to pozwalały nogi, chciałem przywołać zwierzę, a choćby tylko ostrzec tego, który zdawał się nie pojmować całej grozy chwili. Do dnia dzisiejszego nie rozumiem, co się potem stało. Buldog gotował się właśnie do skoku, gdy nagle spostrzegł dziwne ruchy, jakie pan de Lapp czynił wielkim i ostatnim palcem... I zaraz wściekłość znikła niby za dotknięciem laski czarnoksiężskiej, pies zakręcił radośnie króciutkim ogonem i łasząc się, przypadł mu do nóg, pieszczotliwie opierając łapę o jego kolano...

— To pański pies, majorze? — spytał od niechcienia, gdy stary żołnierz zbliżył się, kulejąc i sapiąc mocno. — Śliczne zwierzę, prześliczne, co za rasa!

Major nie mógł zrazu odpowiedzieć, milcząc ocierał pot z czoła i oddychał ciężko. Nic dziwnego, całą tę przestrzeń przebył pędem!

— Obawiałem się, żeby panu nie zrobił co złego — wymówił wreszcie urwanym głosem.

— Ha, ha, ha! Wolne żarty, drogi panie! — zaprzeczył nieznajomy z uśmiechem. — Piękne, łagodne zwierzę. Ogromnie lubię psy rasowe i ogromnie się cieszę z dzisiejszego spotkania, majorze, gdyż ten oto młody człowiek, któremu, między innymi, winien jestem wiele, ma niezmierną ochotę ogłosić mnie za szpiega. Czy nie odgadłem, Jocku? — dodał złośliwie, zwracając się do mnie.

Tak mnie przeraziły te niespodziewane słowa i nagły zwrot w rozmowie, iż głosu nie mogłem dobyć z gardła. Podobno zaczerwieniłem się jak burak i spuściłem oczy. Wyobrażam sobie, jaką musiałem mieć minę!

— Pan mnie znasz, majorze — ciągnął de Lapp nielitościwym tonem — mam więc nadzieję, że mu powiesz, jako⁵⁷ rzecz sama w sobie jest zupełnie niemożliwa?

— Tak, Jocku. Absolutnie i zupełnie! — powtórzył stary żołnierz z oburzeniem.

— Dziękuję — rzekł cudzoziemiec chłodno. — Powinieneś pan być wyrządzić mi tę przysługę. Co tam u pana słyhać? Kolano pewnie ma się lepiej, myślę, że wkrótce wrócisz pan do ukochanego pułku?

— Czuję się dosyć dobrze — odparł z wdzięcznością major — wątpię jednak, czy kiedykolwiek będę jeszcze pułkownikiem, chyba że znów wybuchnie jaka wojna, a zdaje się, iż to nie nastąpi za mojego życia.

— Istotnie pan wierzy w swe słowa? — zagadnął de Lapp ze zwykłym, charakterystycznym półuśmiechem. Ha, zobaczymy. *Nous verrons, nous verrons*⁵⁸, kochany przyjacielu.

Zdjął kapelusz, obrócił się na pięcie i zakręcił w stronę naszego folwarku.

Pan Elliott stał długo jeszcze niby wkuty w ziemię i ścigał niknącą sylwetkę zamyślonym wzrokiem.

A potem spytał, co było powodem, że wziąłem go za szpiega.

Opowiedziałem dokładnie wszystko, czegom⁵⁹ był świadkiem w ruinach, na tym jednak skończyła się rozmowa, gdyż major nic nie odrzekł, w niczym mnie nie objaśnił, potrząsnął tylko głową i przy tym miał wyraz człowieka, którego coś trapi, kogoś, co nie może się pozbyć jakiejś dręczącej zagadki.

ROZDZIAŁ ÓSMY. POJAWIENIE SIĘ *cuttera*

Od czasu owego zajścia w wieży alarmowej stosunek mój z nieznajomym zmienił się o wiele.

⁵⁷jako (daw.) — że. [przypis edytorski]

⁵⁸*nous verrons* (fr.) — zobaczymy, przekonamy się. [przypis edytorski]

⁵⁹czegom był (daw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: czego byłem. [przypis edytorski]

Nie umiałem pozbyć się myśli, że usiłuje ukryć przede mną jakąś tajemnicę, a raczej, że osobistość jego sama jest już zagadką, jak nieznaną i ciągle jednakowo niedostępną była cała urozmaicona przeszłość.

Jeśli zaś, wypadkiem, uchylał się przed nami rąbek tej zasłony, to zwykle po to jedynie, by ukazać jakiś obraz krwawy, posępny, straszliwy.

Sam widok jego ciała już napełniał trwogą.

Kiedyś, pamiętam, w upalny dzień letni, kąpaliśmy się razem i wtedy zauważyłem po raz pierwszy, że cały pokryty jest bliznami. Nie licząc siedmiu czy ośmiu kres bardzo głębokich, miał boki rozorane mnóstwem mniejszych, prawie jednakowych śladów, na prawej łydce widniała czerwona szrama i brakło kawałka ciała.

Uśmieł się serdecznie, dostrzegłszy moje zdumienie.

— Kozacy to, kozacy! — rzekł wreszcie, dotykając białawych brzegów blizny. — Boki znów urządził mi tak pięknie wybuch jaszczyka z prochem. Szkaradna to historia, kiedy czujesz armaty jadące ci po grzbiecie! Bo kawaleria to nic jeszcze. Koń, żeby tam biegł najprędzej, zawsze patrzy, gdzie stawia kopyta. Przeleciało po mnie tysiąc pięciuset kirasjerów i huzarów rosyjskich pod Orodnem, a przecież nie wyrządzili mi najgorszej krzywdy. Najokropniejsze są armaty!

— A łydka? — pytałem niecierpliwie.

— Ba! Głupstwo! Tylko ząbki wilka — objaśnił, krzywiąc się z lekka. — Nie uwierzyłbyś, młody przyjacielu, jak to się zabawnie stało. Leżałem oto z koniem, obaj pokiereszowani, on na śmierć, ja z kośćmi pogruchotanymi przez armaty... A było zimno... brr... piekielnie zimno! Ziemia twardsza od żelaza, żywej duszy, która by mogła zająć się rannymi. Nieszczęśliwi czołgali się w mękach okropnych do kamieni, gruzów, do drzew wreszcie przydrożnych, myśląc, że znajdą jakie takie schronienie przed zimnem — i marzli jeden po drugim — a wyglądali z daleka jak żywi, bo tak marli, jak ich pochwyciło... Ja również czułem, że kostnieję. Co począć? Z wysiłkiem ująłem szablę i powoli rozprułem brzuch memu koniowi. Potem wykrajałem stamtąd, co się dało, na rękach wpełzłem do środka i szczelnie zakryłem się skórą, zostawiając tylko maleńki otwór na przypływ świeżego powietrza. *Sapristi*, jakże tam było gorąco! Cóż jednak! W żaden sposób nie mogłem pomieścić się cały, stopy i część nóg — po kolana — musiały zostać na mrozie. Nic to jeszcze — zasnąłem potem, trochę z bólu, trochę ze zmęczenia, tymczasem zaś pojawiły się wilki i zaczęły pożerać trupy ludzkie i ściervo ubitych koni. Oczywiście nie omieszkały i mnie trochę nadwyżyć. Odtąd jednak, co noc czuwałem z pistoletami w ręku i nie pozwoliłem im więcej próbować tego przysmaku. W ten sposób przepędziłem dziesięć dni, i nie mógłbym powiedzieć, że były najgorsze w życiu.

— Dziesięć dni! — wykrzyknąłem z osłupieniem. — A czymże się pan żywił?!

— Koniną — oznajmił z zimną krwią cudzoziemiec. — Był dla mnie zarazem mieszkaniem i... jakże tam?... wiktem. Tylko, rzecz prosta, że ból i rany nie odjęły mi całkowicie rozsądku, więc pokornie spożywałem nogi, nie tykając ciała. Wokoło mnie wałały się dziesiątki trupów, przy każdym błyszczała manierka, miałem zatem wszystko, czegom⁶⁰ mógł zapragnąć! Jedenastego dnia przybył, wysłany na zwiady, patrol lekkiej kawalerii i cała przygoda skończyła się nadszpiewaniem dobrze.

I tak, poprzez rozmowy, zawiązywane przypadkiem i które nie były na tyle ważne, by je przytaczać — w luźnym z całością związku — czyniło się w umysłach naszych światło, darła się zasłona rzucona na osobę i przeszłość tego dziwnego człowieka. A wkrótce miał nadejść dzień, w którym zgłębiliśmy wszystko — co właśnie pragnę tutaj opowiedzieć.

Zima była wyjątkowo ponura i smutna, dopiero w drugiej połowie marca zaczęły się pojawiać oznaki bliskiej wiosny, coraz znamiennejsze i częstsze, i w ostatnim tygodniu tego miesiąca zawiały do nas ciepłe, południowe wiatry, a słońce jęło grać mocniej.

Siódmego spodziewaliśmy się powrotu Jima z Edynburga, gdyż — jakkolwiek decydujące posiedzenie ciała profesorskiego miało odbyć się kilka dni wcześniej, liczyliśmy, że egzamin, odebranie dyplomu i tym podobne formalności zabiorą mu około tygodnia.

Szóstego marca — jak dziś pamiętam ten dzień straszny — przechadzałem się z Edie po cichym wybrzeżu i pomimo wszystko, pomimo całej goryczy wiążącej się z imieniem

⁶⁰czegom mógł zapragnąć (daw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: czego mogłem zapragnąć. [przypis edytorski]

najdawniejszego przyjaciela — nie mogłem w tej chwili mówić o czym innym, nie umiałem nagiąć myśli do żadnej rzeczy, która by nie odnosiła się do tego upragnionego przez Jima dyplomu i nie dotyczyła go choćby pośrednio. Bądź co bądź był to jedyny człowiek, który posiadał moją — kiedyś wyłączną, teraz jeszcze silną — przyjaźń.

Edie milczała prawie ciągle — co stanowiło u niej objaw bardzo rzadki — jednakże słów moich słuchała bez zwykłego skrzywienia, powiedziałbym nawet — z uśmiechem.

— Biedny, biedny Jim — szepnęła nagle z współczuciem i jakby do siebie. — Poczciwe biedaczysko.

— A jeśli egzaminy poszły mu pomyślnie — ciągnąłem, nie zwracając uwagi na ów niezrozumiały wykrzyknik — wynajmie zaraz mieszkanie, na drzwiach umieści lśniącą, doktorską tabliczkę — my zaś — utracimy naszą Edie...

Umyślnie przybierałem ton cokolwiek żartobliwy i usiłowałem o tym niedalekim fakcie odzywać się z całą swobodą, przecież wyrazy więzły mi co chwila w gardle i ogarniało mnie, niczym się niedające powściągnąć, wzruszenie.

— Biedny ten Jim — wyrzekła znów Edie cichutko.

Widziałem doskonale, że łzy miała w oczach.

— I biedny Jack — dodała ciszej jeszcze, serdecznie ujmując mnie za rękę.

Przez jedno krótkie mgnienie szliśmy bliźniutko przy sobie, jak dawniej, krew gorącą falą nabiegała mi do piersi...

— Biedny, bo i tobie chodziło kiedyś o mnie, prawda Jacku? — mówiło dziewczę dziwnie zdławionym głosem.

Zdało mi się nagle, że chyba się nie zmożę, chyba porwę tę dziewczynę i ucieknę z nią na koniec świata, i nikogo jej nie pozwolę kochać, tylko siebie!

Sekund kilka — jak wiek długich.

— Patrz, jaki śliczny statek! — odezwała się już spokojniej.

Oprzytomniałem i mimo woli spojrzałem w wskazanym kierunku. Na morzu istotnie kołysał się zgrabny *cutter*, o trzydziestu mniej więcej tonach objętości. Sądząc po smukłych masztach i budowie przodu, mógłby współzawodniczyć w szybkości z niejednym wielkim okrętem.

Płynął z południa, a w promieniach zniżającego się powoli słońca srebrem lśniły trójkątne żagle, rozpięte na przednim i środkowym maszcie, lecz nie upłynęło nawet pół minuty, skoro wszystkie zwinęły się nagle, na podobieństwo mewy, składającej śnieżne swoje skrzydła, i zaraz z masztu na przodzie statku jęła się spuszczać kotwica, a woda bryznęła w górę białą pianą.

Przystawał nie dalej jak ćwierć mili angielskiej od brzegu, kto wie, czy nie bliżej, gdyż na pokładzie z tyłu statku rozróżnialiśmy doskonale wysokiego wzrostu mężczyznę w rodzaju szłyka⁶¹ na głowie, który z lunetą w rękę przyglądał się uważnie okolicznym zboczom.

— Co on tu robi? — zagadnęła mnie Edie po chwili.

— Są to prawdopodobnie jacyś bogaci Anglicy z Londynu — odparłem dosyć stanowczo.

Dziś z uśmiechem politowania wspominam owo określenie, wówczas jednak objaśnialiśmy w ten sposób wszystko, cokolwiek niezrozumiałego zachodziło w pogranicznych hrabstwach.

Z godzinę chyba podziwialiśmy wykwintny statek, potem zaś, ponieważ słońce miało właśnie ukryć się za chmury, a powietrze stawało się zimne i ostre — okrążyliśmy wzgórze półkolem i wracaliśmy śpiesznie w kierunku West Inch.

Główne wejście na folwark wiodło przez duży ogród, tak jednakże zaniedbany, iż rzadko kto przechodził tamtędy, stąd furtka żelazna w murze zwykle prawie zamknięta była na zasuwkę.

Przy tej to furcie spędziłem ongi noc bezsennej — wówczas — kiedy gorzały sygnały i kiedyśmy mieli szczęście rozmawiać z Walterem Scottem jadącym z Edynburga.

Na prawo od wejścia i właśnie w owym opuszczonym sadzie, wznosi się rodzaj kamiennego kopca, który podobno postawiła kiedyś babka, matka mojego rodzica⁶².

⁶¹szłyk — wysoka czapka futrzana. [przypis edytorski]

⁶²rodzic (daw.) — ojciec. [przypis edytorski]

Złożyły się na niego gładki wypolerowany przez wody strumienia, złotawy piasek, żwir błyszczący, wreszcie piękne muszle morskie, lśniące tęczą barw wśród mchów zielonych i delikatnych paproci wychylających się spośród kamieni niby puszyste, koronkowe kity.

Minęliśmy już furtkę i zapuściliśmy się krętą ścieżką, która biegła tuż koło owego kopczyka. Wzrok mój upadł nań przypadkiem i na płaskim, najwyżej leżącym kamieniu dostrzegłem sporą, na dwoje rozłupaną drzazgę, której ramiona obejmowały jakiś biały papier.

Schyliłem się prędko, pragnąc przekonać się, co to, lecz uprzedziła mnie Edie i odtrącając lekko, chwyciła kartkę i błyskawicznym ruchem ukryła w kieszeni.

— To dla mnie — szepnęła, oblewając się mocnym rumieńcem.

Ja zaś uczulem, że krew wszystka ucieka mi z serca, i zagłębiłem w jej źrenicach oczy, których wyraz zgasił pogodę w jej twarzy. Pobladła.

— Od kogo, Edie? — zapytałem głucho.

Ściągnęła brwi mocno, lecz nie odpowiedziała ani słowa.

— Od kogo, dziewczyno?! — powtórzyłem, całą mocą tłumiąc jeszcze gniew, wzburający mi wi duszy. — Czyżby to być mogło, że oszukujesz Jima, jak przedtem zdrawiłaś ze mnie?

— Jesteś brutal! — przerwała z ogniem w oczach. — Radzę ci nie wtrącać się do tego, co do ciebie nie należy.

— Owa kartka pochodzić może od jednego tylko człowieka! — mówiłem dalej, urywanym głosem. — Tylko od jednego. Od *de Lappa*.

Wyprostowała się dumnie.

— A gdybyś miał słusność? — wycedziła sucho.

Zimna krew tej istoty w takiej, w *takiej* chwili, odbierała mi przytomność i przypawiła po prostu o jakiś szal gniewu.

— Przyznajesz się! — wybuchnąłem, postępując krok naprzód. — Więc naprawdę nie masz już żadnego wstydu?!

Cofnęła się z godnością i zmierzyła mnie dziwnym spojrzeniem.

— Czemuż to nie wolno mi otrzymywać listów od tego właśnie *gentlemana*? — odparła zimnym jak stal głosem.

— To podłość!

— Czemu?!!

— Ponieważ to obcy, Francuz może, cudzoziemiec!! — krzyknąłem już prawie z rozpaczą.

— Mylisz się — wyrzekła z wolna. — To *mąż* mój przede wszystkim.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY. CO ZASZŁO W WEST INCH

Do grobu nie zapomnę tej straszliwej chwili. Nieraz przedtem słyszałem ludzi utrzymujących, iż cios jakiś gwałtowny a nagły mocen⁶³ jest ogłuszyć nerwy i stępić wrażliwość na wszystko, co nie jest tym bólem.

Ze mną stało się inaczej, przeciwnie nawet, bo wzrok, słuch i myśli zyskały tylko na jasności.

Pamiętam, że oczy moje upadły właśnie na bryłę marmuru wielkości ręki mężczyzny, okoloną wieńcem szarych, spiczastych kamyków, i z całym skupieniem podziwiałem różnokolorowe, po niej się wijące żyłki...

A jednak twarz musiała przybrać jakiś nieznanym przedtem wyraz, bo nagle Edie wydała krzyk stłumiony i pędem uciekła w stronę drzwi, spoza których kładło się na ścieżce żółtawe, migotliwe światło.

Chwilę bezmyślnym wzrokiem ściagałem jej postać, potem jak szalony puściłem się w kierunku domu i jałem stukać w okno jej pokoju na wpół nieprzytomnie. Tam przecież schroniła się niezawodnie.

Przez szyby dojrzałem wkrótce białe czoło, brwi ciemne, wiśniowe usta...

— Odejdź stąd, odejdź, czy słyszysz? — odezwała się na koniec gorączkowo. — Nie chcę twoich wyrzutów! Nie pozwalam ci tak mówić! Nie otworzę okna! Odejdź, słyszysz?

⁶³*mocen jest* (daw.) — jest w stanie. [przypis edytorski]

Nie przestawałem stukać coraz głośniej.

— Muszę cię o coś zapytać — rzuciłem przez ściśnięte zęby.

— Co takiego? — podchwyciła, uchylając z nieufnością okna. — Wiedz, że jedna wymówka, a zamknę i nie otworzę więcej!

— Czy *naprawdę* jesteś mężatką, Edie? — zacząłem z drżeniem, czekając słów jej jak wyroku.

— Tak — szepnęła poważnie, a mnie najcięższy kamień spadł z serca, lecz miejsce jego zajął ból głuchy, stępiony...

— Kto wam ślub dawał?

— Ojciec Brenman, zakonnik, w kaplicy rzymskokatolickiej w Berwick.

— Tobie, prezbiteriance?!

— On życzył sobie, żeby akt odbył się w kościele katolickim.

— Kiedy... kiedy... się to stało?

— Tydzień będzie we środę...

W tej chwili przypomniałem sobie, że dnia tego Edie jeździła do Berwick, a cudzoziemiec znikł także, uprzedziwszy, iż wybiera się na dłuższy spacer w góry...

— A... a... Jim? — odważyłem się teraz zapytać.

— Jim przebaczy mi wszystko.

— Złamiesz mu serce i zrujnujesz przyszłość — wyrzekłem surowo.

— On mi przebaczy — powtórzyła, blednąc.

— Chyba nie znasz Jima?! Prędzej zabije twojego de Lappa! Och! Edie — skarżyłem się z bólem — jak mogłaś przyczynić nam tyle wstydu i tyle cierpienia?

— Wymówki?! — rzuciła gniewnie, z luną krwi na cudnej twarzy.

I natychmiast okno zamknęło się z trzaskiem.

Czekałem, aż się uspokoi i stukałem znowu, gdyż o wiele rzeczy musiałem ją jeszcze zapytać, ale nie chciała zbliżyć się do okna, nie chciała odpowiadać, chwilami zdawało mi się, że słyszę płacz jej, podobny do jęku...

Wyczerpało mnie to wreszcie, a że przy tym ściemniło się zupełnie, więc ociężałym krokiem skierowałem się ku domowi, gdy nagle usłyszałem skrzyknięcie ogrodowej furtki.

Na ścieżce zamajaczyła smukła sylwetka de Lappa.

Szedł prędko, zwrócony bokiem do mnie i przez chwilę myślałem, że wraca obłąkany lub nietrzeźwy.

Posuwał się dziwnym, rytmicznym, z jakiegoś obcego mi tańca, zapożyczonym krokiem. Przy tym raz po raz trzaskał w palce, a źrenice mu gorzały niby dwa błędne ogniki.

— *Voltigeurs!* — wybiegło mu z ust cichym krzykiem. — *Voltigeurs de la Garde!*

Te same słowa, które wymówił wtedy, na wybrzeżu...

A potem:

— *En avant! En avant!*⁶⁴

Ostry świst przeszył powietrze — to cudzoziemiec wykonywał jakieś energiczne ruchy laską.

Nagle stanął. Dostrzegł mnie przy murze i odgadł widać, że byłem świadkiem jego słów i zachowania, gdyż lekki przymus odbił mu się w twarzy.

— Ach! To ty, młody przyjacielu! — odezwał się wreszcie. — Nie przypuszczałem, że zastanę tutaj kogokolwiek. W doskonałym jestem dziś usposobieniu! Dawno się nie czułem równie znakomicie.

— Ja zaś przysiągłbym, że jutro, skoro powróci Jim Horscroft, na pewno nie będzie panu tak wesoło! — wybuchnąłem szorstko.

— Więc przyjeżdża jutro? — ciągnął z tym samym spokojem. — Proszę, proszę, dla czegoż by to jednak miało wpłynąć na mój humor?!

— Dla tej prostej przyczyny, iż zabije tego, kto wydarł mu szczęście.

— Doprawdy? Widzę, żeś pan zgłębił już tajemnicę naszego małżeństwa — odparł cudzoziemiec chłodno. — Edie musiała się przyznać? Trudno więc! Horscroft uczyni, co zechce.

— Pięknie pan nam odplacił za życzliwość i schronienie! — rzuciłem z bezsilnym oburzeniem.

⁶⁴*en avant* (fr.) — naprzód. [przypis edytorski]

Nieznajomy przystąpił bliżej.

— Drogi chłopcze — zaczął miękko. — Myślę, że jest przeciwnie, i że wywdziękuję się wam, jak mogłem najlepiej. Sam chyba widzisz niedostatki waszego cichego życia i rozumiesz, że Edie stworzona była do innych przeznaczeń. A przez małżeństwo ze mną wchodzi do możnej i zacnej rodziny. Gdzież tu powód do wyrzutów? Teraz musimy się rozstać, gdyż muszę dziś jeszcze napisać kilkanaście listów, co zaś do reszty, to możemy jutro, kiedy Horscroft już będzie, powrócić do całej tej sprawy raz jeszcze.

Skinął mi głowę i skierował się ku drzwiom mieszkania.

— Ach! Więc to dlatego pan zachowywał się tak dziwnie w sygnałowej wieży! — wykrzyknąłem nagle, olśniony niespodzianym światłem.

— Widzę, Jocku, że stajesz się istotnie zabójczo domyślny! — przerwał z szyderczym uśmiechem.

W chwilę później dobiegło mnie skrzypnięcie drzwi jego pokoju i zgrzyt klucza, dwukrotnie obróconego w zamku.

Byłem pewny, iż po tym, co zaszło, nie zobaczymy się tego dnia więcej, nie upłynął jednak i kwadrans, kiedy ukazał się na progu kuchni, gdzie jak zwykle dotrzymywałem towarzystwa moim rodzicom.

— Pani — rzekł, zbliżając się do matki i kładąc rękę na sercu owym dziwnym, charakterystycznym ruchem — byłem dotąd przedmiotem wielkiej dobroci pani, o której na zawsze zachowam wspomnienie. Myślałem już, że nigdy nie będę czuł się tak szczęśliwy, jakim stałem się tutaj, pod dachem pani, w tej cichej, spokojnej okolicy. Proszę bardzo, niech pani zechce przyjąć teraz małą ode mnie pamiątkę. I pan, szanowny panie — zwrócił się z kolei do ojca — nie odmówi mi także przyjęcia podarku, który chciałbym mieć zaszczyt panu ofiarować?

Złożył na stole dwie spore paczki, obwinęte w biały papier, potem oddał matce trzy inne ukłony i śpiesznie wyszedł z kuchni.

Staruszka drżącymi palcami rozwinęła pierwsze zawiniątko i oczom naszym ukazała się prześliczna, złota broszka, z wielkim, zielonym kamieniem, otoczonym sześcioma mniejszymi, przejrzystymi i siejącymi całą tęczę blasków.

Aż dotąd nie widzieliśmy nic równie wspaniałego i żadne z nas nie umiało nawet nazwać tych przepychów, dopiero znacznie później, w Berwick, powiedziano nam, że duży kamień jest szmaragdem, a małe brylantami, całość zaś o wiele przewyższa swą wartość sumę, którą byśmy otrzymali ze sprzedaży wszystkich jednorocznych jagniąt.

Pocziwa matka staruszka umarła już niezmiernie dawno, ale przepyszna brosza błyszczy zawsze przy sukni najstarszej mojej córki, ilekroć się wybiera na bal czy wizytę, a skoro na nią spojrzę, zaraz mi pod powiekami mającą przenikliwe, bystre oczy, nos śpiczasty, arystokratyczne rysy i kocie wąsy złowrogiego gościa z folwarku w West Inch.

Ojcu przypadł w udziale złoty zegarek z podwójną kopertą i trzeba było widzieć, z jaką dumą kładł go na wklęsłości dłoni i pochylał się, wstrzymując oddech, by posłuchać regularnego tykania.

Nie umiałbym powiedzieć, które z dwojga rodziców było więcej zachwycone i cały wieczór z uniesieniem mówili o szlachetnym cudzoziemcu, jego rzadkiej dobroci i pańskiej hojności.

Siedziałem milczący w kącie.

— Dał wam jeszcze coś innego — ozwał się w końcu posępnie, nie umiejąc hamować się dłużej.

— Cóż takiego? — pochwycił ojciec z ciekawością.

— Męża dla Edie — szepnąłem, do krwi przygryzając usta.

Z początku nie chcieli wierzyć, gotowi przypuszczać raczej, że ja to postradałem zmysły, skoro jednak odsłoniłem całą prawdę i trudno było się ludzić, zamiast gniewu, ujrzałem w twarzach ich, niestety, dumę i radowali się tak szczerze, jakbym oznajmił im, że Edie poślubiła szlachcica, pana naszej szkockiej ziemi.

Przy tym Jim Horscroft słyszał, jako sławny zabijaka i najmocniejsza głowa w okolicy, syn doktora — mówiono — dobry i do pitki, i do bitki — z tej przyczyny staruszkowie krzywili się trochę na niego jako na przyszłego zięcia, matka zaś niejednokrotnie powtarzała Edie, że nie będzie szczęśliwa w tym małżeństwie.

Czyżby przeczuła moją bolesną tajemnicę i po matczynemu chciała zło naprawić, czy też Edie istotnie nie była stworzona ani dla mnie, ani dla Horscrofta, i żaden nie umiałby zaspokoić jej pragnień i urzeczywistnić swoich?

Nie wiem.

Tymczasem pan de Lapp — o ile oczywiście mogli o nim coś pewnego wiedzieć — należał do sfer wyższych o wiele od naszej, dobrze wychowany, delikatny, spokojny, przy tym w możliwości zapewnienia sobie i żonie dostatniego bytu, może zbyt? —

Wprawdzie rzecz trzymana była w tajemnicy, i to jednak nie zaniepokoiło mych rodziców, gdyż potajemne małżeństwa były zjawiskiem pospolitym w Szkocji, a ponieważ kilkanaście wyrazów wystarczyło, by z kobiety i mężczyzny uczynić małżeństwo, nikt nigdy nie mógł wiele tu zarzucić.

Staruszkowie nie kryli więc zadowolenia i nie wiem, czy ucieszyliby się więcej, gdyby im nagle zmniejszono tenetę dzierżawną, a ja wróciłem do swego kątku z podwójnie zranionym sercem, raz — bolała mnie bezpowrotna utrata dziewczyny, którą do szaleństwa mogłem być⁶⁵ pokochać i kochałem dotąd, jakby nietykalną świętość — po wtóre — nie umiałem się opędzić myślom o rozpacy Jima, tak zdawało się, bliskiego tego raj, utraconego już teraz na zawsze, ani też uczuciu, że jednak nakarmiono go tu niewdzięcznością i podeptano lekkomyślnie prawa — wiedziałem zaś, że nie należy do ludzi przyjmujących z pokorą, co im los przyniesie...

Więc stanie się coś okropnego, co mianowicie, gdybyż można przeczuć!...

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY. CIENŃ WRACA

Nazajutrz rano podniosłem się z głową ciężącą jak ołów, gdyż pewien byłem, że Jim zjawi się tu wkrótce i dzień ów stanie się dniem wielkich smutków.

Co jednak przyniesie to pogodnie zapowiadające się słońce, jakie zmiany zajdą w doli każdego z osobna? To było więcej, niż śmiałem odgadywać w najposępniejszych i najgłębszych chwilach bólu.

Pozwólcie mi, że opowiadać będę tak, jak się stawało.

Więc przede wszystkim — zerwałem się przed wschodem słońca dlatego, iż rozpoczął się okres przybywania jagniąt i obaj z ojcem mieliśmy z tym mnóstwo pracy.

Było jeszcze szaro.

Wyszedłem na korytarz i nagle zimny powiew musnął mnie po twarzy: drzwi od sieni były na rozcież otwarte. Płynęło przez nie różowawo-popielate światło jutrzni, w głębi, w ogrodzie ciemniała uchylona furтка.

Objąłem dom szybkim spojrzeniem.

Drzwi od pokoju Edie i sypialni cudzoziemca również nie były zamknięte.

I wtedy, niby mgniemieniem błyskawicy, zrozumiałem wszystko, zrozumiałem, co znaczyły owe wczorajsze podarki. To było pożegnanie.

Zniknęli oboje.

On i — ona. Uchyliłem drzwi jej dziewczęcego pokoiku i przystanąłem na progu. Jak mogła, jak mogła! W tej chwili miałem dla niej w sercu tylko gorycz.

Dla obcego, dla cudzoziemca opuściła nas wszystkich bez jednego cieplejszego słówka, bez serdeczniejszego choćby uściśnienia ręki!

I on także!

Trwożyłem się na myśl samą, co zajdzie, gdy stanie oko w oko z Jimem. Teraz, zdawało mi się, że chciał niejako uniknąć owego spotkania i rzecz, pomimo wszystko, miała pozory podłości.

Czułem się upokorzony, w piersiach wił się ból piekący, w duszy wzbierał gniew głuchy, tym cięższy może, że bezsilny.

Zaprzagnąłem nagle orzeźwić się chłodnym powietrzem i słowa nie mówiąc ojcu o smutnym odkryciu — wybiegłem ku owczarniom, ruchem uspakając rozpaloną głowę.

Ucieczka, Kobieta,
Mężczyzna

⁶⁵mogłem być (daw.) — forma czasu zaprzeczonego, wyrażającego czynność, stan itp. uprzedni w stosunku do czynności a. stanu wyrażonego czasem przeszłym prostym; znaczenie: mogłem wcześniej, mogłem uprzednio. [przypis edytorski]

Dosięgłem wkrótce Corriemuir i tam, ze wzgórz, niespodzianie ujrzałem raz jeszcze wiotką postać Edie. Stała na wybrzeżu, przy niej rysowała się nienawistna sylwetka de Lappa. Wszystkie krew spłynęła mi do serca...

Zgrabny *cutter* kołysał się spokojnie na szafirowo-szmaragdowych falach, wtem od jednego z boków oderwała się ciemna plama dużej, żaglowej łodzi i wartko płynęła do brzegu.

Nie mogłem wykonać żadnego ruchu, zmartwiałymi oczyma wpijałem się tylko w jej postać.

W rękę trzymała szal czerwony i poruszała nim rytmicznie, z wolna. Zapewne musiał to być umówiony sygnał.

Potem wsiedli oboje do łodzi, która jęła⁶⁶ zawracać w kierunku okrętu.

Dotarli wreszcie, spuszczone drabinkę, podróżni weszli na pokład...

Później kotwica podniosła się z posępnym chrzęstem, statek zakolysał się mocniej i zaczął oddalać się na pełne morze.

Na pokładzie migotała ciągle czerwona plama szala Edie, de Lapp stał przy naszej drogiej dziewczynie i trzymał jej ręce...

Teraz i oni mnie dostrzegli — sylwetka moja ostro musiała się odcinać na jasnym tle nieba.

Oboje przyjaźnie potrząsnęli ręką, potem Edie kilkakrotnie wionęła chusteczką; ale przestali wkrótce, gdyż nie otrzymali ode mnie żadnej odpowiedzi.

Skrzyżowałem ręce i stałem tak, wyprostowany dumnie, palącym wzrokiem ścigając statek, który porywał mi podstępem wszystko, co kochałem, z zapamiętaniem powtarzając sobie, że już jej nie ma, że jej nigdy więcej nie zobaczę, że nawet oto *cutter* staje się tylko białą, kwadratową plamą, a teraz ginie w mgłach porannych.

Śniadanie było już na stole, kiedy wróciłem do domu — siedliśmy do niego jak dawniej — we troje — tylko bez żadnego apetytu i z chmarą odmiennych uczuć w duszy.

Rodzice już przedtem domyślili się wszystkiego — ojciec starał się okazać spokój, a nawet chłodną obojętność, matka tylko nie mogła znaleźć dla Edie dość twardych wyrazów.

Wprawdzie nigdy nie było głębszego między nimi przywiązania, a choćby nawet szczerzej życzliwości, w ostatnich zaś czasach stosunek oziębiał się prawie z dniem każdym.

— List tylko zostawił — przypomniał sobie niespodzianie ojciec, ręką wskazując stoliczek i na nim papier złożony w kilkoro. — Znalazłem go w *jego* pokoju. Może nam przeczytasz?

Pocziwi moi rodzice, jakkolwiek płynnie czytali duże, wyraźne druki, nigdy jakoś nie mogli uporać się z gładszym odcyfrowywaniem „pisanego” i teraz więc nawet nie otworzyli koperty.

Adres wypełniony był tym samym pięknym, czytelnym pismem i brzmiał jak następuje:

„Dobrym ludziom z *West Inch*”.

List zaś przechowuję dziś jeszcze i oto, co w tej chwili przepisuję z pożółkłych, zaplamionych kartek:

„Przyjaciele!

Nie spodziewałem się opuścić was tak niespodzianie i nagle, rzecz zależała jednak od innej niż moja woli.

Obowiązek i honor powołują mnie w szeregi dawnych towarzyszy.

Słowa moje zrozumiecie lepiej, zanim niewiele jeszcze dni upłynie.

Zabieram z sobą Edie, ponieważ się zgodziła zostać moją żoną — kto wie, czy w przyszłych, spokojniejszych czasach, nie ujrzycie nas kiedy w *West Inch*.

Tymczasem przyjmijcie choć zapewnienie mojej życzliwości i zechciejcie wierzyć, że nigdy nie zapomnę tych cichych miesięcy, jakie przeżyłem

⁶⁶jęć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

pod waszym gościnnym dachem — wtedy — gdy pozostawał mi zaledwie tydzień życia, gdybym wpadł w moc Sprzymierzonych. Może zaświta dzień, w którym i to także się wyjaśni.

Szczerze wam życzliwy

Bonaventura de Lissac,

Pułkownik Wołyżerów Gwardii i adiutant Jego Cesarskiej Mości, Cesarza Napoleona”.

Głos mój stał się chrapliwy i syczący, gdy wymawiałem nienawistne, pod nazwiskiem cudzoziemca umieszczone słowa.

Wiedziałem wprawdzie i domyśliłem się dawno, że ten, któremu u nas przyrzekłem schronienie, musiał być jednym z owych nieustraszonych, o których tyle słyszeliśmy wszyscy i którzy krwią własną torowali sobie drogę do wszystkich stolic Europy, z wyjątkiem jednej tylko — Londyn ostał się przed ich zaborczym objęciem. Ale nie odgadłbym nigdy, przenigdy, iż człowiek przebywający pod naszym dachem jest adiutantem owego tytanicznego cesarza — pułkownikiem jego Gwardii.

— Więc nie nazywa się de Lapp, tylko de Lissac — rzekłem twardo. — A pułkownik, czy inny dygnitarz, niech się cieszy, że będzie daleko, zanim Jim przyjedzie z Edynburga... Stało się — szepnąłem zdławionym głosem, rzuciwszy mimowolne spojrzenie w okno i dostrzegłszy znajomą, barczystą sylwetkę — ot i oczekiwany. Już otworzył furtkę.

Zerwałem się gorączkowo i wybiegłem na spotkanie.

W duszy zmagaly się tysiące uczuć i dałbym wiele, żeby móc cofnąć tę chwilę, móc zawrócić go do Edynburga.

Jim szedł zdyszany, wielkimi krokami i z dala już potrząsał zwitkiem papieru, który trzymał w ręku.

Przez mózg mi przemknęło, że to zapewne list od Edie i że wie zatem wszystko.

Kiedy się jednak zbliżył, stwierdziłem, że papier był duży, żółtawy i sztywny i szeleścił za każdym dotknięciem, a oczy Jima błyszczały radością jak dwa jasne światła.

— Wiwat, Jocku! — zakrzyknął, skrećiwszy w aleję, wiodącą już przed próg mieszkania. — Gdzie jest Edie?! Gdzie Edie?

— Czy zaszło co nowego, przyjacielu? — przerwałem, nie wiedząc, jak zacząć.

— Gdzie Edie? — powtórzył niecierpliwie.

— Co to za papier? — pytałem z bijącym sercem.

— Dyplom! Dyplom, Jocku! Mogę leczyć, odkąd zechcę! Doskonale poszło! Ale przede wszystkim chcę go pokazać Edie.

— Co mógłbyś czynić najlepszemu, to już nie myśleć o niej — zacząłem drżącym głosem.

Twarz mu się nagle zmieniła, pobladł i chyba nie zdarzyło mi się więcej widzieć człowieka, na którym by większe wrażenie wywarły — tylko ludzkie słowa.

— Co?... Co chcesz przez to powiedzieć? — wyszeptał po chwili z wysiłkiem.

Z rąk wymknął mu się drogocenny papier i wiatr natychmiast uniósł go przez ogrodzenie, zakreślił po piaszczystej drodze i rzucił o krzak ciernistego janowca, gdzie uwiązał i jął się szamotać — Horscroft nie obejrzał się nawet.

Oczyma wżerał się w moje, jakby chciał mnie przewiercić aż do dna, spod powiek sypały się straszne, nieprzytomne jakieś błyski.

— Ona niegodna ciebie — wyrzekłem wreszcie, spuszczać wzrok ku ziemi, gdyż nie mogłem znieść już tego dzikiego spojrzenia.

Palce jego wpiły się w moje ramię.

— Coś ty uczynił? — ozwał się chrapliwie. — Co to za okrutne żarty? Gdzie jest Edie?

— Odjechała z Francuzem, który mieszkał u nas — rzuciłem jednym tchem, z rozpaczą.

Od rana myślałem, jak mu to powiedzieć, w jakie słowa przyoblec tę straszną wiadomość, żeby choć trochę złagodzić cios nieunikniony — zawsze jednak byłem w tych rzeczach niezręczny i teraz więc nie umiałem wywiązać się lepiej.

Jęk głuchy, mimowolny wybiegł z jego warg zbielejących, zwiesił głowę na piersi, potem znów spojrzął na mnie.

Nie zapomnę tego wzroku! Oczy jego były na mnie, a przecież czułem, że mnie nie widzi — takie obłądne, bólem oszalałe oczy.

Minęło kilka minut, potem zacisnął palce kurczowym, mechanicznym ruchem, potem mu na skronie wystąpiły sine żyły...

Nagle zaczerpnął tchu, uczynił ruch, jakby przełykał coś z trudnością, i jął mówić dziwnym, chrapliwym, przyduszonym głosem:

— Kiedy... to... zaszło?...

— Dziś przed samym świtem — objaśniłem cicho.

— Czy... był ślub?

— Tak.

Oparł się o słupy ganku, jakby miał za chwilę upaść. Ani kropli krwi nie było w jego twarzy.

— Nic nie zostawiła dla mnie? — pytał dalej, głucho.

— Powiedziała, że jej przebacysz.

— Niechże Bóg potępi moją duszę, jeśli to kiedykolwiek uczynię — rzekł ponuro. — Dokąd wyjechali?

— O ile domyślać się możemy — do Francji.

— *Ten...* nazywa się de Lapp?

— Nie. Prawdziwe nazwisko jego brzmi: Lissac — jest pułkownikiem w gwardii cesarza Napoleona — odparłem niespokojnie.

— Ach! Tak! Więc prawdopodobnie zamieszka w Paryżu. W *Paryżu* — powtórzył ze strasznym uśmiechem.

— Spokoju, Jimie! — krzyknąłem, widząc, że jeszcze więcej blednie. — Ojczy, ojczy, brandy przynieś, prędzej!

Kolana się pod nim gięły, ale znów nabral silnym oddechem powietrza i przychodził do siebie, kiedy starszy nadbiegał z dużą butlą wódki.

— Zabierzcie to — szepnął Jim niedosłyszalnym głosem.

— Jeden łyk, panie Horscroft — prosił z troskliwością ojciec — jeden łyk tylko, a wrócą dawne siły.

Jim porwał flaszkę i cisnął daleko, na drogę.

— Zapewne, doskonały trunek dla tych, co pragną zapomnieć! — rzucił twardo. — Ale ja *muszę* pamiętać.

— Boże Wszchemocny, przebac mu te grzeszne słowa — powiedział mój ojciec z mocą.

— A również i to, że o mały włos nie rozbił głowy oficerowi piechoty Jego Królewskiej Mości — dobiegł nas gniewny głos starego majora i pan Elliott ukazał się za ogrodzeniem. — Z ochotą byłbym wypił lampkę wina po rannej przechadzce — ciągnął wzburzony dalej — ale dostać butelką po uchu! Po tylu latach wiernej służby?! Cóż to się tutaj stało, że stoicie jakby grabarze na... *que diable*⁶⁷... na pogrzebie?!

Przystąpiłem szybko do rozgniewanego starszaka i półgłosem powiadomiłem go o naszych smutkach. Jim nawet nie ruszył się z miejsca, plecami podparł mocniej słupy ganku i trwał w martwym zapamiętaniu, z brwią ściągniętą i twarzą ziemistą jak popiół.

Major niezmiernie lubił Jima, z uwielbieniem odzywał się zawsze o dobroci i piękności Edie, teraz więc, skoro dowiedział się wszystkiego — oburzenie nie miało prawie granic.

— Nie zawiodło mnie zatem przecucie — ozwał się wreszcie. — Od czasu tego zajścia w sygnałowej wieży, ciągle jakoś obawiałem się podobnych rzeczy i nie miałem już chwili spokoju. Już po tym postępkowi od razu poznałbym Francuza! Ci nie mogą przejść obojętnie koło przystojnej kobiety. Ten przynajmniej poślubił i to jest zawsze pociecha. Cóż robić. Na świecie ciągle kołaczą się smutki. Wy swoje będziecie zmuszeni odłożyć na stronę — mówił dalej, a głos jego stał się nagle poważny i dziwnie wzruszony. — Bo nad całą Europą znowu rozgorzała rewolucja i prawdopodobnie na karki nasze spadnie nowych dwadzieścia lat wojny!

— Co pan mówi? — przerwałem zdumiony.

⁶⁷*que diable* (fr.) — do diabła. [przypis edytorski]

— Napoleon umknął z Elby! — wybuchnął z uniesieniem stary żołnierz. — Oczywiście zbiegły się do niego wszystkie dawne wojska, a król Ludwik musiał ratować się spieszną ucieczką. Wiadomości te przywieziono do Berwick dziś rano.

— Wielki Boże! — krzyknął ojciec z prawdziwą rozpaczą. — Więc te krwawe dzieje rozpoczną się znowu?! Wieczna wojna?!

— Tak, panie — oznajmił major uroczyście. — Myśleliśmy, że Cień ów znikł z naszych głów na zawsze, a oto ukazał się znowu. Wellington otrzymał już rozkaz opuszczenia Wiednia i udania się do Niderlandów. Przypuszczają, że cesarz tam przede wszystkim skieruje swe siły. Zły wiatr powiał nad naszą ziemią, wiatr, który nie wróży nic dobrego. Ja zaś otrzymałem przed chwilą zawiadomienie, iż odkomenderowano mnie do 71. pułku w randze starszego majora.

Ostatnie słowa wymówił z widoczną dumą, ja zaś uściśnąłem serdecznie dłoń pocziwego żołnierza, bom wiedział, jak go kosztowała dotychczasowa rola inwalidy, ciężaru społeczeństwa.

— W jak najkrótszym więc czasie muszę odjechać do pułku, a tam, po tamtej stronie morza, będziemy za miesiąc, kto wie, może w Paryżu za drugi...

— Na miłość Boską, majorze, zabierz mnie pan z sobą! — jęknął nagle Horscroft. — Z ochotą poniosę karabin, jeśli pan mnie poprowadzi na spotkanie tego... potępieńca!

— Mój chłopcze — rzekł major ze współczuciem — będę dumny, jeśli zechcesz iść pod moje rozkazy. Naturalnie, że de Lissac nie odstąpi od Napoleona!

— Pan *wie* jego nazwisko⁶⁸? — podchwyciłem z naiwnym zdumieniem.

— To jeden z najlepszych oficerów wojsk francuskich — objaśnił Elliott ze szczerym uznaniem. — Człowiek znający się na tych rzeczach rozumie, co znaczy tego rodzaju pochwała. Podobno chciano go w swoim czasie mianować marszałkiem, wołał jednak zostać przy boku cesarza. Miałem sposobność widzieć go na dwa dni przed zajściami w Korunii⁶⁹, kiedy wysłano mnie w roli parlamentarza z poleceniem omówienia sprawy naszych rannych. Był wówczas w towarzystwie Soula. Tutaj poznałem go natychmiast.

— I ja poznam go natychmiast — powtórzył Horscroft twardo, z błędnym spojrzeniem i nieugiętą zaciętością w głosie.

Ja tymczasem oczyma duszy ujrzałem nagle swoje przyszłe, niedalekie życie, samotne, monotonne i bezpożyteczne, zakopane w tych milczących piaskach, nawet bez towarzystwa starego wojaka, nawet bez przyjaźni Jima. A oni będą szli szparko na spotkanie wroga, będą się narażać na każdą wściekłość nawałnicy.

I powziąłem postanowienie szybsze niż olśniewający zygzak błyskawicy.

— Jadę z wami, majorze — oznajmiłem stanowczo.

— Jocku! — dobiegł mnie bolesny szept ojca.

Alem⁷⁰ nie słyszał tego, a Jim objął mnie nagle mocnym, braterskim uściskiem.

Z oczu majora sypały się iskry, z tryumfem wyrzucił laskę w powietrze.

— Mam dwóch rekrutów! — zawołał radośnie. — Na schwał chłopcy, takich trzeba by nam więcej! A więc, przyjaciele, chwili nie ma do stracenia. Przygotujcie się do drogi, bo ruszymy wieczornym dylizansem.

Ot, co przyniósł jeden dzień tylko, jeden dzień nie dłuższy wcale od innych, a ileż to lat nieraz upłynie bez żadnej w życiu człowieka zmiany, bez zająć gwałtowniejszych, bez wstrząśnień, bez bólów. A ten króciutki okres czasu tyle zażęł smutków!

Dwadzieścia cztery godziny podobne do innych, a jednak: De Lissac odpłynął i zabrał nam Edie. Napoleon oswobodzony z Elby. Wybuch europejskiej wojny. Jim Horscroft utracił wszystko, co mogło wiązać go z życiem, szczęście, narzeczoną, ja — widok choćby kochanej dziewczyny, a teraz obaj gorączkowo gotowaliśmy się do odjazdu, obaj szliśmy bić się z Francuzami...

Dzień cały minął niby sen jakiś niejasny i ciężki, aż do chwili, w której z węzłkiem na plecach kierowałem się ku Ayton, by zdążyć na dylizans i na zakręcie drogi raz jeszcze

⁶⁸ *wie jego nazwisko* — dziś: zna jego nazwisko. [przypis edytorski]

⁶⁹ *Korunia*, właśc. *A Coruña* (hiszp. La Coruña) — miasto w pln.-zach. Hiszpanii, w regionie autonomicznym Galicja, nad Oceanem Atlantyckim. [przypis edytorski]

⁷⁰ *alem nie słyszał* (daw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: ale nie słyszałem. [przypis edytorski]

rzuciłem spojrzenie za siebie, na szary dom moich rodziców i dwie ciemniejące na progu sylwetki.

Matka kryła twarz w fałdy swego szetlandzkiego szala, ojciec poruszał wielkim, pasterskim kijem, i trząsał raz po raz ręką, jakby chciał dodać mi odwagi w przededniu nieznannej, może posępnej, przyszłości.

ROZDZIAŁ JEDENASTY. TŁUM NARODÓW

Zbliżam się teraz do punktu mego opowiadania, którego samo już wspomnienie tłumi dech w piersiach i budzi coś niby rodzaj lęku — obawę — czy podołam tak bardzo trudnemu przedsięwzięciu. Chwilami zaczynam już wątpić, czy wybrnę, gdyż, skoro piszę, lubię rzecz opowiadać bez pośpiechu — a wszystko we właściwym miejscu i niewzruszonym chronologicznym porządku, podobnym temu, jaki króluje wśród owiec prowadzonych przez wytrawnego owczarka.

Tak mogło dziać się w West Inch. Ale teraz, gdy stoję na progu życia szerszego, gdy opisywać mam bieg wypadków, które przeniosły nas w odmienne światy, niby zdźbła słomy, leniwie poruszające się w rowie, do chwili, kiedy porwie je prąd wielkiej rzeki i skręci w wiry z szaloną szybkością — trudno mi niezmiernie rozwijać rzecz w miarę, jak się odbywała i pierwszorzędne w dziejach ludzkości zdarzenia ująć w proste formy mego nieudolnego języka. Przyczyny, skutki i nieuniknione następstwa tych lat niezatartych każdy snadnie znaleźć może na kartach historii, wszystko to zatem zostawiam na stronie i mówić będę jedynie o tym, com słyszał własnymi uszami, o tym, na co patrzyły moje tylko oczy.

Pułk, do którego odkomenderowano majora, był 71. pułkiem lekkiej piechoty, złożonej z Highlanderów (górali szkockich), odzianych w czerwone mundury i tartanowe spodnie w barwne, różnokolorowe kraty. Punktem zbornym służby czynnej naznaczono Glasgow.

Tam też udawaliśmy się we trzech dyliżansem.

Major był niezwykle podniecony i z uniesieniem opowiadał nam tysiączne anegdoty o Księciu i o półwyspie iberyjskim, których jednak ja tylko naprawdę słuchałem, gdyż Jim wcisnął się w kątek pojazdu, skrzyżował ręce, przyciął usta i siedział milczący, ponury, bez ruchu. Przysiągłbym, że wszystkie jego myśli oplatały się około cudzoziemca i że w duchu zabijał go co chwila, coraz wymyślniejszą, okrutniejszą śmiercią.

Odgadywałem to po złych, posępnych błyskach oczu i po kurczowym zaciskaniu palców.

We mnie był za to chaos i spośród mnóstwa splątanych uczuć nie umiałem wydobyć na jaw prawdy i nieodwołalnie rozstrzygnąć, czy zadowolili mnie ten obrót rzeczy, czym⁷¹ może postąpił fałszywie — zawsze bo⁷² ognisko rodzinne pozostaje rodzinnym ogniskiem i jakkolwiekby źle przy nim było, jakkolwiek szersze życie hartuje i uszlachetnia, zawsze to ciężko myśleć, iż więcej niż pół Szkocji rozpościera się między tobą i matką i że każda chwila usuwa cię dalej i dalej...

Nazajutrz byliśmy w Glasgow.

Tu major powiódł nas z tryumfem do komendy, przed którą wartował żołnierz z pięciem wstążek przy czapce i trzema galonami na ramieniu. Na widok Jima ukazał w uśmiechu wszystkie zęby i okrążył go po trzykroć, chcąc się zapewne napatrzeć do woli, i tak (co najmniej) uroczyście — jakby to chodziło o zamek w Carlisle.

Potem przybliżył się do mnie, pomacał moje boki, spróbował mięśni i równie rad był, jak przy oglądaniu Jima.

— Ot, czego nam trzeba, majorze! — odezwał się w końcu z radością — akurat czego trzeba! Z tysiącem podobnych zuchów moglibyśmy stawić dzielny opór najlepszym żołnierzom Boney'a!

— Jakże tam idzie? — zagadnął pan Elliott ciekawie. — Jak z musztrą?

⁷¹ *czym (...) postąpił* (daw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: czy postąpiłem. [przypis edytorski]

⁷² *zawsze bo* (daw.) — zawsze jednak, zawsze przecież. [przypis edytorski]

— Litość bierze patrzeć — odparł rozmowny wartownik. — Siła czasu i wiele pracy upłynie, żeby tam uszło od biedy. Najprzedniejszych zabrali nam do Ameryki, a tu sami prawie rekruci, milicja.

— Tak, tak — przytwierdził major z głębokim westchnieniem. — A pójdziemy na spotkanie wytrawnym, starym żołnierzom. Jeśli będziecie potrzebować wskazówek moich czy innej pomocy — dodał, zwracając się do nas — przyjdziecie do mnie, na kwaterę.

Skinął przyjaźnie głową i oddalił się sprężystym krokiem.

Zaczynaliśmy z Jimem rozumieć, że major, który jest zarazem twoim pułkownikiem, to osobistość zasadniczo różna od majora-sąsiada i prawie przyjaciela ze wsi.

Niech i tak będzie, ale po co was nudzę tym wszystkim?

Zużyłbym sporą ilość najlepszych piór gęsich, gdybym zaczął opowiadać, jak poczynaliśmy sobie z Jimem z chwilą przyjazdu do Glasgow, jak poznaliśmy oficerów, zwierzchników, starszych, towarzyszy i jak każdy w odmienny prawie sposób zawierał z nami znajomość.

Wkrótce nadeszła wieść pewna, że ambasadorowie obradujący dotąd w Wiedniu i ciągle zajęci krajaniem Europy, jakby to było zwykłe udo baranie, lotem błyskawic rozbiegli się do swoich krajów i wszystko, co zawierały — konie, żywność, amunicja, ludzie — wszystko ruszało na Francję.

Z drugiej znów strony opowiadano sobie o ściąganiu wojsk nieprzeliczonych do Paryża, o gorączkowym zbrojeniu się i generalnych cesarskich przeglądach słynnej na całą Europę armii.

Potem gruchnęła wiadomość, że Wellington już w Niderlandach i że nam lub Prusakom wypadnie przetrzymać pierwsze uderzenia gromu.

Rząd nasz, jak tylko mógł najspieszniej, ładował wojsko na okręty.

Wszystkie porty na wschodnim wybrzeżu zavalone były armatami, natłoczone końmi, amunicją.

Trzeciego czerwca i my otrzymaliśmy rozkaz wymarszu.

Tegoż jeszcze wieczora wsadzono nas w Leith na okręty i nazajutrz o zmierzchu przybyliśmy do Ostendy.

Pierwszy to raz w życiu noga moja stąpiła⁷³ na cudzoziemską ziemię.

I nie tylko ja, gdyż większość moich towarzyszy składała się z młodych, nowozaciężnych żołnierzy.

Zdaje mi się, że jeszcze widzę te ciemnoszafirowe wody, lekko sfałdowaną linię powrotnych bałwanów morskich, rozbijających się o skały, wydłużone, żółtawe wybrzeże i dziwaczne jakieś młyny z poruszającymi się bez końca ramionami, których na lekarstwo daremnie szukałbyś we Szkocji.

Miasto było czyste i utrzymane nadzwyczaj starannie, jak może żadne ze szkockich, ale nie znalazłbyś tam ani mocnego, angielskiego piwa (*ale*), ani doskonałych, owsianych placuszków.

Wojska udały się stamtąd do Bruges, a potem jeszcze do Gandawy, gdzie pułk nasz połączył się z 52. i 95. pułkiem i teraz już stanowiliśmy pełną brygadę.

Gandawa uczyniła na mnie bardzo podniosłe wrażenie, pokrywa ją coś niby tajemnicza pleśń minionych wieków, imponują dzwonnice i potężne kamienne budowle i gmachy.

A jednak we wszystkich owych miastach, w których zdarzyło się nam gościć, nie zauważyłem ani jednego kościoła tak pięknego, jak nasze, choćby na przykład w Glasgow.

Z Gandawy obróciliśmy pochód na Ath, niewielką wioseczkę położoną nad brzegiem rzeki, a raczej wąskiej strugi ochrzczonej mianem rzeczki Dender.

Tutaj rozbiliśmy namioty, gdyż czas był słoneczny i piękny i cała brygada od rana do nocy niezmiernie ćwiczyła się na okolicznych polach.

Dowodził nami generał Adams, pułkownikiem mianowano Raynella, co jednak budziło jakąś lwią prawie odwagę, to myśl, iż wodzem naczelnym był Książę⁷⁴, którego samo już imię zdawało się zakłętym dźwiękiem bojowej pobudki.

Żołnierz, Przywódca

⁷³*stąpić* (daw.) — postawić krok. [przypis edytorski]

⁷⁴*Książę* — Arthur Wellesley, 1. książę Wellington (1769–1852); wywodzący się ze zubożałej anglo-irlandzkiej szlachty o nazwisku Wesley (późn. Wellesley) brytyjski arystokrata, wojskowy i polityk; tytuł księcia uzyskał za udział w kampaniach przeciw armii napoleońskiej. [przypis edytorski]

Przebywał obecnie w stolicy Belgii z główną armią, wiedzieliśmy przecież, że w razie najmniejszego niebezpieczeństwa, czy choćby tylko powikłań — posłyszelibyśmy niezawodnie głos jego nad sobą. To napępiało całkowitą, zupełną otuchą.

Tysiące nowych uczuć zrywało się w duszy.

Aż dotąd nie widziałem na przykład nigdy takiej ogromnej ilości Anglików i przyznać muszę, iż patrząc na nich — mimo woli doznawałem pewnego rodzaju niechętniej pogardy, która zresztą jest podobno dość pospolitym zjawiskiem wśród ludzi zamieszkujących jakiegokolwiek pogranicza. Ja zaś czułem się przede wszystkim i pomimo wszystko Szkotem. Nic a nic jednakże nie mógłbym zarzucić dwóm tamtym pułkom przydzielonym do naszej brygady, gdyż na całym chyba świecie nie znalazłbym lepszych kolegów i bardziej oddanych towarzyszy.

Rzeczywista liczba żołnierzy w pułku 52. wynosiła tysiąc ludzi i liczyła wielu starych żołnierzy z czasów walk hiszpańskich.

Pułk 95. składał się z karabinierów odzianych w zielone mundury, zamiast czerwonych, jak nasze.

Przy najbliższej sposobności zwrócił moją uwagę odmienny, a trafny sposób, w jaki używali broni, mianowicie — kulę — owijali przed użyciem zatluszczoną szmatką i przybijali rodzajem dwugłowego młotka — strzały ich niosły daleko, a od naszych były bez porównania celniejsze.

Całą tę część Belgii zajmowały wówczas wojska wyłącznie angielskie, gdyż oprócz piechoty w okolicach Enghien stała nasza Gwardia, niedaleko zaś od nas znajdowały się liczne pułki kawalerii.

Wellington był zmuszony rozwinąć na wybrzeżu wszystkie swoje siły, ponieważ Boney⁷⁵ bezpiecznie krył się pod gęstą osłoną pogranicznych fortec i nikt nie mógł przewidzieć, z której strony zwali się na nas owa groźna, śmiercionośna chmura...

W każdym razie należało przypuszczać, iż wtargnie tędy, gdzie będziemy się najmniej spodziewać.

Po pierwsze, mógł wsunąć się pomiędzy nas i morze i odgrodzić w ten sposób od Anglii — po wtóre — nic na pozór nie przeszkadzało mu niebezpiecznym klinem wbić się między armie angielskie i pruskie. Na szczęście Księżę nasz równie jak tamten okazywał się przebiegły — gromadził wkoło siebie kawalerię, a lekką jazdę i piechotę rozrzucił po Belgii niby niezmierną jakąś pajęczynę i przy tym czynił to tak mądrze, że gdyby jeden chociaż Francuz przestąpił granicę, mogliśmy bardzo szybko skupić potrzebne siły w każdym zagrożonym punkcie.

Mnie osobiście działo się w Ath doskonale, ludzie tamtejsi są poczciwi i pełni prostoty.

Do końca życia na przykład nie zapomnę dobroci Bois, pewnego dzierżawcy, na którego polach rozkazano nam stanąć obozem.

W chwilach wolnych od ćwiczeń wzniesiliśmy mu przez wdzięczność drewnianą stodołę, a ja i Jeb Seaton, najlepszy kolega, nieraz z własnej ochoty rozwieszaliśmy jego bieliznę na sznurach, a zapach wilgotnego płótna w dziwny jakiś sposób przenosił nas myślą do opuszczonego kraju i wzgardzonej ciszy domowego progu. Przypominał tak dotykalnie i mocno, jak oto woń perfum lub ulubionego kwiatu przywodzi na pamięć obecność osoby kochanej.

Nieraz wybiegam myślą do tej szczęsnej wioski i pytam w duchu, czy żyje jeszcze poczciwy dzierżawca i jego najzaciejsza żona. Ale to prawie niemożliwe, bo wtedy, w owych odległych czasach, znajdowali się już na schyłku dojrzałego wieku, właściwie na progu starości.

Jim zachodził czasem do nich ze mną i siadłszy zwykle gdzieś w kącie przestronnej kuchni flamandzkiej — puszczał zajadle kłęby dymu z ulubionej fajki — tylko że był to Jim zupełnie różny od dawnego.

Zawsze, w najmłodszych nawet latach, bywał szorstki, nieraz przykry i twardy — teraz zniknęło to bez śladu. Nieszczęście spopielilo mu duszę, zmieniło w głaz, w zastygły, martwy kamień. Od owego ranka w West Inch nie widziałem już uśmiechu na wyschłych, pobladłych ustach przyjaciela.

Pogarda, Naród

Zapach, Pamięć

Przemiana, Krzywda,
Zemsta

⁷⁵Boney — pseudonim nadany Napoleonowi Bonaparte przez Brytyjczyków. [przypis edytorski]

Odzywał się niechętnie, rzadko. Wszystkie jego myśli, wszystkie władze duszy skupiały się wokół pragnienia zemsty, pragnienia śmierci de Lissaca, tego, który wydarł mu Edie, jedyne wymarzone, jedyne pożądane szczęście.

Całe godziny przepędzał skulony we dwoje, z czołem podpartym rękoma, z brwią ściągniętą i nieruchomym, pół błędnym spojrzeniem, w którym paliły się złowrogie błyski. Straszne były te oczy. Pragnienie krwi i pomsty wyzierało z nich niby jakaś upiorna a okropna mara.

Milczenie i niechęć, wstręt nawet do koleżeńskiego życia przyczyniły się w znacznej mierze do tego, iż przez czas niejaki stał się przedmiotem żartów i złośliwych figlów towarzyszy, skoro jednak ci ostatni zapoznali się ze szkocką jego pięścią, zostawili go odtąd w spokoju. Słynne muskuły i tym razem zapewniły mu powszechny „głęboki” szacunek.

Ale wróćmy do rzeczy. W owych czasach kazano nam zrywać się tak wcześnie, że zwykle cała brygada stawała pod bronią, zanim jeszcze słońce wysłało pierwsze swoje brzaski.

Pewnego ranka — było to — pamiętam — szesnastego czerwca — formowaliśmy właśnie szeregi, a generał Adams ruszył konno wydać jakiś rozkaz Raynellowi. Obaj zatrzymali się od miejsca, w którym stałem, mniej więcej w odległości strzału i nagle utkwili wzrok w kierunku gościńca wiodącego do Brukseli.

Zaden z nas nie ośmielił się odwrócić głowy i tylko cały pułk wytyczył również spojrzenia w tę stronę, i wszyscy dostrzegliśmy po chwili oficera w barwach adiutanta głównodowodzącego generała, pędzącego jak wichra na siwo-jabłkowitym koniu. Po drodze szedł odgłos kopyt i szczeł stali.

Pochylał głowę na kark koński i raz po raz śmigał zwierzę trzęzłą⁷⁶. Rzekłbyś, iż życie jego zależy od szybkości biegu.

— Patrz — ozwał się generał do pana Raynella — bez wątpienia zaszło coś ważnego. Cóż pułkownik na to?

Puścili konie stępa i obaj ruszyli na spotkanie — nie upłynęło chyba ćwierć minuty, kiedy generał rozrywał podaną depezę.

Koperta nie zdążyła jeszcze paść na ziemię, a on już wykonał pół obrotu i wzniosłszy otrzymany papier w górę, śmignął nim niby szablą.

— Złamać szeregi! — skomenderował grzmiąco. — Przegląd generalny i wymarsz za pół godziny!

Zakotłowało się wśród wyciągniętych w sznur żołnierzy, szmer coraz głośniejszy poszedł po szeregach — wkrótce z ust do ust podawano sobie świeżo przywiezione wieści.

Po kilku minutach wiedzieliśmy wszystko: Napoleon wczoraj przekroczył granicę, zmusił do cofnięcia się wojska Prusaków i śmiało zapuścił się w głąb kraju. Obecnie znajdował się na wschód od naszego obozu i wiódł pod sobą sto pięćdziesiąt tysięcy żołnierza.

Rozkazano nam zebrać rzeczy, zjeść śniadanie i stawać w szeregach.

W niecałą godzinę później byliśmy już w drodze, śpiesznym marszem opuszczając cichą wioskę Ath i rzeczułkę Dender z zalem i na zawsze.

Istotnie nie było chwili do stracenia, gdyż Prusacy nie dawali teraz znaku życia i wódz nasz mógł jedynie domyślać się prawdopodobnego dalszego przebiegu wypadków. Że wyruszył z Brukseli na pierwszą wieść niepokojącą, jak czujny brytan z legowiska, to stawało się wyłączną zasługą genialnego rozumu Księcia, jednak i pomimo tego trudno było spodziewać się, iż zdążymy jeszcze na odsiecz Prusakom.

Ranek był upalny, jasny, brygada nasza, niby wąż barwny, posuwała się szerokim gościńcem belgijskim i co chwila ginęła w obłokach szarawego pyłu, który wbijał się w niebo i przesłaniał nam drogę niby dymy nieprzyjacielskich baterii.

Upał stał się wkrótce straszny i nie potrzebuję tu chyba zapewniać, że błogosławiliśmy ręce, które wysadziły szosę gęstymi sznurami przepyszných topoli — cień ich cenniejszy był dla nas niż najsmakowitsze trunki.

Po obu stronach gościńca zalegały starannie uprawione pola, tu i ówdzie przecięte siną wstęgą drogi, jedna z nich biegła blisko i prawie równoległe z naszą, druga w bok trochę, mniej więcej w odległości dobrej mili angielskiej.

Blizszą dążyła kolumna piechoty.

⁷⁶trzęzła — uzda, część uprzęży jeździeckiej. [przypis edytorski]

Od czasu do czasu mierzyliśmy się rozjaśnionym wzrokiem i przyspieszali⁷⁷ kroku. Prędej, prędej na wroga...

Otoczał ich tak gęsty tuman żółtawego kurzu, że chwilami jedynie mogliśmy rozróżnić srebrzyste lufy karabinów, czapy z niedźwiedziej skóry, to znów dostrzegaliśmy ramiona i głowy jadących konno oficerów, sztandary wreszcie, wesoło igrające z wiatrem.

Bez trudu poznaliśmy brygadę Gwardii, jednakże nie umieliśmy określić — którą, gdyż wspólnie z nami aż dwie odbywały kampanię.

W dali, na bocznej drodze, majaczyła również zwarta chmura pyłu, która chwilami rzedła i odsłaniała nieskończony sznur niebieskich błysków przesuwających się niby lśniące paciorki różańca.

Lekki powiew wiatru niósł ku nam odgłosy muzyki tak silnej, donośnej i dźwięcznej, że nic podobnego nie słyszałem w życiu.

I nie domyśliłbym się, co by to takiego było, gdyby nie nasi kaprale i sierżanci, wszystko starzy, wytrawni żołnierze, którzy zwiedzili już dotąd pół świata i teraz dzielili się z młodszymi doświadczeniem. Jeden z nich postępował tuż przy mnie, z halabardą w ręku i okazywał się niewyczerpany w objaśnieniach i opisach, nieprzebrany w radach. Więc nie żałował wyrazów i teraz.

— To ciężka jazda — tłumaczył z przejściem. — Czy dostrzegacie ten podwójny odblask? Pochodzi z szyszaków, przyłbic i z pancerzy. Są to królewscy, tak zwana Służba Dworska — *Enniskillens*. Słyszycie granie kotłów i cymbałów? A wiedzcie, że ciężka jazda francuska trochę byłaby za twarda dla nas. Wszystko wyborni żołnierze, pułki gęsto okryte, dziesięciu przypada na jednego! Toteż koniecznie trzeba mierzyć w głowę albo w konia. Zapamiętajcie to sobie; bo nuż wypadnie i z tymi się spotkać. Inaczej biada! Cięcie szablą przez wątrobę i możesz iść na łono Mahometa! Cyt, cyt. Słuchajcie. Tam gdzieś od wschodu zaczyna się inna muzyka.

Nie skończył jeszcze, kiedy rozległ się stępiony, głuchy huk dalekiej kanonady. Działa grzmiały...

Po polach szedł chrapliwy, złowrogi, przytłumiony odgłos.

Rzekłbyś, ryk jakiegoś dzikiego, okrutnego zwierza, szcerwionego krwią, żądnego ciągle nowych ofiar, żyjącego tylko życiem coraz innych istnień ludzkich.

Szmer niepokoju podniósł się w szeregach i prawie jednocześnie ozwał się poważny, energiczny rozkaz:

— Przepuścić armaty!!

Mimo woli odwróciłem głowę i ujrzałem kompanie ariergardy⁷⁸, śpiesznie łamiące szeregi i rozstępujące się na boki drogi, po chwili — ukazało się w oddali sześć, dwójkami sprzęgniętych, rumaków pędzących pełnym galopem. Rzuciły się w oswobodzoną przestrzeń. Za nimi czerniło się dwunastokalibrowe działo, z łoskotem podskakujące po bruku gościńca.

Potem zjawilo się drugie, trzecie, dziesiąte, potem dwadzieścia cztery i przeleciały koło nas z ogromnym hałasem i hukiem. Na armatach i jaszczkach siedzieli żołnierze w granatowych uniformach, niby ciemne plamy na żelaznych grzbietach dział, woźnice palili z bata i obrzucali się tysiącem przekleństw, grzywy końskie wiatr rozwiewał, cebrzyki i wyciory od armat co chwila zderzały się z głośnym, metalicznym chrzęstem.

Powietrze napełniło się krzykiem i donośnym dźwięczeniem łańcuchów.

Z rowów przydrożnych podniosły się stłumione brzęki.

Artylerzyści odpowiedzieli im niezrozumiałym krzykiem, potem przemknął koło nas szarawy obłok i przez chwilę pogrążył nas w ciemności.

Teraz kompanie się zwarły i postępowałyśmy znowu jak przedtem, tylko ów huk w oddali stawał się potężniejszy, wyraźny i groźny.

— Trzy baterie — objaśnił nas sierżant. — Bull i Weber Smith: doskonała marka. Te ostatnie to dziewiątki. Tam, przed nami, musi ich być więcej i nawet groźniejszych, bo dostrzegam tu ślady wyżłobione przez jedno tylko dziewięciokalibrowe działo; wszystkie pozostałe wycisnęły dwunastki. Jeśli któremu z was zależy na lekkiej śmierci, niechaj

⁷⁷*mierzyliśmy się (...) i przyspieszali* (daw.) — konstrukcja, w której końcówka fleksyjna pierwszego czasownika ma zastosowanie również dla kolejnego (kolejnych); dziś: mierzyliśmy się i przyspieszaliśmy. [przypis edytorski]

⁷⁸*ariergarda* (z fr.) — straż tylna w armii. [przypis edytorski]

śmiało idzie pod dwunastkę: dziewiątka najczęściej okaleczy i poszarpie, tymczasem dwunastka przetnie cię na dwoje niby kucharka marchew.

I bez końca opowiadał o wszelkich okropnościach wojny, o strasznych ranach, zadawanych przez specjalnie ku temu służące naboje, o tych, które sam widział i tak w kółko. A mnie słowa jego krew mroziły w żyłach.

Nie tylko mnie zresztą. Mógłbyś z całej siły trzeć kredą twarz towarzyszy, a nie wiem, czy stałyby się bielsze. Bo błądź okryła policzki słuchaczy.

— Tak. Tak. Nie bójcie się, robaczki — ciągnął sierżant z okrutnym spokojem. — Ręczę, że będzie wam gorzej, gdy poczujecie porządny ładunek kartaczy we wnętrznosciach!

Mimo woli uczyniło mi się zimno, lecz zauważyłem w tej chwili, że kilku starszych żołnierzy uśmiecha się dziwnie i zaraz nieznośny ciężar spadł mi z piersi. Już wiedziałem, że krotochwilny sierżant chce tylko ubawić się kosztem naszego przestachu.

Zacząłem śmiać się także, młodszy koledzy poszli za moim przykładem, a jednak w gruncie rzeczy wesołość nasza nie była, nie mogła być szczera. Toż zbliżaliśmy się wielkimi krokami ku bitwie i kogóż z nas nie dręczył niepokój o jutro?

A słońce wbiło się nad głowami wysoko i dopiekało strasznie, wkrótce też zarządono postój w miejscowości noszącej miano Hal.

Znaleźliśmy tam starą, opuszczoną pompę i pompując niezmordowanie, dobraliśmy się na koniec do wody. Jeden z pierwszych napełniłem kaszkiet ożywym, chłodnym płynem. Najpiękniejszy dzban szkockiego *ale* nie smakował mi tak bosko, jak ta mętna trochę woda.

Przed nami bez końca ciągnęły armaty, potem przeszła husaria Viviana: trzy pułki dumnie jadące na skarogniadych, przesłicznych wierzchowcach.

Prawdziwa uczta dla oczu.

Tymczasem w dali grzmiały armaty głośniej, coraz głośniej, prawie nieprzerwanym hukiem, mnie zaś poczynały grać nerwy i we wspomnieniach wstawała jak żywa ta chwila, taka, zdaje się, niedawna, gdym⁷⁹ z kochaną dziewczyną przy boku podziwiał walkę handlowego statku z korsarzami.

A grzmot szedł tak potężny, iż zdawało się prawie, że biją się tuż, po drugiej stronie najbliższego lasku, dopiero sierżant rozwiał nasze wątpliwości.

— Bitwa jest o dwanaście, piętnaście może mil angielskich — oznajmił stanowczo. — Za to ręczę. Generał musi zresztą wiedzieć, że tam obejdą się bez nas, gdyż w przeciwnym razie nie popasalibyśmy w Hal. Możecie wierzyć staremu, robaki.

I rzeczywiście mówił prawdę, bo wkrótce podjechał ku nam pułkownik i wydał rozkaz stawiania broni w kozły i rozłożenia biwaków.

Cały dzień spędziliśmy w owej dolinie, spokojnie przyglądając się przeciągającej kawalerii, artylerii, piechocie nawet — szli Anglicy, Hanowerczycy, Holendrzy.

Diabelska muzyka trwała prawie do wieczora, niekiedy wybuchała potężnym akordem, to znów cichła, stawała się niewyraźnym, stłumionym pomrukiem, do złudzenia naśladowującym odgłosy kończącej się burzy.

Około ósmej wieczorem umilkła niespodzianie i nie odezwała się więcej.

A nas jęła trawić okrutna niepewność i chęć jak najprędzszego dowiedzenia się, co zaszło tam, za ciemnym borem — tak głęboko jednak tkwiło w każdym przekonanie, że co uczyni Książę, będzie uczynione dobrze, iż po trochu ogarniał nas spokój i ufność.

Brygada nasza spędziła w Hal cały następny ranek. Dopiero około południa przypadł do generała książęcy ordynans i wtedy zarządono pochód. Wkrótce przecież zatrzymaliśmy się powtórnie w lichej wiosce — Braine, jeśli mnie pamięć nie myli.

Czas był już najwyższy, gdyż prawie jednocześnie rozszalała się straszliwa nawałnica, z upustów niebieskich lunęły potoki zimnej wody i srożyły się póty, póki pół i gościńców nie zmieniły w istne bagna i jeziora.

Rzuciliśmy się do stodół, szukając jakiego takiego schronienia przed ulewą i w jednej z nich znaleźliśmy dwóch zbłąkanych żołnierzy, starszy należał do pułku noszących *kilty*

Żołnierz, Śmiech, Śmierć

Burza, Woda, Żywioly

⁷⁹gdym (...) podziwiał (daw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: gdy podziwiałem. [przypis edytorski]

górali szkockich — młodszy pochodził z legii niemieckiej i obaj podzielili się z nami wieściami, które były tak posępne, jak zachmurzone niebiosy.

Boney — opowiadali — zbił wczoraj Prusaków, potem wystąpili nasi i z trudnością dotrzymywali mu pola. Jednak podobno zwyciężyli w końcu.

Słowa moje wydawać się wam będą jak stara, znana, niepotrzebnie na światło dzienne wywleczone bajka i nikt z was po prostu nie jest w stanie wyobrazić sobie rozdrażnienia, w jakie wprawiły nas te niespodziane wiadomości. Krew jęła grać zapalczyszym, inni zaczęli się tłoczyć przez otwarte wrota, uczynił się tłok, gorąco, hałas.

Potrącano się, bito, przepychano siłą — po to, by pochwycić choć jedno słowo z tego, co mówili, a potem tych oblegano z kolei, kazano powtarzać sobie przed chwilą zasłyszane wieści — i znów niecierpliwił się dalsi...

Chwilami wybuchały oklaski i śmiechy, niekiedy zlorzeczenia, przekleństwa i groźby. I słuchano z przejęciem, jak pułk 44. wytrzymał atak kawalerii, jak Holendrzy i Belgowie sromotnie zmykali z pola bitwy, jak Czarna Gwardia pozwoliła złamać czworobok ułanom, a potem przypuściła do nich rzeź okrutną. Ale ułani walczyli tak mężnie, że miast⁸⁰ ulec, w puch rozbili pułk 69. i unieśli jeden ze sztandarów.

Książę cofał się przecież pomimo zwycięstwa, chodziło mu bowiem o zachowanie łączności z ustępującą armią pruską.

Mówiono, że pragnie obrąć odpowiedniejsze pole do przyszłych zapasów i prawdopodobnie wielka bitwa rozegra się w tym właśnie miejscu, gdzie generał Adams rozłożył się teraz obozem.

A wkrótce przekonaliśmy się, ile w tych pogłoskach było prawdy. Pamiętam, rozjaśniło się pod wieczór i komu sił stało, wstępował na pobliskie wzgórze, skąd widać było całą okolicę.

Jak okiem sięgnąć, ciągnęły się zielone łąki i płowe, szumiące zboża.

Wielkie, pełne kłosa zaczynały właśnie żółknąć, przepyszne żyta sięgały ramienia średniego wzrostu mężczyzny.

Trudno sobie wyobrazić krajobraz spokojniejszy, cichszy i bardziej spokojny.

Gdziekolwiek wybiegło się wzrokiem — wszędzie napotkałeś łagodnie falujące wzgórze, pokryte złotym, kornie chylącym się zbożem, tu i ówdzie zieleniały ciemne gromady topoli, z których znów strzelały dzwonnice wioskowych kościołków. Wszędzie dobrobyt, spokój, wszędzie uroczyste, wieczorne milczenie, rzekłbyś, ziemia gotuje się do snu świętego. Nie, nieprawda. Bo oto spojrzysz ku wschodowi. Czernieje tam, niby ślad śmignięcia batem, długa, nieskończona pręga, poruszająca się na podobieństwo splotów jakiegoś potwornego węża — długi sznur sylwetek krasnych jak maki, niebieskich, to znów zielonych jak morze, wreszcie czarnych jak najczarniejszy węgiel, zbliżających się bez przerwy, ciągle, przez równinę, zasypujących gościńce i drogi. Aż jeden koniec owego potwornego cielska znalazł się tak niedaleko, iż mogliby usłyszeć nasze krzyki, jak rozróżnialiśmy doskonale żołnierzy, składających broń w kozły, na lewo od nas, na przyległym wzgórzu — a drugi ginął w lasach i niepodobna było dojrzeć końca.

Potem, na innych drogach, ukazały się szeregi dwójkami posprzęganych koni, które z wysiłkiem ciągnęły złowrogo błyszczące armaty — tuż przy nich snuły się ciemne postaci żołnierzy, chylących się co chwila i co chwila dzwigających koła z gęstego, lepkiego błota.

I szedł pułk za pułkiem, brygada za brygadą i kolejno, sprawnie zajmowały wyznaczone pozycje na wzgórzach, a zanim słońce zaszło, stanęło na nich w bojowym szyku więcej niż sześćdziesiąt tysięcy wyborowego wojska i zamknęło Napoleonowi drogę do Brukseli.

Tymczasem deszcz zaczął padać z dawną siłą i my, spod 77. — bez namysłu schroniliśmy się z powrotem do zbawczej stodoły. I stamtąd żalowaliśmy pobożnie reszty towarzyszy, którzy, radzi nieradzi, zmuszeni byli pozostać na wicherze i błocie i w spokoju ducha znosić wściekłość nawałnicy, aż do pierwszych brzasków wschodzącego słońca.

ROZDZIAŁ DWUNASTY. CIEŃ NA ZIEMI

Ale i rankiem jeszcze siąpił drobny, gęsty, przenikliwy deszczyk, a wiatr mokry i lodowaty napędzał nowe, brunatne chmury.

⁸⁰miast (daw.) — zamiast. [przypis edytorski]

Dnia tego otworzyłem oczy z dziwnym, pierwszy raz w życiu doświadczanym, uczuciem. Myślałem oto, że dziś, za chwilę, wezmę udział w prawdziwej, strasznej może, bitwie. I po mózgu roily mi się krwawe, pełne trupów i jęku obrazy. Żaden z nas jednak nie przeczuwał nawet tego, co miało nastąpić.

Było jeszcze szaro, gdyśmy się zerwali i czym prędzej pchnęli drzwi stodoły. Tu słuch nasz uderzyła przede wszystkim muzyka tak cudna, że nie kosztował piękniejszej. Płynęła gdzieś ze spowitej w sinawe mgły dali.

Z innych stodoł i z całej wioski zbiegali się żołnierze i wszyscy słuchali z łaknącym podziwem. A tony szły słodkie, spokojne i smutne. Sierżant zaczął śmiać się wreszcie z naszego zachwyty.

— To francuska kapela — oznajmił trochę drwiąco. — Spróbujcie no wejść wyżej, a ujrzycie, czego wielu z was już może więcej nie zobaczy.

Posłuchaliśmy rady.

Po chwili wdarliśmy się na szczyt wzgórza. Muzyka płynęła ciągle. Chciwym spojrzeniem ogarnęliśmy w mgłach stojące zbocza.

U stóp wyniosłości i o pół karabinowego strzału wznosił się zgrabny folwarczek, otoczony murem, spoza którego wychylały się zielone, owocowe drzewa, ciemniały równymi rzędami dachówki budynków, całe obejście nęciło dobrobytem i czystością.

Ale sad opasywał szereg żołnierzy w czerwonych mundurach i wysokich, futrzanych czapkach, pracujących niezmordowanie nad wierceniem otworów w murze i barykadowaniem bramy.

— To lekkie kompanie Gwardii — objaśnił nierozłączny sierżant z miną znawcy. — Do ostatniego tchu bronić się tu będą, zobaczycie. Nie poddadzą się, póki jeden choćby potrafi ruszyć palcem. Spójrzcie no tam jeszcze. To ognie francuskich biwaków.

Poszliśmy za kierunkiem jego ręki, w przeciwną stronę doliny, ku zniżającym się wzgórzom i dostrzegliśmy tysiące żółtawych światełek, nad którymi wznosiły się czarne pióropusze dymów i leniwie wzbijały się w mgliste przestworza.

Na przeciwległym zboczu tej doliny ciemniał drugi folwarczek i właśnie podziwialiśmy jego zalotne zarysy, gdy wtem na niedalekim wzgórzku pojawiła się gromadka jeźdźców i jąła przyglądać się nam niezwykle badawczo.

Tyły owego szczupłego orszaku stanowiło dwunastu huzarów, czoło — pięciu ludzi, z których trzech w pełnym uzbrojeniu i hełmach na głowie, czwartemu z czapki powiewała szkarłatna, piękna kita, ostatni wyróżniał się dziwnym, płaskim kapeluszem.

— Wielki Boże! — wykrzyknął nagle sierżant. — To on, to Boney, mógłbym założyć się o żold miesięczny! Patrzcie, ten, na siwym koniu.

Na dźwięk tych wyrazów o mało oczy nie wyszły mi z orbit. Więc to *on*? Więc to jest człowiek, który nad całą Europą rozwiesił te posępne cienie, co pogrzyły w ciemnościach narody prawie na ćwierćwiecze, cienie, które dosięgły nawet naszego cichego folwarku, wydarły nam Edie, a mnie i Jima rzuciły w obce kraje na niepewną przyszłość i śmiertelną walkę?!

O ilem⁸¹ mógł wnioskować z odległości — trochę był przysadkowaty⁸², niski, o kwadratowych, potężnych ramionach.

Szeroko wyginał łokcie i co chwila podnosił do oczu perspektywę.

Patrzyłem na niego ciągle, nie umiając oderwać wzroku od krępej sylwetki, gdy uszu moich dobiegł niespodzianie ciężki, urywany oddech.

Mimo woli obejrzałem się za siebie i spotkałem źrenice Jima żarzące się jak dwa czerwone węgle.

Twarz prędko przysunął do mojej.

— To on — szepnął zdławionym głosem.

— Tak. To Bonaparte — odparłem poważnie.

— Ach! Cicho! De Lapp, mówię, czy de Lissac, jeśli ten szatan nie ma jeszcze innego nazwiska — przerwał mi z wybuchem. — On, on — powtórzył, zaciskając zęby.

Spojrzałem raz jeszcze i — poznałem także.

⁸¹o ilem mógł (daw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: o ile mogłem. [przypis edytorski]

⁸²przysadkowaty (daw.) — dziś: przysadzisty; nieproporcjonalnie gruby w stosunku do wysokości lub wzrostu. [przypis edytorski]

Ten, u którego czapki chwiała się szkarłatna kita...

Prawda. Te same spadziste ramiona, to samo dumne pochylenie głowy. Teraz mógłbym przysiąc.

Potem przystąpiłem do Jima, objąłem go mocno ramieniem i milcząc zająrzałem w biedne, bólem oszalałe oczy. Piers mu dyszała ciężko i krew grała w żyłach — lękałem się, by nie popełnił jakiegoś niedarowanego głupstwa.

Wtem zdało nam się, że Bonaparte pochyła się w siodle, mówi coś do adiutanta...

Potem cała gromadka wykonała z wolna pół obrotu i wkrótce znikła pośród wzgórz, a prawie w te same chwile z baterii, umieszczonej na najdalszym zboczach, rozległ się wystrzał armatni, wzbil się w niebo obłoczek białawego dymu.

Nie uciął jeszcze, kiedy w naszym obozie zagrano pobudkę.

Co tchu kopnęliśmy się na dół i jęliśmy gorączkowo formować szeregi.

A wzdłuż linii wojsk naszych nieprzerwanym hukiem rozgrzmiały strzały i wszyscyśmy⁸³ myśleli, że to zaczyna się bitwa, dopóki inni nie wyjaśnili nam, że w ten sposób kanonierzy czyszczą swoje działa.

Istotnie należało się obawiać, czy podsypki i lonty nie zwilgotniały podczas tej burzliwej nocy.

Z miejsca, w którym stałem, roztaczał się widok tak wspaniały, iż by go ujrzyć, warto było przepłynąć nieskończone morza.

Całe zbocze pokrywały czerwone i niebieskie czworoboki, i ciągnęły się aż ku jakiejś niewielkiej wiosce, odległej od nas prawie o dwie mile.

A w szeregach naszych powtarzano cicho, że za wiele tych niebieskich mundurów, nie dosyć czerwonych — toż Belgowie nie dalej jak wczoraj jeszcze dali dowód, iż mają cokolwiek za „miękkie” serca do krwawych zapasów. A przecież stało ich teraz dwadzieścia tysięcy!

Co więcej — nasze własne wojska składały się przeważnie z żołnierzy, z milicji i nowozacieżnych rekrutów, gdyż kwiat zaprawnych w boju pułków i bohaterów z czasu walk hiszpańskich znajdował się obecnie na okrętach, wśród niepewnych fal niezmiernego Oceanu i żółtym krokiem włócił się z powrotem, po zażegnaniu jakiegoś bezsensownego zatargu z amerykańskimi krewniakami.

Mieliśmy tylko niedźwiedzie czapy gwardzistów, pod postacią dwóch potężnych brygad — barwne mundury Highlanderów, błękit legii niemieckich, w czerwień przybrane liniowe wojska brygady Packa, brygady Kempta, wreszcie w sznur wydłużony rozsypane zielone sylwetki karabinierów, wysuniętych na czoło sprzymierzonych armii.

Każdy z nas wiedział, że to są ludzie zdecydowani na wszystko i gotowi na bohaterską walkę bez względu na niebezpieczeństwa, że przewodzi im człowiek posiadający w genialnym stopniu zdolność wyzyskiwania najgorszych pozycji.

Od strony Francuzów płynęły tylko mgły milczące i szły złotawe mrugania biwakowych ognii — tu i ówdzie na pochyłości czerniły się gromadki jeźdźców. Nagle zagrzmiały trąby i w mgnieniu oka napelniły dolinę rozgłośnym, nieulekłym graniem.

W tej samej prawie chwili spoza wzgórz wystąpiła niewidzialna dotąd armia i jęła spuszczać się na przeciwległe zbocza, szły nieskończonym szeregiem brygady, szły niezmierną lawą dywizje, aż zalały całą falującą przestrzeń — gdzie okiem sięgnąć niebiesciły się wrogie mundury i migotały zimne błyski stali.

I płynęły, płynęły, ciągle, spokojnie, bez przerwy — zdawało się, że nigdy im nie będzie końca, że sekunda jeszcze, a bez strzału zawładną równiną. A nasze wojska przyglądały się owej nawale w milczeniu, niektórzy wsparli się o karabiny, inni kurzyli fajeczki — wszyscy słuchali słów starych, zaprawnych w walkach z Francją żołnierzy.

Wreszcie piechota uformowała wielkie, długie plamy i teraz pojawiły się armaty, które jęto śpiesznie zaciągać wzdłuż zboczy.

Mimo woli trzeba było podziwiać tę szybkość, bateria wyrosła jak za skinieniem różdżki czarodziejkiej.

⁸³wszycyśmy myśleli (daw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: wszyscy myśleliśmy [przypis edytorski]

Potem uroczystym truchtem wyłoniła się zza wzgórz kawaleria — najmniej trzydzieści pułków, zakuty w stal, w pancerze, hełmy, u których powiewały pióra, w szable lśniące złowrogą, zimną bielą, w piki. Aż pojaśniało od sztandarów i chorągwi.

Błysnęli świetnością uzbrojenia i sprawnością ruchów i zajęli skrzydła i tyły swej armii.

— Ot, zuchy! — zakrzyknął z mimowolnym podziwem stary sierżant. — Trzeba ich widzieć w robocie! Diabeł by nie poradził. A spójrzcie no ku tym środkowym pułkom, w wielkich *shako*. Nie, nie tutaj, w tył od tamtego folwarku! To Gwardia. Jest ich dwadzieścia tysięcy, robaczki, dwadzieścia tysięcy najprzedniejszych ludzi, wściekłych jak szatany, którzy całe życie się biją, od dzieciństwa prawie, od czasu kiedy niewiele co więksi byli niż moje kamasze. Przeciwko dwóm trzech ich staje, dwa działa przeciwko jednemu. Panie odpuść! Wy, rekruci, jeśli wam się przyjdzie spotkać, pożałujecie ciepłego kąta w domu, wpierw⁸⁴ nim który natrze!

Nie ma co mówić! Dodał nam odwagi! Że jednak brał udział we wszystkich dawniejszych kampaniach i bitwach, począwszy od hiszpańskiej Korunii, że miał medal i siedem zaszczytnych odznaczeń, więc przysługiwało mu niezaprzeczone prawo plecienia co ślina na język przyniesie.

Kiedy armia francuska stanęła już w bojowym szyku, trochę dalej niż odległość armatniego strzału — spośród nich wyłoniła się gromadka jeźdźców kapiących od srebra, złota i purpury i jęła przebiegać pomiędzy pułkami, a w ślad ich przejścia zrywały się pełne uniesienia krzyki, wyciągały się ramiona, podnosiły ręce — wojsko z zapalem słuchało słów uwielbianego wodza.

A potem umilkło wszystko.

I dwie armaty stanęły twarz w twarz w straszliwej, niczym niezmaconej ciszy.

Widok był potężny i często wstaje w mych wspomnieniach.

Nagle, tuż przed nami, zakolysały się szeregi na pozór trwożnym i bezładnym ruchem.

Jedna z kolumn oderwała się od wielkiej plamy niebieskich mundurów i miarowym, sprężystym krokiem skierowała się ku folwarczkowi leżącemu u stóp angielskich pozycji.

Nie uczyniła jednak pięćdziesięciu kroków, kiedy z umieszczonych po lewej stronie baterii rozległ się wystrzał armatni.

Bitwa pod Waterloo⁸⁵ rozpoczęła się w tej samej chwili.

Nie do mnie należy opowiadać tu historię tej, jedynej może w swym rodzaju, bitwy — i zresztą, dałbym może wiele, żeby łaskawe bogi nie plątały mnie w dzieje owej niesłychanej rzezi — tymczasem los przekorny zagnał trzy nasze spokojne istnienia, pędzące dotąd cichy żywot na szkockim wybrzeżu, w morze krwi i jęków i zmusił przyjąć w niej udział na równi z cesarzami i królami świata.

Jeżeli przy tym uczciwie mam wyjawić prawdę, to więcej o Waterloo wyczytałem w książkach, niż widziałem wtedy na własne, ślepotą przecież niedotknięte, oczy.

Bo i com mógł zresztą widzieć w zwartym szeregu towarzyszy i cały w dymie pochodzącym z lufy mego karabinu.

Z rozmów innych i z ust mądrzejszych ludzi dowiedziałem się, że ciężka jazda angielska przypuściła szarżę i rozbiła linię słynnych kirasjerów, że w proch ją potem starto i przestała istnieć.

Z tego również źródła powziąłem wiadomość o bohaterских atakach, nieustraszonej odwadze Packa i Kempfa i ucieczce Belgów.

Osobiście mógłbym tylko opisać to, co dostrzegaliśmy w krótkich przerwach strzelaniny i w chwilach, kiedy dym poczynał rzędzać — i co po namyśle gotuję się tu opowiedzieć.

Wyznaczono nam pozycję nieco na lewo od linii bojowej i pozostawiono na razie w rezerwie, gdyż Książę lękał się, że Bonaparte zechce usiłować wdrzeć się z tej strony

⁸⁴wpierw nim (daw.) — zanim. [przypis edytorski]

⁸⁵bitwa pod Waterloo — stoczona w dniu 18 czerwca 1815 roku bitwa Napoleona Bonaparte. Cesarz Francuzów, uprzednio przebywający na wygnaniu na Elbie, powrócił i objął rządy na okres 100 dni (tzw. 100 dni Napoleona); na czele 100-tysięcznej armii ruszył w kierunku Brukseli, na spotkanie nierozwiązanych jeszcze armii VI koalicji antynapoleońskiej: angielskiej armii Wellingtona i pruskiej Blüchera. Początkowo stoczył dwie zwycięskie bitwy 16 czerwca pod Quatre Bras i Ligny, zanim doszło do walnego starcia pod Waterloo (w Brabancji, na terenie Belgii). W wyniku poniesionej klęski armia francuska przestała istnieć, zaś Napoleon musiał ponownie abdykować w dniu 22 czerwca 1815 r. [przypis edytorski]

i niespodzianie zająć tyły. Odkomenderowano więc tutaj trzy pułki, prócz tego Hanowerczyków i inną jeszcze brygadę angielską i rozkazano być w pogotowiu na najmniejszy alarm.

Opodal stały jeszcze dwie brygady lekkiej kawalerii. Francuzi tymczasem atakowali wyłącznie fronty sprzymierzonych armii, więc słońce wzbilo się wysoko, a myśmy jeszcze trwali w tej samej pozycji.

Bateria, która pierwsza rozpoczęła ogień, grzmiała po lewej stronie naszych pułków prawie bezustannie.

Niemiecka pracowała niezmordowanie po prawej.

Toteż tonęliśmy w tumanach dymu, jednak nie na tyle, żeby pozostać niewidzialni dla artylerii francuskiej, umieszczonej wprost naszych pozycji — i około dwudziestu kul armatnich z ostrym świstem przeszły wkrótce powietrze i upadło w sam środek szeregów.

Warczenie jednej z nich posłyszałem nagle tuż około ucha i bezwiednym prawie ruchem pochyliłem głowę, jak człowiek pragnący dać nurka, a jednocześnie sierżant uderzył mnie końcem swojej halabardy.

— Nie bądź no taki delikatny — zaczął z gniewem. — Nie bój się i tak schylisz się, kiedy cię trafią!

Inna z kul zmieniła pięciu naraz żołnierzy w jedną krwawą masę, a potem nieruchomo przypadła do ziemi, niby ohydny, szczerwieniony *football*.

Inna jeszcze ubiła konia pułkowego adiutanta — z tępym, głuchym zgrzytem, podobnym do świstu kamienia ciśniętego w błoto. Przeszyła lędźwie biednego zwierzęcia i rzuciła o ziemię jak rozgniecioną porzeczkę.

Trzy następne upadły dalej, cokolwiek na prawo, a zamieszanie i bolesne jęki oznajmiły nam zaraz, że i tym razem upatrzyły kilka ofiar.

— James, straciłeś doskonale bydlę — odezwał się ze współczuciem major Reed do adiutanta, którego spodnie i buty ociekały krwią gorącą.

— Pięćdziesiąt liwrów dałem za niego w Glasgow — odparł poszkodowany z westchnieniem. — Mniejsza zresztą o zwierzę. Ale czy nie uważałbyś, majorze, iż byłoby dobrze kazać lec pokotem ludziom? Armaty najwidoczniej skierowano na naszą pozycję?

— Nie — syknął niechętnie pierwszy. — To rekruci, Jamesie. Potrzeba im próby.

— I tak doświadczą za wiele, może nawet zanim słońce zajdzie — przerwał gorąco adiutant.

Zanosilo się na sprzeczkę, z której bylibyśmy zapewne wyszli nie najlepiej. Od surowości majora obroniła nas przecież niespodziana interwencja pułkownika Raynella. Spostrzegł właśnie, iż pułk 52. i karabinierzy z rozkazu dowódców kładą się na ziemi i skomenderował, żeby natychmiast uczynić to samo. Nie potrzebuję zapewniać, że każdy z nas przysięgał mu w tej chwili niezachwianą wdzięczność i że odtąd z ulgą i pewnego rodzaju złośliwą radością śledziliśmy pociski nieszkodliwie przelatujące o kilka stóp ponad naszymi grzbietami.

A przecież i wtedy jeszcze nie byliśmy bardzo bezpieczni — toć co chwila rozlegał się złowrogi łoskot, co chwila bryzgały odłamki stali i krople krwi czerwonej, a potem zrywały się okropne jęki i ponury odgłos przedśmiertnego darcia nogami o ziemię — co oznajmiały nam o ciężkich, nieustannych stratach.

Zaczął padać deszcz drobny, przenikliwy, chłodny.

Teraz wilgoć nie pozwalała dymom wzbijać się wysoko, więc wlokły się szarymi smugami przy ziemi, co znów utrudniało ogarnięcie wzrokiem całej bitwy i prawie nie widzielibyśmy, co się dzieje, gdyby nie ciągnął huk armat, który mówił nam, że na całej linii wrzeć musiała zaciekle, rozpaczliwa walka.

Czterysta armat waliło bez przerwy, z czterystu armat szedł grzmot nieustanny, trwożą śmiertelną rozdierał wnetrzności, ogień zażęgał w piersiach.

Zgrzyt, świsty, odgłosy strzałów i jęki plątały się w coraz straszliwszy, skłębiony, przeraźliwy chaos, który w duszach uczestników ryl niestarte piętno i potem, potem — przy lada sposobności — wybuchać miał krwawym wspomnieniem.

Na wprost naszego pułku, na łagodnej pochyłości wzgórza, lśniło potworne działo, tak zdawało się bliskie, że tylko sięgnąć ręką. Uwijała się przy nim gromadka artylerzystów, których sylwetki odcinały się wyraźnie na szarym tle zboczy.

Odziani w obcisłe spodnie, w wielkich kapeluszach, zdobnych w sztywne kity — poruszali się sprawnie i prędko, wyciory migwały w niestrudzonych rękach i raz po raz zakładali świeży nabój do armaty, raz po raz rozlegał się huk głośniejszy od innych — nie ustawiali w pracy.

Było ich czternaście, gdy spojrzał w kierunku działa po raz pierwszy.

A potem choć owa liczba zmalała do czterech — cztery sylwetki uwijały się niby w gorączce — niezmordowaniej i gorliwiej niż przedtem.

U stóp naszych, w dolinie, leżał folwarczek Hougoumont.

Od świtu prawie wrzała tam zacięta walka — bramy, płoty i okna stały w kłębach dymu, rozrywanych co chwila czerwonym błyskiem strzałów — i szedł stamtąd huk ogłuszający, jęki i prawie nieludzkie wycie. W godzinę śmierci nie zapomnę tego strasznego widoku, tych mąk zadawanych braciom przez współbraci.

Na wół spalony dom czerniał zgorzelizną niby świeżymi ranami, setki kul piętrzyło się w drzwiach, w oknach, w murze — wejście oblegało dziesięć tysięcy żołnierza, a czterystu gwardystów po bohatersku odpierało napad! Do wieczora została ich ledwie połowa, lecz ani jeden Francuz nie pokalał progów.

A jednak jak oni się bili!

Życie nie obchodziło ich w tej chwili więcej niż błoto, w którym brodzili po kostki.

Jeden z nich — zda się prawie, że widzę go jeszcze — wysoki mężczyzna o zdrowej, ogorzalej cerze — korzystając z nagłego przycichnięcia strzelaniny — ruszył ku bocznym drzwiom domu, podpierając się wprawdzie laską i kulejąc mocno, ale z odważnie podniesionym czołem — i jął szturmować do forteczki z całej siły, wołając na swoich, by szli za nim.

I stał tam może z pięć minut, nieustraszony, pod gradem kul, które na nowo sypnęły się z okien, aż z pułku tyralierów brunszwickich, broniących się w sadzie, padł strzał, który roztrzaskał mu głowę.

Ale za tym nadciągali wnet inni, mniejsze lub większe kupy odważniejszych, po dwóch wreszcie, po czterech — wszyscy odważnie i z taką śmiałością, jakby śladem ich gotowała się tu przybyć cała armia.

I trwaliśmy tak od rana, pochłaniając tylko wzrokiem tę śmiertelną, u stóp naszych rozgrywającą się bitwę — Książę jednak zauważył wkrótce, że nic nie grozi prawemu skrzydłu sprzymierzonych armii i postanowił rzucić nas także w wir walki.

Francuzi zmienili taktykę. Teraz szerokim półkolem otaczali folwark i prażąc go ciągłym ogniem — posuwali się naprzód, z wolna występując poza linię strzałów.

Chwila i tyralierzy francuscy zniknęli już w gęstym, zielonym zbożu, w dole, tuż przy naszym pułku...

I stamtąd usiłowali wziąć na cel kanonierów, usiłowali tak celnie, że trzy działa umilkły wraz na lewym wzgórzu, u stóp armat zaczęły sylwetki poległych na stanowisku...

Nic jednak nie uszło żbiczego wzroku Księcia.

Galopem przypadł ku nam.

Ujrzeliśmy twarz ukochaną, zniszczoną trudami wojny, ciemne włosy, nos zakrzywiony, długi, błysły wielkie kokardy kapelusza... Ogarnął nas przenikliwym a bystrym spojrzeniem...

Otaczało go ze dwunastu może oficerów, tak rozbawionych i strojnych, jakby jechali, nie przymierzając, polować na lisy, nie wiedząc, że ani jeden nie ujrzy jutrzejszego słońca...

— Ciężka sprawa, generale! — odezwał się, zwalniając biegu.

— Bardzo ciężka, Ekscelencjo — odparł poważnie Adams.

— Ale możemy ich powstrzymać! Cóż znowu! Mielizbyśmy⁸⁶ pozwolić, żeby garść tyralierów obezwładniła nam całą baterię!? Wyrugujcież⁸⁷ mi ich, generale, z tej pozycji!!

Po raz pierwszy w życiu uczułem dziwny jakiś dreszcz charakterystyczny, który niby iskrą przebiega ciałem, skoro za chwilę ma się wziąć udział w bitwie. Krew zagrała.

⁸⁶*mielizbyśmy pozwolić* (daw.) — konstrukcja z partykułą wzmacniającą *-że-*, skróconą do *-ż-*; znaczenie: czy mielibyśmy, czyżbyśmy mieli. [przypis edytorski]

⁸⁷*wyrugujcież* (daw.) — konstrukcja z partykułą wzmacniającą *-że-*, skróconą do *-ż-*; znaczenie: koniecznie wyrugujcie (tj. usuńcie, wyeliminujcie). [przypis edytorski]

Aż dotąd nie czyniliśmy nic przecie, prócz leżenia na ziemi i z zamkniętymi oczyma przyjmowania śmierci — z pokorą, bez ruchu, pod groźbą najsurowszej kary — a to jest chyba najcięższym wysiłkiem.

Teraz nadchodziła kolej czynów i — szliśmy ze śpiewaniem prawie, z gotowością.

Brygada zerwała się z ziemi i jęła formować długą, w czwórki wyciągniętą linię. Potem zaczęliśmy się spuszczać z góry...

A wtedy *tamci* rozbiegli się niby stado spłoszonych przepiórek i gnali przed siebie, na oślep, z pochylonym naprzód grzbietem, wlokąc po ziemi ciężkie karabiny, padając, zrywając się, krzycząc...

Połowa zdążyła uciec, ale drugą ogarnęliśmy już bez litości, a najpierw oficera, który był bardzo tęgi i nie mógł biec tak prędko...

Rob Stewart, towarzysz z prawej strony, utopił bagnet w jego grzbiecie, nieszczęsny wydał dziki, straszny okrzyk... Wzdrygnąłem się pomimo woli.

Rozkazano nie dawać pardonu — więc walczyliśmy na bagnety, uderzali⁸⁸ kolbą...

Krew ogniem trawiącym zalewała żyły — i trudno nam się nawet było dziwić — toż oni, *tamci*, od rana strzelali do nas niby do zajęcy — sami bezpieczni, bo niewidzialni prawie w gęstym zbożu.

Jak nieprzytomni rzuciliśmy się w zielonawe łany, kłując, mordując, bijąc, na oślep zadając straszne, śmiercionośne razy, aż minęliśmy zboże, potem sine pasy dymu... Nagle błysnęła purpura i złoto i ujrzeliśmy przed sobą olbrzymi pierścień wojsk francuskich — całą armię nieprzyjacielską — od której dzieliły nas tylko łąki i szara wstęga wąskiej, polnej drogi.

Wydaliśmy donośny okrzyk, krew zagrała goręcej, w oczach zamajaczyły bagnety, atak i zwycięstwo — i każdy rwał się naprzód, bo nadchodziła chwila, w której traci się już świadomość i poczucie samoobrony własnej, chwila, która staje się rodzajem haszyszu dla żołnierza, a napięcie jej — stanowi o losach wybuchającej w tym momencie bitwy.

Ale książę czuwał ciągle, choć z daleka, a teraz przebiegł na spienionym koniu i rzucił krótki rozkaz naszemu dowódcy.

Zaraz też na front wysunęło się konno kilku oficerów, zamigotały szable — rozkazano się zatrzymać.

Zewsząd ozwały się przenikliwe głosy trąbki.

Po szeregach poszły przekleństwa i komendy spoconych sierżantów — nie szczędzących nam szturchańców i nawet ukłuć halabardą — potem jęliśmy się z wolna cofać.

I w mgnieniu oka, w czasie z pewnością krótszym, niż zajmuje mi teraz napisanie owych kilkunastu wierszy — brygada nasza złamała się na trzy niewielkie, regularne czworoboki, zjeżone lasem bagnety *en échelon*⁸⁹ — co każdemu z nich pozwalało strzelać niejako w poprzek frontu następnego.

Ten zwrot był jedynym ratunkiem wobec grożącego nam niebezpieczeństwa, ratunkiem tak skutecznym — że jakkolwiek nowicjusz — poznałem się na nim od razu.

Z prawej strony wznosiło się niskie, łagodnie falujące wzgórze.

Stamtąd, z przeciwnego i zakrytego przed wzrokiem naszym, zbocza, szedł dziwny, trochę przytłumiony pomruk — do złudzenia naśladujący szum bałwanów na wybrzeżu w Berwick, wtedy szczególnie, gdy wieje wiatr wschodni.

Aż ziemia drżała od tego zgłuszonego szmeru, który przepełniał powietrze, rósł, wzmagał się, zbliżał...

— Śmiało! Siedemdziesiąty pierwszy! Na miły Bóg, śmiało! — rozległ się nagle głos naszego pułkownika.

Spojrzeliliśmy po sobie ze zdumieniem — toć przed nami roztaczała się tylko szmaragdowa pochyłość pagórka, usiana gwiazdami rumianków i nieznanym mi, złotawym kwieciem.

Wtem u szczytu wzgórza błysnęło osiemset miedzianych kasków...

Przy każdym chwiała się długa, okazała kita, spod każdego wyjrzała twarz groźna, spalona i czarna i runęli ku nam, mocno pochylając się na karki, lotem błyskawic pędzą-

⁸⁸walczyliśmy (...), uderzali (daw.) — konstrukcja, w której końcówka fleksyjna pierwszego czasownika ma zastosowanie również dla kolejnego (kolejnych); dziś: walczyliśmy, uderzaliśmy. [przypis edytorski]

⁸⁹*en échelon* (fr.) — schodkowo; por. fr. *échelon*: szczebel. [przypis edytorski]

cych, rumaków. Przez jedno mgnienie oślepiały nas jeno⁹⁰ kirysy, migaly szable, chwiały się barwiste kity, potem ujrzelismy rozdęte i czerwone chrapy końskie, chwytające z trudnością powietrze, zaczerniły się kopyta...

Jeszcze kilka sekund, jak wiek długich.

A później zniżyła się linia naszych karabinów i kule zderzyły się z miedzią kirysów, z dźwiękiem podobnym jęczeniu gradu objającego się o szyby.

Dawałem raz po raz ognia i broń nabijałem bez wytchnienia, a skoro dym opadał — zapuszczałem w dal szybkie spojrzenie. Nic jednak nie mogłem dojrzeć, prócz dziwnego, wąskiego kształtu, który poruszał się ciągle wśród dymu kurczowym jakimś i niezrozumiałym ruchem.

Potem zagrała trąbka i oznajmiła zaprzestanie ognia.

Mocniejszy, gwałtowny powiew wiatru odgarnął nagle dymy przesłaniające widnokrąg i mogliśmy teraz objąć wzrokiem całą przestrzeń.

Sądząc z zażartości i wściekłości bitwy — myślałem, że z nacierającego pułku nie ocalała się nawet połowa, tymczasem — czy dlatego, że osłaniały ich pyszne kirysy, czy z powodu niedoświadczenia naszego i zbytnej gorączki, czy mierzyliśmy może trochę za wysoko — strzały nie sprawiły oczekiwanego rezultatu.

Na ziemi leżało zaledwie ze trzydzieści koni, trzy z nich tuż koło siebie i nie dalej ode mnie niż o dziesięć jardów; — jeden spoczywał na grzbiecie — nogi w przedśmiertnych drgawkach — rwały kurczowo powietrze, najbliższa musiała właśnie być owym, poruszającym się prędko przedmiotem, który wśród dymu nabrał owych cech dziwnych i niewytłumaczonych kształtów.

Okolo dziesięciu trupów czerniło się bezkształtną, krwawą plamą i tyłuż może rannych, którzy pół siedząc, pół leżąc w miękkiej, szcerwienionej trawie — jęczeni przeciągle, głucho — jeden z nich tylko raz po raz powtarzał głośny, dumny okrzyk:

— *Vive l'Empereur*⁹¹!

Inny, który najwidoczniej otrzymał postrzał w biodro, ogromny, o ciemnym zaroście mężczyzna — pobladłymi ustami chwycił przesiąkniętą słodkawą wonią powietrze i oburącz obejmował trupa swojego wierzchowca.

Nagle porwał karabin i z równie zimną krwią, jakby szło o zwykłe strzelanie do celu — zmierzył i kula ugodziła Angusa Myresa, którego rozdzielało ze mną dwóch tylko żołnierzy. Biedaczysko zwałił się ciężko jak kłoda — z czoła trysnęła rubinowa nitka...

Ranny błyskawicznym ruchem sięgnął po drugi, leżący opodal karabin — zanim jednak zdążył go pochwycić — nadbiegł z czoła grenadierów gruby Hodgson i utopił mu bagnet w gardle. Żał mnie zdjął mimo woli — taki był rosły mężczyzna!

Wracam jednak do bitwy. Myśleliśmy więc oto, że kirasjerzy, korzystając z dobroczynnych osłon dymu, ratowali się zręczną ucieczką, ale nie należeli do tych, którym to przychodzi łatwo!

Konie, przerażone kulami i dymem, zboczyły jednakże z drogi, i stąd pułk otarł się tylko o krawędź naszego czworoboku, pomknął dalej i wpadł pod ogień dwóch drugich. Co począć?

Przebiegli linię strzałów i choć szlak ich przejścia znaczyły gęsto ciała zabitych i rannych, co koń wyskoczy rwali do niedalekiego muru, i przedostali się przez ogrodzenie. Stał tam pułk Hanowerczyków, z którym uczynili to, co my byśmy zrobili z nimi, gdyby los zrządził inaczej.

Rozbili go w proch w oka mgnieniu.

Straszny był widok opasłych Niemców rozbiegających się po sadzie, jak stado strwożonego ptactwa, na każdego godziło kilku naraz kirasjerów, którzy co chwila wznosili się na siodle, by ciężkim swym, wielkim szablon nadać większy rozmach, i mordowali bez litości.

Z nieszczęsnego pułku ocalało może zaledwie stu ludzi.

A zwycięska kawaleria w cwał puściła konie i zatoczywszy ogromne półkole, wracali tą samą drogą, wznosząc wysoko aż po rękojeść zakrwawione szable i z okrzykami tryumfu na ustach.

Żołnierz, Śmierć,
Morderstwo

Wojna, Żołnierz

⁹⁰jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

⁹¹vive l'empereur (fr.) — niech żyje cesarz. [przypis edytorski]

Szukali zaczepki, chcąc najwidoczniej zmusić nas do pierwszych strzałów — ale pułkownik zbyt dobrym i doświadczonym był żołnierzem.

Wiedział, że z takiej odległości nie mogliśmy im uczynić nic tak bardzo złego, a nęliby z pewnością ławą, zanim zdążylibyśmy nabić broń powtórnie.

Trzech jeźdźców oderwało się z tylnych szeregów i pędem przebiegło z prawej strony czworoboku...

Ale staliśmy jak mur niewzruszeni — złamać nieznacznie choćby szyk bojowy znaczyło pożegnać się z życiem — w mgnieniu oka pułk cały jechałby po naszych karkach!

Trwaliśmy więc bez ruchu, było jednak coraz ciężiej, gdyż o kilkaset jardów od nas, i także pod osłoną wzgórz, zaciągano pośpiesznie dwanaście dział, wprawdzie mniejszego kalibru, ale zakrytych tak dobrze przed wzrokiem, że artylerzystom nie groziło najmniejsze niebezpieczeństwo, a czworobok nasz pozostawał jak przedtem odkryty...

Bateria nagle przemówiła i odtąd wyrzucała kule, które literalnie pograżały się w sam środek szeregów — *tir plongeant*⁹² nazywają podobno taki rodzaj strzałów — jeden z artylerzystów skoczył potem na szczyt wzgórza i zatknął w mokrej ziemi rohatynę⁹³, mającą ułatwić celowanie towarzyszą. Stało się to na oczach całej naszej, zdumionej nieprawdopodobnym zuchwalstwem brygady.

Żaden z nas nie wystrzelił — każdemu się zdało, że wyręczy go z pewnością najbliższy towarzysz...

Ale trudno to było ścierpieć. Chorąży Samson, najmłodszy z podoficerów naszego pułku, wybiegł nagle z czworoboku, wdarł się na wierzchołek błyskawicą i już, już dosięgał rohatyny, gdy na pochyłości jak spod ziemi wyrosła sylwetka ułana i na podobieństwo szczupaka godzącego w niedomyślającego się nawet podstępny węgorza, utopił mu lancę w grzbiecie. A cios był tak straszny, iż nie tylko ostrze, lecz i drzewce wyszło przodem, pomiędzy drugim i trzecim guzikiem munduru...

— Helu! Helu moja! — krzyknął nieszczęśliwy i runął twarzą na ziemię, a prawie jednocześnie mordercę zasypał grad kul, żądnych pomszczenia śmierci towarzysza i ułan powalił się także — nie wypuszczając jednak lancy z kurczowo zaciśniętych dłoni. Skonał u nóg ofiary. Śmierć połączyła ich straszliwym węzłem.

Bateria odpowiedziała nam gorętszym ogniem, zaraz też krew jęła bluzgać, mgłą czerwona przesłoniła oczy...

Czworobok może być doskonałą formą do skutecznego odpierania ataków kawalerii — ale co innego kule armatnie, granaty i tym podobne okrucieństwa! Co chwila teraz świst złowrogi przesywał powietrze i szerzył wśród bezbronne stojących krwawe spustoszenie. Uszy napełniły się wkrótce głuchym odgłosem charakterystycznego chrzęstu, jaki czyni żelazo pograżające się w ciele człowieka, mundury, twarze, ręce plamiła coraz częściej krew mrących kolegów...

Minęło dziesięć nieskończonych minut, potem rozkazano nam się cofnąć o sto kroków w prawo — na dawnym jednak miejscu został drugi, na wieki milczący czworobok — stu dwudziestu żołnierzy i siedmiu oficerów ciemną, nieruchomą plamą znaczyło poprzednią pozycję...

Tamci nie dali i teraz jeszcze za wygraną.

Nie wyszło i pół pacierza, gdy na najwyższej wyniosłości wzgórza zamajaczył pułk kawalerii, tym razem ułanów — i pędem puścił się ku nam po łagodnie falującym zboczu.

Z radością prawie słuchaliśmy tętentu kopyt — znaczyło to przede wszystkim, że bateria na chwilę zaprzestanie ognia, że potykać się będziemy czoło w czoło. Teraz dopiero miała zawrzeć bitwa — bo przedtem była tylko rzeź straszliwa!

I po bohatersku jęliśmy odpierać napad, jeno⁹⁴ krew już krążyła wolniej, jeno mierzyliśmy chłodniej — zobojętniali na śmierć własną i cudzą, co od rana szalała na tych okropnych polach.

Strzelało się niby uważnie, a przecież bez świadomości istotnego czynu; zabijało się, nie myśląc, że to ludzie, mechanicznie, miarowo, bezwiednie.

Żołnierz, Walka,
Morderstwo, Śmierć,
Zemsta, Maszyna

⁹²*tir plongeant* (fr.) — ostrzał prowadzony pod małym kątem. [przypis edytorski]

⁹³*rohatyna* — włócznia z hakiem przy grocie, używana gł. w XVI i XVII w. [przypis edytorski]

⁹⁴*jeno* (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

Całą istotą owładła dziwne jakieś uczucie, coś niby chęć pomszczenia na kimkolwiek wszystkiego, co się wycierpiało, odwetu za wszystkie krzywdy — a potem mniejsza nawet o życie!

I naprawdę mściliśmy dawniejsze straty — ułani nie mieli kirysów⁹⁵ — po pierwszej naszej salwie legło ich od razu więcej niż siedemdziesięciu.

Kto wie, czy napelniałoby nas równe upojenie, gdybyśmy wtedy mogli ujrzeć siedemdziesiąt matek płaczących nad zwłokami synów — ale podczas bitwy człowiek staje się tylko zwierzęciem, które morduje innych dla podobnych powodów, jak dwa zagryzające się na śmierć tygrysy.

Tutaj pułkownikowi przysła myśl genialna.

Obliczył, że odparta kawaleria przez kilka minut przebiegać będzie pod ogniem własnych armat, które z konieczności zatem milczeć muszą — rozkazał sformować się powtórnie i błyskawicznym marszem cofnąć się w pobliskie zagłębienie, rodzaj obronnej doliny, gdzie byliśmy już bezpieczni i mogliśmy żartować z najgroźniejszych armat.

Odetchnęliśmy trochę, a wielki czas było odpocząć — pułk stopniał przez kilkanaście minut niby lód na słońcu. Innym działo się jeszcze gorzej.

Przed chwilą oto Holendrzy i Belgowie w liczbie piętnastu tysięcy rzucili się sromotnie⁹⁶ do ucieczki, łamiąc kunsztowną linię wojsk angielskich, w której zaraz poczyniły się puste wyłomy. Kawaleria nieprzyjacielska już posuwała się ku nim zwartą, zatrważającą ławą.

Nie koniec na tym. Armaty francuskie przewyższały nasze wartością, liczbą i doskonałą obsługą, nasza ciężka jazda poniosła już poważne straty — jednym słowem, rzeczy zaczynały przybierać wcale niewesoły obrót.

Z drugiej znów strony, folwarczek Hougoumont, jakkolwiek przedstawiający teraz tylko kupę dymiących i skrwawionych zgliszczy — pozostał w naszych rękach. Ani jeden pułk angielski nie ustąpił jeszcze z placu boju, ani jeden nie okrył się hańbą ucieczki.

Jednak — nie widzę powodu, dla którego miałbym taić całą prawdę — tu i ówdzie, wśród ustępujących szybko niebieskich mundurów — błyskały plamy czerwonych... Ale w szeregach zbiegłych znajdowała się młodź tylko sama lub podli, jakich wszędzie przecięz pełno.

Powtarzam raz jeszcze: ani jeden pułk nasz nie opuścił pola, ani jeden się nie poddał.

Całe prawe skrzydło w tej chwili nie przyjmowało prawie udziału w czynnej walce — Prusacy to ruszali z kolei do ataku, choć wówczas nikt z nas nie wiedział o tym.

Napoleon rzucił ku nim dwadzieścia tysięcy żołnierza i usiłował zmusić do odwrotu.

Siły aż dotąd też same prawie były, co i z rana.

Wszystko to przecież objawiało się dla nas ciemne i niezrozumiałe.

Potem znów przyszedł inny, pamiętny moment bitwy — kawaleria francuska zaczęła następować taką niezmierną ławą, że przesłoniła nam środek i lewe skrzydło armii i zaczynaliśmy wierzyć, że wszystko stracone, bo oto zostaje jedna już nasza brygada...

Więc zacinaliśmy zęby i obiecywali⁹⁷ drogo sprzedać życie.

Była godzina czwarta, piąta może po południu — nie mieliśmy nic do jedzenia, większość pościła od wczoraj wieczorem.

Na domiar wszystkiego deszcz wzmógł się i wkrótce przemoczył nas do nitki. Padał wprawdzie od rana i nie ustawał w swej niezmordowanej pracy — ale w ciągu ostatnich kilku godzin byliśmy w takich opałach, że po prostu nikt nie miał czasu uskarżać się na głód lub niepogodę, pomyśleć choćby o tym! Teraz za to dolegały coraz dokuczliwiej.

Żeby zagłuszyć — jęliśmy spoglądać wkoło siebie, zaciskać pasy, trzeć zziębnięte dłonie, pytać o towarzyszy: kto zabity, kto zdołał ująć z życiem?

Po chwili dostrzegłem Jima i zaraz poweselało mi w duszy — jeszcze nie straciłem przyjaciela. Stał w bok trochę, na prawo, cały czarny od prochu i wspierał się niedbale o karabin.

Zauważył mnie także i krzyknął, czym nie ranny.

— Wszystko dobrze! — odrzekłem donośnie.

⁹⁵kirys — krótka, lekka, osłaniająca jedynie korpus zbroja. [przypis edytorski]

⁹⁶sromotnie (daw.) — haniebnie. [przypis edytorski]

⁹⁷zacinaliśmy zęby i obiecywali (daw.) — konstrukcja w której końcówka fleksyjna pierwszego czasownika ma zastosowanie również dla kolejnego (kolejnych); dziś: zacinaliśmy zęby i obiecywaliśmy. [przypis edytorski]

— Po kiego nas tu zagnano! — syknął ciszej, a ponury wyraz wrócił mu na czoło. — Od rana polujemy na jakąś niewidzialną czy urojoną zwierzynę! Ale nie koniec na szczęście! I na Bóg! Pochwyć *jego* ścierwo albo on zabierze moje!!

Potęźniej niż zwykle zmagął się ze swoją męką, żyły na skroniach wystąpiły mu niby ciemne, fioletowe pręgi, w oczach się pojawił dawny, błędny wyraz... Przez głowę mi przemknęło, że może oszalał.

Wzrok jego chwilami nie miał w sobie nic ludzkiego.

Od dawna — zawsze — należał do tych, którzy głęboko odczuwają drobne nawet nieraz rzeczy — a odkąd Edie go zdradziła — nie wiem, czy był kiedykolwiek zupełnie przytomny.

Znów odbiegam od rzeczy.

Bo w tejsze chwili staliśmy się świadkami dwóch prawdziwych pojedynków — które podobno zachodziły często w starożytnych bitwach — zwykle przed gromadnym wyruszeniem do ataku, zanim jeszcze starły się obydwa wojska.

Jakoś, pamiętam, rozkazano nam lec w dość głębokiej fosie — gdy nagle na najbliższą pochyłość wbiegło w pełnym galopie dwóch jeźdźców.

W pierwszym poznaliśmy dragona angielskiego — głowę pochylił na kark koński, aż twarz nikła w obfitej grzywie wierzchowca.

Za nim pędził kirasjer francuski na rosłej, gniadej klaczy, siwy już, ale olbrzymiego wzrostu żołnierz.

Polecały za nimi urągania i gniewne okrzyki brygady — wszystkim zdało się hańbą, żeby Anglik tak sromotnie zmykał przed Francuzem — lecz wkrótce podjechali bliżej i wtedy pojęliśmy wszystko.

Dragon był bezbronny, broń upuścił czy zgubił, a tamten nacierał tak szybko widocznie dlatego, by uniemożliwić mu zaopatrzenie się w inną.

Minęła tak długa chwila.

Wreszcie Anglika podrażniły naigrawania towarzyszy i postanowił przyjąć jakąkolwiek walkę.

Oczy jego upadły na lancę porzuconą przy zwłokach jakiegoś Francuza.

Ściągnął cugle koniowi, wypuścił kirasjera naprzód, potem zeskoczył na ziemię, broń chwycił błyskawicznym ruchem i za chwilę był już na siodle.

Ale miał do czynienia z doświadczonym lisem. Francuz spadł teraz na niego jak jastrząb.

Dragon odbił uderzenie lancą, ale zwinęła mu się w rękę, a w tejsze chwili tamten ciął go straszliwie w łopatkę.

Wszystko zaszło w jednym, krótkim mgnieniu...

Kirasjer wypuścił teraz konia stępią i odjechał, potrząsając zwycięsko szablą — towarzyszyły mu pogróżki i przekleństwa całego 71. pułku.

Pojedynek skończył się tryumfem *tamtých*, ale wkrótce nadejść miał czas pomsty.

Nieprzyjaciel wypuścił znowu tyralierów i zbliżali się ku nam szybko potężną, wyciągniętą linią, ostrzeliwując jednak więcej baterię prawego skrzydła niż stojące nieruchomo pułki angielskiej piechoty. Z brygady naszej oderwały się też wkrótce dwie kompanie i śmiało przecięły im drogę.

A w tejsze chwili po polach poszedł wzmożony, suchy, charakterystyczny odgłos — chrzęst i ostre zgrzyty karabinów, którymi posługiwano się ze stron obydwóch.

Na czele tyralierów francuskich postępował oficer niezwyklego wzrostu, ogorzały, chudy, płaszcz przerzucony niedbale przez ramię, chwiał się przy każdym kroku i za plecami rozpościerał się ciemną plamą.

Odległość pomiędzy obu wojskami topniała coraz prędzej. Nagle Francuzi stanęli, z szeregów wysunęła się smukła sylwetka i sprężystym krokiem jąła zbliżać się ku naszym. Zatrzymał się, mniej więcej na połowie drogi, wyprostował się dumnie, głowę w tył odrzucił i prawie natychmiast przybrał postawę klasycznego zapaśnika.

Zda mi się, że widzę go dziś jeszcze — nieruchomy, wspaniały posąg z lekko przymkniętymi powiekami i szyderczym uśmiechem na ustach.

Pojedynek, Honor

Nie upłynęło kilka sekund, kiedy podoficer karabinierów, wysoki, dorodny młodzian, wystąpił także naprzód, pędem przebył dzielącą go od Francuza przestrzeń i rzucił się nań, uzbrojony tylko w ów rodzaj zakrzywionej szabli, którą noszą ich pułki.

Francuz od niejakiego czasu biegł także, teraz więc zderzyli się niby dwa rozwścieczone a groźne buhaje.

Wstrząśnienie było tak gwałtowne, że obaj upadli na ziemię, Francuz w oka mgnieniu znalazł się pod spodem.

Podoficer strzaskał klingę swej szabli tuż przy rękojeści i broń przeciwnika utkwiała mu w lewym ramieniu, a jednak potrafił szczątkami stali zadać cios śmiertelny i przy nim zostało zwycięstwo.

Przymknąłem oczy, bom był pewien, że tyralierzy rozszarpią go lub zgoła rozniosą na szablach, mszcząc śmierć swego wodza, ale ani jeden wystrzał nie zagrzmiął z ich szeregów, skoro zaś podniosłem powoli powieki, ujrzałem młodzieńca o kilka tylko kroków od własnego pułku, z odłamekami stali w krwawiącym ramieniu, i z własną, na w pół strzaskaną szablą w kurczowo zaciśniętym ręku.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY. KONIEC NAWAŁNICY

Wśród tylu dziwnych nieraz, postronnych zjawisk zachodzących w bitwie, w szeregu walk zaciekłych, następujących po sobie z zawrotną szybkością — jak wtedy, najdziwniejszym chyba było oddziaływanie ich na towarzyszy.

Dla niektórych objawiała się codzienną niby strawą — mijala bez wywołania zmian najmniejszych w twarzy, bez komentarzy, uwag — rzekłbyś, że wiedzą, kiedy padnie która kula.

Inni odmawiali modlitwy od pierwszych grzmotów armatnich aż do końca bitwy — coraz żarliwiej, goręcej, coraz beznadziejniej — inni jeszcze klęli, a przekleństwa sypały się takim niestrudżonym i urozmaiconym gradem, że nieprzywykłemu włosy mogłyby stawać na głowie.

Z lewej na przykład strony miałem towarzysza — Mike Threadingham nazywał się, pamiętam — który nie ustawał w opowiadaniu o jakiejś ciotce swojej, Sarze, starej pannie, co ufundowała przytułek dla dzieci zaginionych marynarzy i obróciła na ten cel cały swój majątek, wszystkie pieniądze należące się „najswięciej” siostrzeńcowi.

Opisywał przebieg owej sprawy z najdrobniejszymi niemal szczegółami i znów zaczynał od początku.

A po skończonej bitwie przysięgał się na wszystkie istniejące możliwe świętości, że nawet „pary z gęby” nie puścił od rana...

Co do mnie — nie wiem, czym co mówił, czy może milczałem — pamiętam tylko, że umysł mój, pamięć rzeczy drogich, myśli — jaśniejsze i wyrazistsze były niż kiedykolwiek przedtem w życiu — i że w oczach miałem bez przerwy rodziców starszuchów, samotnych teraz na wyludnionym folwarku, to cudną Edie i jej przepaściste szyderczo-wabiące źrenice — to znów de Lissaca kocie wąsy i dumne spojrzenie — żem myślał o wszystkim, co ostatnimi czasy przeżyłem w West Inch, a co zagnało nas na jednostajne równiny Belgii i rzuciło w krwiozerczą paszczę dwustu pięćdziesięciu armat.

A huk nie ustawał od świtu i mącił myśli, ogłuszał, krew lodem ścinał w żyłach, rósł, potężniał, przycichał, potem wybuchał znowu, stokroć przeraźliwszy i groźniejszy.

Nagle uczyniła się straszliwa cisza.

Ale to była tylko chwilowa przerwa w grozie srożącej się burzy.

Czuje się wtedy prawie dotykalnie, że nie upłynie kilkadziesiąt sekund, gdy grzmot rozgrzmi ze wzmożoną siłą.

Wprawdzie o dwie mile od głównego terenu walki, na krańcach samych sprzymierzonych armii, Prusacy przebojem torowali sobie drogę i niezmordowanie parli naprzód i stamtąd szedł jeszcze głuchy huk działowy, nikł jednak prawie po poprzednim, nieprawdopodobnym zamęcie i zgiełku.

Wszystkie inne baterie francuskie milczały, z naszej zatem strony również zaprzestano ognia.

Dym jął opadać z wolna i wkrótce obie armie stały czoło w czoło.

Walka, Żołnierz

Nasze pozycje przedstawiały widok istotnie straszliwy! Tam, gdzie z rana barwiły się legie niemieckie, teraz z rzadka tylko kraśniały czerwone plamy mundurów, oblane morzem zieleni pagórków, gdy tymczasem olbrzymie cielsko wojsk francuskich zdawało się równie nietknięte i liczne jak przedtem.

A jednak wiele tysięcy ludzi musiało zginąć w tej walce!

Z szeregów ich rozbrzmiał teraz szalony okrzyk tryumfu, a potem otworzono znów ogień działowy i w mgnieniu oka poszedł grzmot tak straszny, że poprzedni, choć potężny, nie mógł nawet się porównać. Upajali się bliskim, ostatecznym, niezawodnym na pozór, zwycięstwem.

Huk był dwa razy silniejszy — baterie znajdowały się dwa razy bliżej...

Ustawione inaczej, dosięgały najruchliwszych nawet czworoboków, ziały śmiertcionym ogniem, w przerwach między jedną a drugą snuły się niezliczone pułki kawalerii, gotowe bronić w razie jakiegoś ataku, odważne i zdecydowane na wszystko.

I skoro piekielny ów hałas wżarł się w nasze uszy i całą świadomość owładnął niemilkącym zgiełkiem, wszyscy — jak jeden mąż, aż do najmłodszego dobosza — pojęli jego znaczenie i doniosłość chwili.

Napoleon czynił oto ostatni, straszliwy wysilek, ażeby nas zmiażdżyć.

Ale dnia zostawało nie więcej już niż dwie godziny — jeśli więc potrafilibyśmy opierać się do zmroku — jutro bitwa przybrać może pomyślniejszy dla nas obrót.

A wyczerpani przez głód, deszcz ciągly i straszne zmęczenie, upadli, lub upadający na ciele i duchu — modliliśmy się już tylko o siłę do nabijania broni, do strzelania czy walki na broń białą, aż dotąd, dopóki choć jeden pozostanie żywy.

Kanonada armatnia nie czyniła nam jednak teraz wielkiej szkody, gdyż leżeliśmy w fosie pokotem, a gdyby kawalerii francuskiej zachciało się pokusić znowu o nasze placówki, mogliśmy sformować się w pół mgnienia oka i zjeżyć niezdojbyte las bagnatów.

Wtem spośród grania armat wzbil się odgłos czystszy, ostrzejszy i jędrny, miarowy, obezwładniający prawie swoim regularnym dźwiękiem...

— *Le pas de charge*⁹⁸! — szepnął po francusku za nami oficer. — Och, tym razem będą *kończyć*! Niewątpliwy atak!

Mówił jeszcze, kiedy zaszło znów coś niezwykłego.

Jeździec w mundurze oficera huzarów jak wichur zbliział się z francuskiej strony — koń gniady rwał, jakby miał skrzydła.

— *Vive le Roi! Vive le Roi*⁹⁹! — zakrzyknął nagle grzmiącym głosem.

Ach, więc dezterter. Bo my to przecież byliśmy królewscy, a tamci prowadzili wygnańca-cesarza.

— *The Guard come! The Guard come!*¹⁰⁰! — rozległo się znów po angielsku i pomknął dalej niby strzała.

W parę sekund znikł wśród wzgórz — jak liść uniesiony huraganem.

A prawie w tej samej chwili przypadł do nas książęcy adiutant, zdyszany i z twarzą tak czerwoną, jakby szlag właśnie go trafił.

— Poruczono wam zatrzymać ich albo zginiemy! — rzucił generałowi takim grzmiącym głosem, że echo zadźwięczało po szeregach.

— Czy zaszło co nowego? — pytał Adams ciszej.

— Z sześciu pułków ciężkiej jazdy zostały tylko dwa szwadrony — odparł oficer krótko.

I zaśmiał się nagle ostrym, urywanym śmiechem, jak człowiek, którego nerwy zbyt długo były w naprężeniu.

— Może pan masz chęć wziąć udział w ataku? Proszę, racz uważać się za kogoś z naszych — rzekł niespodzianie generał, z takim spokojem, jakby ofiarowywał mu szklankę herbaty.

— Z największą radością — oświadczył przybyły, zdejmując na znak podziękowania kapelusz.

⁹⁸*le pas de charge* (fr.) — krok szarży; krok do ataku. [przypis edytorski]

⁹⁹*vive le roi* (fr.) — niech żyje król. [przypis edytorski]

¹⁰⁰*the guard come* (ang.) — nadchodzi gwardia. [przypis edytorski]

W chwilę później trzem naszym pułkom rozkazano zacisnąć szeregi i cała brygada ruszyła sprawnie naprzód, przebyła fosy, w których przedtem przytające były nasze czworoboki i jęła zbliżać się ku wrażej¹⁰¹ armii.

Trudno było dojrzeć cośkolwiek przed sobą.

Poprzez zwarte chmury dymu błyskały tylko czerwone płomienie, buchające raz po raz z paszczy armat i majaczyły czarne, ruchliwe sylwetki, schylające się, czyszczące, to znów nabijające, i ślące śmiertelne pociski — usmolone od stóp do głów niby diabły i całą duszą oddane swojej diabelskiej czynności.

A spośród huku dział i owego zmieszanego zgiewku odrywał się coraz potężniej odgłos tysięcy stóp sprężystym, równym krokiem przemierzających ziemię, coraz donośniej szło echo komend i rozkazów.

Potem z mgły szarej zaczęła wynurzać się szeroka, ciemna wstęga, potem zszarzała więcej, potem się stała jak atrament czarna, kształty naszym oczom zabłysły jaskrawo i wkrótce rozpoznaliśmy olbrzymie cielsko wojska, wyciągnięte w długą kolumnę i w stu żołnierzy frontu. I sunęło śpiesznym marszem, w wysokich, włochatych czapkach, na których lśniły miedziane, połyskliwe znaczki, milczące, niezliczone, groźne.

A za stu pierwszymi postępowało stu drugich, dziesiątych, setnych i prawie na oczach rozwijały się nieskończone szeregi i wynurzały z dymu coraz dalsze pierścienie złowrogiego węża.

Zdawało się, że ten pochód opłynie nas, zgniecie, zaleje, że nigdy nie będzie mu końca.

Na czele szli rozsypani z rzadka tyralierzy, za tymi dobosze, a potem zwarte ławy wojska, poruszające się miarowym, zgodnym krokiem, na skrzydłach barwiły się gromadki oficerów, błyszczwały niebieskawe klingi szabel... Kiedy niekiedy padały gromkie rozkazy, rozlegały się słowa zachęty.

Na froncie uwijało się może ze dwunastu jeźdźców, wydających co chwila jakiś wspólny okrzyk — jeden z nich wyrzucił nagle *shako*¹⁰² w górę, pochwycił na koniec szabli, wznosił wysoko i jechał dumnie, niby ze sztandarem.

Niczyje wojska nie stawały chyba tak mężnie, jak w owym dniu straszliwym odważni Francuzi.

Aż krew gorącej grała w żyłach patrzeć. Bo w miarę zbliżania się, zachodzili na wyloty własnych armat i odtąd nie tylko nie mogli liczyć na ich pomoc, lecz jeszcze narażali się na niechybny ogień dwóch naszych baterii.

I w samej rzeczy narychtowano¹⁰³ umiejętnie działa, a potem huknęły strzały i co chwila już bryzgały w czerni owych węzowych splotów, a ślad ich znaczyły ogniste, krwawe smugi.

Francuzi zaś byli tak blisko i podchodzili tak zwartymi szeregami, że każdy wystrzał zabierał całe ich dziesiątki, a przecież szli w paszczę śmierci z nieulekłym czołem, kiedy niekiedy ścieśniając szeregi, i parli ciągle naprzód z zapamiętaniem, z ogniem — ławą. Szał ogarniał na ich widok.

Twarze zwrócone mieli ku nam.

Wierzę, że gdybyśmy ich przyjęli w poprzedniej pozycji — gwardia cesarska zgniotłaby nas po prostu jak muchy, bo cóż poradzi z taką okrutną masą kolumna złamana tylko w czwórki?

Ale w tej właśnie chwili Colburne, pułkownik 52. pułku, rozwinął swoje lewe skrzydło i przeciął drogę nadchodzącym wojskom.

Przystanęli.

Odległość między nami wynosiła teraz nie więcej niż czterdzieści kroków i jęliśmy się sobie przypatrywać w straszliwym milczeniu.

Nie wiem dlaczego, od dzieciństwa wyobrażałem sobie zawsze, że Francuzi koniecznie muszą być małego wzrostu.

Tymczasem w stojącej wówczas na czele kompanii nie znalazłby ani jednego żołnierza, który nie byłby w stanie unieść mnie z ziemi jak piórko — a wysokie, włochate czapy jeszcze im przydawały wzrostu. Bezwiednie budzili grozę.

¹⁰¹*wraży* (daw.) — obcy, wrogi. [przypis edytorski]

¹⁰²*czako* — rodzaj czapki, nakrycia głowy (tu: w zapisie fonetycznym wymowy francuskiej: *shako*). [przypis edytorski]

¹⁰³*narychtować* (daw.) — naszykować, przygotować. [przypis edytorski]

Rzekłbys olbrzymy zahartowane na trudy, o stwardniałej skórze, groźnych, nieustraszonych oczach i nastrzępionych wąsach — *guardia*, owa słynna guardia, co nie strzymała¹⁰⁴ tygodnia bez walki przez długie, długie lata.

I kiedyś stał w pogotowiu, z palcem na cynglu i natężonym słuchem, rychłoli¹⁰⁵ zabrzmiał rozkaz dania ognia — wzrok mój padł nagle na owego oficera, które swe *shako* dzierzył wysoko, na szabli.

Poznałem go w mgnieniu oka. Był to Bonawentura de Lissac.

Jim dostrzegł go chyba także.

Bo wydał dziki okrzyk i jak szalony rzucił się ku stojącym kolumnom francuskim.

I cała brygada runęła za przykładem owego prawie — odruchu, prędzej niżby myśl przebiegła — żołnierze, oficerowie, pułkownicy — i splotła się z pierwszymi szeregami w śmiertelnym uścisku. Na skrzydła uderzyły dwa inne, bratnie pułki.

Czekaliśmy właśnie rozkazu i wszyscy myśleli, że został wydany, lecz dają tu najuroczystsze swe słowo honoru, że Jim Horscroft i tylko Jim Horscroft sprowadził tę szaloną szarżę.

Bóg jeden wie tylko, co działo się przez pierwsze kilka minut!

Pamiętam, że m lufę karabinu przyłożył do munduru jakiegoś gwardzisty, że m pociągnął za cyngiel, a przecież zabity nie upadł, podtrzymywany skłębioną masą towarzyszy, jeno na błękitnym suknie pojawiła się okropna plama i buchnął z niej białawy dymek, jakby zażęgła się ogniem...

Potem odrzucono mnie pomiędzy dwóch Francuzów, którzy mnie ścisnęli tak mocno, że m nie mógł ruszyć nawet bronią.

Jeden z nich, potwornie brzydki, z ogromnym, rozplaszczonym nosem, chwycił mnie zaraz za gardło i zdało mi się, że oto nadchodzi ostatnia godzina.

— *Rendez-vous, coquin*¹⁰⁶ — szepnął chrapliwym głosem.

Ale w tejże chwili wydał krzyk straszny i zwinął się we dwoje — któryś z naszych bagnietem rozpruł mu wnętrzności.

Strzały umilkły prawie po pierwszym ataku, odgłos ich zastąpiły suche zgrzyty kolb o milczące ze wściekłością działa, przejmujące, urywane krzyki konających i suche rozkazy dowódców.

Minęło znowu kilkanaście minut.

Nagle Francuzi jęli cofać się — niechętnie, opieszale, z wolna — aleć¹⁰⁷ ustępowali z pewnością!

Wszystkie cierpienia, całą mękę, jaką przeżyliśmy od rana — wynagradzał teraz rozkoszny dreszcz, przebiegający ciałem na samą myśl, że te niezwyciężone wojska mogą za chwilę się ugiąć!

Przede mną majaczyła ogromna sylwetka gwardzisty o surowych, ostrych rysach i czarnych, dzikich oczach, który nabijał, strzelał i znowu zakładał ładunki z takim spokojem, jakby nie znajdował się w bitwie, a wpośród najniewinniejszych manewrów.

Mierzył z uwagą, i rozglądał się po każdym strzale, wybierał samych starszych, oficerów...

Nie zapomnę, jak niespodzianie przyszło mi do głowy, że spełniłbym czyn pocziwy, gdybym zabił człowieka, który morduje innych bez zmrużenia oczu.

Jak wicher rzuciłem się na niego i ugodziłem bagnietem.

A tamten dzwignął się jeszcze z okropnym uśmiechem i wypalił mi w twarz.

Na szczęście kula zraniła mi tylko policzek, ale ślad krwawy pozostał i nie ustąpi już do śmierci.

Gwardzista tymczasem zachwiał się i upadł, pociągając mnie za sobą, a za mną zwałiło się jeszcze dwóch innych żołnierzy i myślałem, że tym razem nie wydobędę się spod wału trupów.

¹⁰⁴*strzymać* (daw.) — dziś: wytrzymać. [przypis edytorski]

¹⁰⁵*rychłoli zabrzmiał* (daw.) — konstrukcja z partykułą wzmacniającą -li; znaczenie: czy rychło zabrzmiał. [przypis edytorski]

¹⁰⁶*Rendez-vous, coquin* (fr.) — (a to) spotkanie, łotrze. [przypis edytorski]

¹⁰⁷*aleć* (daw.) — konstrukcja z partykułą wzmacniającą -ci, skróconą do -ć; znaczenie: ale przecież, ale jednak. [przypis edytorski]

Alem podniósł się wreszcie i przetarłszy oślepione prochem oczy — ujrzałem jeszcze pogrom dumnej niedawno kolumny, która łamała się teraz na małe gromadki, co tchu zmykające ku swoim, inne zaś drogo sprzedawały życie i czyniły nadludzkie, daremne wysiłki, by sprostać straszному parciu angielskiej brygady.

W policzku paliło mnie, niby rozpalonym do czerwoności żelazem, ale pozostawały przecież inne, zdrowe członki.

Więc przesadziłem skłębiony zwał ludzki i bez namysłu biegłem do swojego pułku, na zwykle stanowisko w prawym skrzydle.

Prawie jednocześnie zarysowała się przede mną znana postać majora Elliotta, któremu ubito konia, lecz nie zdołano odebrać otuchy i żwawo kręcił się wśród żołnierzy, kulejąc trochę, ale niestrudzony i rześki jak zawsze.

Spostrzegł mnie z daleka i kiwnął przyjaźnie głową, za dużośmy¹⁰⁸ jednak mieli do spełnienia, by móc trochę porozmawiać.

Brygada nasza posuwała się teraz niestrudzenie naprzód, po jakimś czasie pojawił się przy nas generał i jął rozpatrywać uważnie pozycje angielskie.

— Nie zyskaliśmy pola — wyrzekł wreszcie — lecz nie ustąpiliśmy także i piędy¹⁰⁹.

— Książę Wellington odniósł wielkie, niezwykle zwycięstwo! — potwierdził adiutant uroczystym głosem.

A potem dodał, jakby nie umiał dłużej powściągnąć swych uczuć:

— Gdybyż tylko tamten przekłety potwór zechciał znowu się przybliżyć!!

Głośny śmiech powitał te, z głębi serca wydobyte, słowa.

Wnet jednak wrócił spokój, bo nadchodziła chwila, w której najnieprawiejsze oko, ogarniające teren owej wiekopomnej bitwy — poznałoby, na czyją stronę schyliło się zwycięstwo.

Wprawdzie kolumny i szwadrony trwające od rana w niezwykłych czworobokach — jeły łamać się gdzieś tam, a w wielu ciemniały smutne, puste luki — wprawdzie zamiast czoł, osłoniętych silną linią tyralierów, posiadały tyły obficie upstrzone sylwetkami opieszalych i niechętnych — ale za to jechaliśmy po karkach Gwardii, która topniała jak śnieg pod straszliwym, gorącym podmuchem i choć zdołała nas wprowadzić pod dwanaście armat — zdążyliśmy je zdobyć, zanim uczyniły nam najmniejszą szkodę. Nie zapomnę nigdy upojenia, jakie nas ogarnęło wówczas, ani widoku młodszego podoficera, następnego w godności po tym, którego zgładził ułan, kreszącego z zapalem na jednym z owych dział nieprzyjacielskich tryumfalną cyfrę: 72 — białą kredą...

Prawie jednocześnie po polach poszło głośnie „hurra” wszystkich wojsk angielskich i runęły naraz w dół ze wzgórz, barwistą wstęgą zalały dolinę i jeły ostatecznie gnębić na wpół już obezwładnionego wroga.

Wkrótce nadjechały z łoskotem armaty, potem przyskoczyła lekka kawaleria — a raczej resztki same owych świetnych rano pułków — i walczyła teraz z brygadą naszą o palmę pierwszeństwa.

A potem już nie było bitwy.

Posuwaliśmy się ciągle naprzód, a nikt nam nie stawiał oporu, aż przyszedł czas, że cała armia zajęła dumnie wszystkie stanowiska — rano jeszcze własność wojsk francuskich.

Zdobyliśmy wszystkie armaty, roznieśli w puch piechotę, której niedobitki rozbiegły się po okolicy — i tylko nie w naszej było mocy pognębić podobnie słynną kawalerię, bo ona jedna zachowała przytomność do końca, ona jedna opuściła Waterloo, nie łamiąc szeregów.

I wreszcie — właśnie gdy noc nieprzenikniona zaczęła rozpościerać się nad ziemią — wyczerpani, upadający ze znużenia i głodu, żołnierze angielscy, przekazali dalsze czynności Prusakom i jeły ustawiać broń w kozły na ziemi czerwonej krwią zdobytej.

Ot, wszystko, com widział, wszystko co mogę o bitwie pod Waterloo powiedzieć.

Dodam tylko, że tegoż wieczora pochłonałem dwufuntowy¹¹⁰ placek owsiany i spory dzbanek czerwonego wina.

¹⁰⁸za dużośmy mieli — za dużo mieliśmy. [przypis edytorski]

¹⁰⁹piędź — daw. miara długości, określana przez odległość między opuszką kciuka i małego palca rozwartej dłoni; równa ok. 20 cm. [przypis edytorski]

¹¹⁰dwufuntowy — tj. ważący blisko 1 kilogram. [przypis edytorski]

A potem jeszcze musiałem dłużyć nową dziurkę w rzemyku mego skórzanego pasa, który ścisnął mnie niby obręcz żelazna baryłkę...

Aż w końcu ułożyłem się do snu na słomie, w której zdążyło się zagrzebać pół kompanii.

I w kilka sekund później spałem snem ołowianym.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY. ŻNIWO ŚMIERCI

Dzień wstawał i właśnie pierwsze szare brzaski nieśmiało przenikały przez długie, wąskie szpary ścian naszej stodoły, kiedy wstrząśnięto mnie mocno za ramię.

Zerwałem się jak oparzony.

Rozespana mózgowica nasuwała mi straszne obrazy i w jednej chwili wyobraziłem sobie, że to atak kirasjerów, porwałem najbliższą, opartą o mur halabardę i tu otrzeźwiło mnie zimne dotknięcie gładkiego żelaza. W okolo szarzały niezliczone sylwetki śpiących towarzyszy.

Przetarłem prędko oczy i któż opisze moje zdumienie, gdy¹¹¹ w stojącej tuż przy mnie postaci, poznał czcigodną osobę majora Elliotta.

Miał niezwykle poważny wyraz twarzy — nieco opodał majaczyło dwóch sierżantów, trzymających grube ołówki i długie, papierowe wstęgi.

— Wstawaj, chłopcze — rzekł półszepem, tym dawnym, dobrym, przyjacielskim tonem.

— Jestem, panie — bełkotałem, niezupełnie jeszcze wytrzeźwiony.

— Pójdiesz ze mną. Czuję względem was ciężkie obowiązki — ja to przecież przyczyniłem się do porzucenia rodzinnych, szkockich progów — mówił major dalej dziwnie surowo i smutno — i brak otóż — *braknie nam Jima Horscrofta!*

Wszystka krew ściekla mi do serca. Toż wśród zmęczenia, głodu i w ciągłym wirze szalonych ataków, do cna zapomniałem o najlepszym przyjacielu. Nie widziałem go od chwili, gdy sam jeden rzucił się na gwardię i pociągnął za sobą pułk cały.

— Sporządzam właśnie wykaz poległych ze strony angielskiej — objaśniał, nie patrząc na mnie, starzec — gdybyś zechciał mi towarzyszyć, wyrządziłbyś mi prawdziwą przysługę.

Umilkł i już bez słowa wyszliśmy za drzwi stodoły, tuż koło nas dwóch nachmurzonych sierżantów...

Och! Straszny to był widok! Tak straszny, że odżywa pomimo tylu lat ubiegłych, tak straszny, że chciałbym go przyodzierać w jak najskąpsze słowa!

Strasliwą jest sama w sobie bitwa, ale w chłodzie i w ciszy poranku, bez podniecających dźwięków trąb i bębnow — znika zapal, gasną płomienne glorie, a rozpościera się tylko coś niby olbrzymia, wielka, niezmiernie rzeźnia — krwią przesiąkła ziemia i na niej niezliczone plamy pomiażdżone, ćwiartowane, okaleczone ciała ludzkie. Rzekłbyś, że człowiek oto podaje dzieło Boże na urągowisko.

A ze szczegółów różnych, z ciał poległych — odczytywać można było każdy poszczególny przebieg bitwy — tu czerniły się zwłoki mężnie ginącej piechoty, tworząc martwe, pełne grozy czworoboki, tam w nieładzie okropnym ciała kawalerzystów, którzy do pierwszych przypuszczali atak, dalej jeszcze, na pochyłości, majaczyły sylwetki zabitych kanonierów i okaleczone, milczące paszce armat...

Owa wspaniała kolumna gwardii szeroki szlak trupów usłała poprzez pole bitwy.

Coś niby ślad przejścia ślimaka. A u jego czoła olbrzymi zwał niebieskich uniformów splełanych z czerwonymi, jakby bławatki i maki — w miejscu, gdzie zaszedł ten szalony atak, w chwili gdy tamci zaczęli się cofać.

Na wstępie ujrzałem martwe ciało Jima.

Leżał nieruchomy i cichy, zastygł twarzą patrzył w niebo...

Wszystkie namiętności, wszystkie smutki i cierpienia uleciały już z niej bezpowrotnie.

I tylko królował wyraz, który pamiętałem tak dobrze, wyraz ze szkolnych jeszcze czasów.

Krzyk rozpaczny i żalu wydarł mi się z piersi, kiedym dostrzegł te drogie zwłoki, skoro jednak wzrok mój upadł na poważną głowę umarłego, kiedy wyczytałem na niej szczęście

¹¹¹gdym (...) poznał (daw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: gdy poznałem. [przypis edytorski]

Wojna, Śmierć, Śmierć
bohatera, Ciało, Krew,
Kondycja ludzka

w śmierci, jakiegom¹¹² nie spodziewał się ujrzeć za życia — ból mimo woli złagodniał i przycichł. Uczulem, że mu tak lepiej.

Dwa bagnety francuskie tkwiły w jego piersiach.

I skonać musiał natychmiast, bez cierpień może, bo z dziwnym uśmiechem na podobnych wargach.

Przy pomocy majora uniosłem lekko głowę przyjaciela, nasłuchując ze drżeniem oddechu, gdy tuż przy mnie rozległ się głos dobrze znany...

Pośród mnóstwa poległych gwardzistów wychylała się twarz de Lissaca, wspartego z widocznym wysiłkiem na łokciu...

Resztę ciała okrywał nierozłączny płaszcz błękitny, kapelusz z czerwonym pióropuszem wałał się obok, na ziemi.

Był strasznie blady i wielkie, sine półkola podkrażały mu oczy, ale zresztą pozostał ten prawie, co dawniej. Ten sam ostry, zakrzywiony nos zgłodniałego, drapieżnego ptaka, te same szorstkie wąsy i krótko ostrzyżone, kunsztownie ułożone włosy...

Powieki zawsze wprawdzie na wpół przykrywały oczy, lecz teraz opadły prawie zupełnie i spod rzęs z trudnością się dostrzegało błyszczące źrenice.

— Jock! To ty, Jocku? — wyszeptał ze zdumieniem. — Nie spodziewałem się, co prawda, ciebie tu zobaczyć! A jednak mogłem się tego domyślić, ujrawszy nierozłącznego Jima — rzekł do siebie ciszej i jakby niezadowolony.

— Pan właśnie na nas ściągnąłeś to wszystko — powiedziałem z żalem.

— Et! — syknął rozniewany. — Głupstwa! Losy nasze są ułożone z góry. W Hiszpanii jeszcze nauczyłem się wierzyć w Przeznaczenie. I *przeznaczenie* zsyła mi ciebie dziś rano.

— Na pana spada krew tego człowieka — wyrzekłem nagle, ostrożnie dotykając ramienia zabitego przyjaciela.

— A moja na niego — odparł z wolna. — Kwita z nami.

Uchylił róg płaszcza i z prerażeniem dostrzegłem czarny strumyk krwi na wpół zakrzepłej, a sączącej się bez przerwy z boku.

— Trzynasta z kolei rana i... ostatnia — objaśnił z bladym uśmiechem. — Trzynastka podobno przynosi nieszczęście. Czy nie macie czego do picia — choćby kilka kropel?

Major podał mu trochę *brandy* z wodą.

Ranny jął pić powoli, chciwie.

Oczy mu się niespodzianie ożywiły, na policzki wystąpiły ciemne, ceglaste plamy.

— Horscroft mnie tak urządził — zaczął, usiłując nadać mowie zwykły, żartobliwy odcień. — W zgiełku bitwy usłyszałem nazwisko swoje wyszeptane dziwnie ponurym głosem i natychmiast uczulem lufę karabinu na mundurze... Ludzie moi zakłuli go w tej samej chwili bagnetami... Co robić? Edie warta była śmierci. Ty Jocku, za kilka tygodni będziesz z pewnością w Paryżu i — przyrzekniesz mi, że ją zobaczysz. Pójdiesz na ulicę de Miromesnil pod nr 11, gdzieśmy obecnie mieszkali. Tylko oględnie powiedz jej smutną wiadomość... nie wyobrazisz sobie, jak bardzo mnie kochała! Powiedz jej także, że wszystko, co posiadam... znajduje się w dwóch czarnych skrzynkach, że... Antoni ma klucze. Nie zapomnisz?...

— Będę pamiętał.

— Jakże się miewa szanowna twoja matka? Czy w dobrym zdrowiu? A czcigodny ojciec? Oświadc im głębokie uszanowanie od dawnego gościa.

I w *takiej* chwili, już na progu śmierci — wykonał jeszcze ów charakterystyczny ukłon ręką, gdy wspomniął o pozdrowieniach dla matki.

— Rana pańska nie jest tak ciężka może, jak się zdaje — odważyłem się teraz odezwać. — Mógłbym tu sprowadzić chirurga naszego pułku?

— Dziękuję ci, pocziwy chłopcze — szepnął z wysileniem — ale ostatnie lat piętnaście nie darmo spędziłem na zadawaniu i otrzymywaniu ran najrozmaitszych, żebym się nie umiał poznać na śmiertelnych. Nie żałuję nawet życia... Dla naszego „małego” wszystko już skończone, więc wolę odejść w ciszę śmierci na czele wiernych wołyże-

¹¹² *jakiegom nie spodziewał się ujrzeć* (daw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: jakiego nie spodziewałem się ujrzeć. [przypis edytorski]

rów... niż żyć na wygnaniu i u wrogów zebrać łaski. Zresztą... Sprzymierzeni i tak by mnie rozstrzelali, unikam więc upokorzenia.

— Sprzymierzeni, szlachetny panie, nie dopuściliby się nigdy podobnie dzikiego i barbarzyńskiego czynu! — przerwał mu z ogniem major.

— Bo nie wiesz szczegółów, majorze — odparł de Lissac cicho. — Czy myślisz, że uciekałbym do Szkocji i zmieniał nazwisko, gdybym potrzebował się obawiać tych tylko, co panoszyli się wtedy w Paryżu? Drogo ceniałem życie, bom wierzył, że mały kapral powróci... Teraz... teraz mogę spokojnie umierać — wiem, że nigdy nie stanie już na czele wojska... A czyniłem rzeczy, których się nie darowuje. Ja to — szeptał coraz ciszej, gorączkowo — ja komenderowałem oddziałem, który rozstrzelał księcia d'Enghien¹¹³... ja to... Boże! Boże! *Edie*... moja najdroższa!...

Wzniósł ręce w górę, palce mu zadrgały i zaraz zacisnęły się kurczowo.

Potem opadły ciężko, a głowa pochyliła się na piersi.

Siwowłosy sierzant ułożył równo jego ciało, drugi rozpostarł na nim płaszcz błękitny... I odeszliśmy, pozostawiając na stratowanym polu zwłoki dwóch ludzi, którym Przeznaczenie tak dziwnie poplątało życie, a teraz łączyło w śmierci.

I leżeli spokojni, cisi i tak blisko, że ręka Szkota dotykała prawie dłoni nienawistnego Francuza — na przesiąkłym krwią zboczku, tuż koło tak pięknego wczoraj jeszcze Hougoumontu.

Dzisiaj śmierć tu królowała, ruiny i zgliszcza.

Trup, Wróg

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY. JAK SIĘ WSZYSTKO TO SKOŃCZYŁO

Zbliżam się oto ku końcowi opisywanych przez siebie wypadków i napelnia mnie to szczerym zadowoleniem — gdyż, rozpoczynając owo opowiadanie z dni minionych — zabierałem się do niego ze spokojem, ludząc się, że znalazłem pożyteczne i miłe zajęcie na długie wieczory letnie. Ale nie obliczyłem się z siłami. Musiałem tylko rozróżnić dawne, na wpół uśpione bóle, dawne na wpół zapomniane cierpienia i dusza mi teraz krwawi, jak skóra nieumiejętnie ostrzyżonej owcy.

Jeśli więc szczęśliwie dojdę do portu, postanawiam do końca życia nie tknąć niewdzięcznego pióra. Z początku oto klei się wszystko samo, tak gładko, jakbyś zstępował w łożysko łagodnie toczącego swe wody strumienia — a potem — ani się spostrzeżesz, kiedy noga się zapadnie w jakąś dziurę i — masz diabła kaftan! Morduj się, zanim się wygrzebieesz!

Kończę. Wykopaliliśmy dół ogromny i legło w nim czterystu trzydziestu jeden żołnierzy z cesarskiej Gwardii i naszej lekkiej piechoty, a z nimi złożone zostały śmiertelne szczątki Jima i Bonawentury de Lissaca.

Ach, gdybyż można było siać krew bohaterów, jak rzuca się ziarno, jakie dumne wstałyby plony!

A potem opuściliśmy straszne pola na zawsze i brygada nasz skierowała się ku granicom Francji. Stamtąd mieliśmy ciągnąć na Paryż.

Przez owe wszystkie lata — począwszy od bardzo wczesnego dzieciństwa — przyzwyczajano mnie patrzeć na Francuzów jak na złych do gruntu ludzi — ponieważ zaś słyszałem o nich jedynie z okazji bitew i rozlicznych pogromów na lądzie i morzu, nic dziwnego, że mniemanie owo zapuściło korzenie głęboko i skłonny byłem przypisywać im najgorsze rzeczy.

Kto wie, czy tamtym nie opowiadano podobnych okropności o nas, skoro naród angielski oceniali mniej więcej tak samo?

Wspomnienia, Cierpienie,
Dusza

Krew, Śmierć bohatera,
Ziarno

Wróg, Plotka, Nienawiść,
Prawda

¹¹³książę d'Enghien, właśc. Ludwik de Burbon (1772–1804) — książę z rodu Kondeuszy, po zgilotynowaniu w 1792 r. króla Ludwika XVI i śmierci jego małoletniego syna w 1795 r. stał się kandydatem do tronu Francji, a nawet przez część rojalistów został ogłoszony królem francuskim pod imieniem Ludwika XVII. Samo jego istnienie zostało uznane za polityczne zagrożenie dla rewolucyjnej władzy we Francji, dlatego z rozkazu Napoleona (choć za namową ministra spraw zagranicznych Talleyranda) książę d'Enghien został porwany z Badenii (zachowującej neutralność), fałszywie oskarżony o chęć restauracji Burbonów i po krótkim procesie rozstrzelany 21 marca 1804 w fosie zamku Vincennes, gdzie też spoczęły jego zwłoki. Wydarzenie to wywołało wstrząs wśród elit politycznych Europy. [przypis edytorski]

Ale kiedy dostaliśmy się do ich kraju, kiedyśmy ujrzeli śliczne, czystutkie folwarki i poczciwych wieśniaków, pochłoniętych całkowicie pracą w polu, kobiety robiące pończochy przed domem, na polu, przy drogach, staruszki w szerokich, białych czepcach, gromiące małe dzieci za brak uprzejmości — życie ich wydało nam się tak pogodne i pełne prostoty, że ja osobiście na przykład zaczynałem nie rozumieć, czemu i za co nienawidziliśmy tych dobrych ludzi?

I przyszedłem¹¹⁴ do wniosku, że w rzeczywistości istotnym i jedynym przedmiotem nienawiści był tylko człowiek, który nimi władał, a teraz przecie lud swój już opuszczał, cień jego złowrogi zniknął znad umęczonego kraju i z nim zniknąć powinny wrogie, dotychczasowe uczucia, zawitać przyjaźń i pokój.

Prawie nie odczuwaliśmy trudów pochodu, bo droga szła przez kraj tak piękny, jakiego dotąd nie widziałem w życiu. Aż w końcu dotarliśmy do stołecznego miasta.

Wodzowie nasi przygotowani byli stoczyć walną bitwę, co zdawało się prawdopodobniejszym jeszcze ze względu na olbrzymią ludność — gdyby — podobno stawał jeden człowiek na dwudziestu — już utworzyliby okazałą armię. Ale obawy okazały się na szczęście płonne. Tym razem uznano widocznie szkodliwość zasady poświęcania tysięcy głów za jedną a szaloną.

Dotychczasowemu panu dawano tym do zrozumienia, że odtąd na siebie tylko może liczyć.

Zresztą, podług najświeższych, trwożnych jeszcze i niepewnych wieści, sam dobrowolnie oddał się w ręce Anglików.

Zatem bramy Paryża na oścież przed nami otwarto, co mnie osobiście uradowało w szczególniejszy sposób, gdyż przedtem jeszcze modliłem się żarliwie w duchu, by bitwa pod Waterloo była ostatnią, w której przyjmowałem udział...

Jednak w Paryżu znajdowało się podówczas mnóstwo ludzi szczerze przywiązanych do Boney'a i do jego sprawy.

Nic tak bardzo dziwnego, jeśli wspomnieć sławę, w jaką przyoblekł dumną koronę francuską, jeśli pamiętać, że nigdy nie rozkazał wojskom iść tam, gdzieby zabrakło jego płomiennego słowa lub zwycięskiego geniuszu.

I mogę zapewnić, że ci ostatni przyjmowali nas „cokolwiek” kwaśno.

Brygada Adamsa pierwsza wkroczyła do miasta.

Minęliśmy most Neuilly, którego nazwę łatwiej napisać, niż wyrzec nieprzyzwyczajonemu do podobnych wylamywań językowi, potem przeszliśmy przez park bardzo piękny, ochrzczony mianem Bois de Boulogne, a stamtąd dotarliśmy do Champs-Élysées, gdzie kazano nam rozłożyć biwaki.

Ulice Paryża napełniły się takim mnóstwem Prusaków i Anglików, że całe miasto przybrało wygląd jakby wielkiego obozu.

Ja zaś uzyskałem pozwolenie wyjścia z Robem Stewartem z tej samej kompanii — bo nie pozwalano zapuszczać się w głąb miasta inaczej jak dwójkami — udałem się na ulicę Miromesnil.

Towarzysz mój pozostał w przedpokoju, a ja po kilku chwilach dziwnie trwożnego czekania znalazłem się w obecności kuzynki Edie, tej samej dawnej Edie, która zaraz zatopiła w źrenicach moich wzrok, słodka, szydyczy trochę, a wabiący...

Przez parę sekund patrzyła, jakby mnie nie poznawała, nagle podbiegła i zarzuciła mi ręce na szyję.

— Jacku, mój drogi Jacku! — zabrzmiało mi dawną muzyką. — Jakiś ty piękny w czerwonym mundurze!

— Tak, tym razem zostałem żołnierzem naprawdę — odparłem trochę szorstko, gdyż zdało mi się, że poprzez cudne kształty tej wdzięcznej postaci, dostrzegam inną, zwróconą zastygłym spojrzeniem w niebo, tę, którą zabrało krwawe pole bitwy, tę, która została wśród zielonych wzgórz Belgii.

— Kto by temu uwierzył? — szepnęła przeciągle. — I czymże jesteś? Generałem? Pułkownikiem?

— Prostym żołnierzem — wycedziłem z wolna i dawny ból ukłuł mnie w serce.

¹¹⁴przychodzić do wniosku (daw.) — dziś: dochodzić do wniosku. [przypis edytorski]

— Jak to? Nie należysz chyba do pospolitaków, którzy dźwigają karabin? — badała z chłodnym zdziwieniem.

— Do tych właśnie.

— Ach, tak. Nic ciekawego zatem — wyrzekła półgłosem i jakby do siebie, cofając się pośpiesznie na kanapkę.

Pokój umeblowany był wspaniale, cały obciągnięty jedwabiami, aksamitem, pełen kosztownych, lśniących jak słońce przedmiotów, oniesmielał i przytłaczał przepychem tak bardzo, że zaledwie miałem odwagę przysiąc gdzieś na brzeżku krzesła, ja, ubogi żołnierz i brat stryjeczny pani owych bogactw.

Edie usiadła z wyszukany ruchem i wtedy zauważyłem, że jest w żałobnym stroju. Donieśli jej już zatem o śmierci małżonka.

— Lżej mi, że wiesz o wszystkim — zacząłem po chwili niepewnym trochę głosem — gdyż nie potrafiłem nigdy z oględnością udzielać złych wieści. — Powiedział... że to, co znajduje się w dwóch czarnych skrzynkach, należy odtąd do ciebie i że Antoni ma klucze.

— Dziękuję, Jacku — przerwała z pośpiechem. — Dziękuję ci, żeś podjął się przynieść mi ostatnie polecenie. O wypadku dowiedziałam się przed ośmiu dniami. Byłam jakiś czas prawie obłąkana, zupełnie obłąkana. Całe życie nie zdejmę żałoby, choć w czarnym kolorze wyglądam jak istne straszdyło. Nigdy, nigdy nie zapomnę. Wstąpić może do klasztoru i chciałabym przyoblec zasłonę, która wdowią krepą rozdzieliłaby mnie z marnym światem...

— Przepraszam jaśnie panią — przerwał niespodzianie lokaj, wsuwając z szacunkiem głowę — hrabia de Beton pragnie panią widzieć.

— Ot i masz, Jacku! — rzekła, podnosząc się gwałtownie i oblewając pąsowym rumieńcem. — Rzec jest bardzo ważna. Przykro mi, że musimy przerwać tę miłą rozmowę, ale przyjdiesz jeszcze kiedy, prawda? Tak, do widzenia! Prawdziwe zmartwienie! Ach! — wykrzyknęła półgłosem, widząc, że zmierzam ku wyjściu — czy nie byłoby ci wszystko jedno wysunąć się schodami służbowymi? Dziękuję ci raz jeszcze, mój stary, kochany Jacku — ciągnęła serdeczniej, pragnąc zapewne osłodzić pigułkę — ty zawsze byłeś dla mnie dobry, zawsze czyniłeś to tylko, co chciałam...

Stała — skąpana w słońcu, z ust rozchylonych białeły śliczne ząbki, spojrzenie płonęło dziwnym blaskiem, wabiło i nęciło, rzekłbyś, że obiecuje ci morza upojeń, cudne ciało pieściły złote słoneczne smugi — sama cudniejsza niż rozkosz.

Uciekłem.

Taką pamiętać będę do końca dni swoich — ponętą, żywą, pełną blasków. Była mi jak kropla srebra.

Połączyłem się z towarzyszem i razem wyszliśmy przed bramę. Tu stał prześliczny zaprzęg ciągniony przez dwa rasowe konie i tu odgadłem powód swego niedawnego ponizienia. Nie chciała, by przyjaciele jej z wielkiego świata dowiedzieli się o istnieniu takich nieznaczących, choć uczciwych ludzi, z jakimi żyła w dzieciństwie...

Ani słoweczką nie zagadnęła mnie o Jima, przez prostą grzeczność nie spytała o ojca czy matkę, którzy ongi okazali jej przecież tyle przychylności.

Przysiągłem sobie wtedy, że widzę ją po raz ostatni.

Taka po prostu była i inną być nie mogła, jak na przykład królik nie potrafiłby nigdy utrzymać w spokoju ogonka — a jednak świadomość tego przyczyniła mi dużo głębokiego bólu.

W dziewięć miesięcy później doszła nas wieść, że poślubiła hrabiego de Beton, a w rok czy dwa zmarła przy urodzeniu się dziecka.

Wróćmy jednak do rzeczy. Nasze trudy dobiegły oto do ostatecznego końca.

Cień złowrogi rozsnuwał się znad Europy i miał nie zwisnąć nigdy już nad naszą ziemią, nigdy więcej nie przesłonić spokojnych folwarków i cichych, zadumanych wiosek, nigdy nie zawlekać kirem istnień, które mogły być takie szczęśliwe...

Wykupiłem uwolnienie z wojska i wróciłem do Corriemuir, do płaczących z radości rodziców. Ojciec zmarł jakoś niedługo — objąłem po nim cały folwark.

A potem ożeniłem się z Lucią Deane z Berwick i wychowaliśmy siedmioro dzieci, a wszystkie chcą być mądrzejsze od własnego ojca i nie zaniedbują niczego, byle mu to czarno na białym wykazać.

Śmierć, Żałoba, Kobieta,
Los, Kondycja ludzka

Żołnierz, Obyczaje

Bo wśród cichych, trochę monottonnych i niezakłóconych żadnym ważniejszym wypadkiem dni, jakie płyną od chwili powrotu, jednakowych jak wieczorny różaniec płonących latarni — trudno mi przekonać moją czupurną młodzież, że i tu mogło się życie toczyć niezwykle koleją, że w czasach, kiedy kochaliśmy się z Jimem w pięknej zalotnicy i kiedy cudzoziemiec o kocich wąsach i dumnym spojrzeniu przywędrował z tamtej strony morza — działy się naprawdę wielkie, groźne, wiekopomne rzeczy.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/grozny-cien>

Tekst opracowany na podstawie: Arthur Conan Doyle, Groźny cień, tłum. Z.N., nakł. Gebethner i Wolff, Warszawa 1909.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska, Paweł Koziół, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-0204-9

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.